

TO MUSI BOLEC

MÓWI NAJSZTUBOWI JUSTYNA KOWALCZYK >24

PRZE KROCI

ZAKOŃCZE WE WTOREK

WYKONANIE
KOPANEGO

>20

WYKONANIE
METNIKIEM
WATA

>10

WYKONANIE
FABRYCE
NOW
JANOWSKA
OZMAWIA
Z ABLE
ORZENIOWSKIM

>62



INDEKS 371424

PRZEKROJ.PL

ISSN 0033-2488



03

9 770033 248007



Są setki
zupełnie

**niespodziewanych
powodów,**

by ubezpieczyć się w Ergo Hestii. Nie musisz się nad nimi gorączkowo zastanawiać. Receptą jest pakiet ubezpieczeń Ergo Hestii z szerokim zakresem usług assistance. Dzięki niemu o każdej porze dnia i nocy możesz liczyć na pomoc specjalisty. Pamiętaj, że w Ergo Hestii masz również najlepszy serwis likwidacji szkód*. Ergo Hestia. **Jestem pewien.**

801 107 107
opłata za połączenie zgodna z cennikiem operatora

www.hestia.pl

Jesteśmy częścią
międzynarodowej
grupy **ERGO**.

* Wyniki badania satysfakcji Klientów z likwidacji szkód komunikacyjnych, nierzaruszających, przez TAIC OBCP i Deloitte (sierpień-wrzesień 2008 r.) wśród czterech największych firm obsługujących ponad 65% rynku ubezpieczeń komunikacyjnych w Polsce.

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

JESTEM SATYRYKIEM. WCZORAJ WPADE
MI DO GŁOWY WYJĄTKOWO CĘLNY, OKRUTNY
I OBELŻYWY DOWCIP O PLATFORMIE
OBYWATELSKIEJ. CHCIAŁBYM GO OPU-
BLIKOWAĆ, BO NIENAWIDZĘ PLATFOR-
MY OBYWATELSKIEJ.



ALE BOJĘ SIĘ, ŻE TAKIMI
DOWCIPAMI MOGĘ PRZYZY-
NIĆ SIĘ DO POWROTU DO
WŁADZY PIŚ-U, KTÓRE-
GO NIENAWIDZĘ O
WIELE BARDZIEJ.



JUTRO MUSZĘ COŚ
WYSTĄC DOREDA-
KCJI.
PORADZ MI CO MAM
ZROBIĆ, ŚWIĘTY
MĘDRCE.



LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta + Raport z zimowych ulic: sopli jak lodu!

PRZED W SZYBKIM

- 4 | **Komentarze**
Katarzyny Janowskiej
i Rafała Kostrzyńskiego
- 6 | **Kawa bez cukru**
Bogdana Rymanowskiego
- 8 | **Krótko**

KRAJ I ŚWIAT

- 10 | **Afryka** śmietnikiem świata
- 16 | **Dziwne, choć przyjemne**
podatki
- 20 | **Zakopane** – zimowa
stolica absurdu

SYLWETKA

- 24 | **Najsztub pyta**
Justynę Kowalczyk, czy jest
masochistką
- 28 | **Giorgio Armani** nie chce
odejść
- 31 | **Romski kick bokser** bije się
z uprzedziami
- 33 | **Jacek Sobala** na fali
- 35 | **Skok w bok** Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

- 36 | **Książki dla odważnych**
i leniwych, dla tych, co jadą
i nie czytają, ale słuchają
- 42 | **Pochwała**
wielozadaniowości
- 44 | **Samobójcy** lubią styczeń
- 46 | **Korzystaj** na okrągło

KULTURA

- 48 | **Wydarzenie:** „Sherlock
Holmes” – wielbiciele Conan
Doyle’a go nie pokochają
- 52 | **Film:** „9” nam się nie podoba
- 54 | **Książki:** Śliczna książka Ra-
fała Szamburskiego
- 56 | **Teatr:** Mistrz Peter Brook
- 58 | **Muzyka:** Alicia Keys nie
zaskakuje
- 60 | **Gitara gra** – fenomen pudła
ze strunami
- 62 | **Lektura:** Katarzyna
Janowska rozmawia
z Ablem Korzeniowskim

OTWÓRZ OCZY

- 66 | **Stanisław Dróżdź** w CSW
– wystawa prac polskiego
twórcy poezji konkretnej

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 51 | **Czwarta strona kultury**
Bartka Chacińskiego
- 70 | **Rozmaitości** z krzyżówką,
jolką i felietonami
- 73 | **Stopklatka**
- 74 | **Dziennik** Jerzego Pilcha
- 3, 72, 74 | **Raczkowski:** Rysunki



Świat według „Przekroju”

Nie chcę rechotać na komendę.
Wolę się od czasu do czasu
uśmiechnąć

KATARZYNA JANOWSKA

„LUBIĘ WIECZORKIEM USIAŚĆ przy składance smoothjazzowej dołączonej ostatnio do rosołu Knorra” – mówi jeden z bohaterów sztuki Doroty Maślowskiej „Między nami dobrze jest”. Dociskany przez dziennikarkę telewizyjną, kołyszącą się na dziesięciometrowych szpilkach, tłumaczy, że to bardzo sławny rosół.

W „Przekroju”, który od tego numeru przejmuję jako redaktor naczelna, będziemy pisać o ludziach niedających się dołączyć do najbardziej nawet sławnych rosółów. Podobają nam się artyści, którzy jak Maślowska czy reżyserujący jej sztuki Grzegorz Jarzyna mają ucho i oko do języka popkultury. Wiedzą, jak go używać, by z treścią przebić się przez rechot Jokera dochodzący już niemal z każdej medialnej łódki.

Nie chcę rechotać na komendę. Lubię się od czasu do czasu uśmiechnąć. Choćby na wspomnienie ot żarciku Mariana Eilego, ojca założyciela „Przekroju”:

Nigdy nie mogliśmy zrozumieć, po co Ludwikowi XIV tyle stołów i krzeseł.

DLA KOGO PISZEMY? JAK WYOBRAŻAM sobie czytelnika „Przekroju”? Pierwsze skojarzenie to film Andrzeja Wajdy „Nieвинni czarodzieje”. Młody lekarz Bazyli (Tadeusz Łomnicki) leży na tapczanie w swoim mieszkaniu i czyta „Przekrój”. Od razu wiemy, że jest inteligentem, żyje na luzie, z fantazją, lubi damsko-męskie napię-

cia. Urządza sobie przejażdżkę lambrettą przez puste miasto. Zmrużenie oczu i widzę go, jak dziś oldschoolową vespą sunie przez nocne ulice. Nie lubi słowa inteligent. Woli po prostu myśleć trochę inaczej niż wszyscy.

Cieszą go akcje Yes-Menów – grupy politycznych aktywistów ośmieszających mechanizmy działania wielkich korporacji. Na filmie „Yes-Meni zmieniają świat” rozbawiony pomyślał: *Yes man!*

PODCZAS POMARAŃCZOWEJ rewolucji na Majdanie z całych sił śpiewał „Chciałbym być sobą”. Poszedł do urny, gdy Polska wchodziła do Unii. W Rospudzie przykuł się do drzewa. Potrafi się zmobilizować, kiedy czuje, że tam na górze coś idzie nie tak. Płaci podatki, odpisuje procent na organizację pozarządową, ale woli, gdy państwo trzyma się od niego z daleka.

Jest jak bohater obrazów i filmów Wilhelma Sasnała, trochę w poprzek, wrażliwy na innych, uczulony na schematy, które ciągle ktoś próbuje mu wsadzać. Dużo podróżuje, ale w samolocie raczej nie krzyczy, że ktoś go bije. Cierpi, gdy codziennie musi zanurzyć się w architektonicznym chaosie. Otacza się przedmiotami wybranymi z rozmysłem. Bawią go gadżety.

Z czasem rozejrzy się dookoła i z satysfakcją stwierdzi, że takich jak on jest całkiem sporo. I na dodatek czytają „Przekrój”. □



Google ugryzł Chińczyka

Triumf dobra nad złem?
Raczej triumf zła mniejszego

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

GDYBY TO CHINY OBRAZIŁY SIĘ NA GOOGLE'A, TO CO TO BYŁBY ZA news. Chiny obrażają się przecież dość często: na Tybetańczyków chociażby, na Ujgurów czy na dysydentów wreszcie. Pekin nie lubi, gdy ktoś mu bruździ. Zresztą – kto lubi...

Tu jednak jedzie newsem na kilometr. To Google obraził się na Chiny. Największa wyszukiwarka w sieci obraziła się na najludniejszy kraj w realu. Zupełnie jakby „człowiek pogryzł psa”; brytyjski magnat prasowy Alfred Harmsworth* byłby na pewno zadowolony.

Za co obraził się Google? Za to, że chińscy hakerzy chcieli się włamać na Gmail i spłądować konta opozycjonistów. Nikt nie ujawnia szczegółów tego ataku, ale wygląda na to, że stali za nim fachowcy. A jak się obraził? Przedstawiciele koncernu ogłosili, że nie będą już więcej cenzurować chińskiej wersji swojej wyszukiwarki – nawet jeśli będzie to oznaczać, że Google zniknie z Państwa Środka. Dzięki temu od kilku dni internauci w Chinach mogą wreszcie zobaczyć zdjęcia z masakry na placu Tiananmen.

• Nieformalna definicja, według której news musi być tak niezwykle jak pogryzienie psa przez człowieka, ma wielu ojców. Harmsworth jest jednym z nich

Chciałbym pochwalić założycieli Google'a Sergieja Brina i Lawrence'a Page'a za odwagę cywilną.

Ale nie pochwałę.

Google długo szturmował chiński rynek swoją wyszukiwarką. Udało mu się tam wejść dopiero w 2006 roku. Chińczycy nie byli wymagający: zażądali jedynie zgody na stosowanie cenzury – i ją otrzymali. Z zachodniego punktu widzenia był to więc układ gangsterski: „wchodzisz w biznes, który trochę śmierdzi, ale za to będziesz mógł z tego czerpać profity”. Dziś Google daje po prostu sygnał, że „są takie granice nieuczciwości, których nie przekroczy”. Brin i Page raczej się zreflektowali, niż wykazali odwagą cywilną.

Ile stracą, jeśli wyjdą z Chin? I tu się robi najśmieszniej, bo PEWNIĘ JESZCZE NA TYM ZAROBIA. Chiński rynek generuje Google'owi najwyżej dwa procent zysków – i to według optymistycznych szacunków. Nie wolno też zapominać o tym, że nawet jeśli koncern zniknie z chińskiego Internetu, nie zniknie z rynku. Zostanie na nim Android – oprogramowanie stosowane w smartfonach najnowszej generacji. W Chinach będą je sprzedawać Dell i Motorola.

Co się zmieni w bezgoogle'owych Chinach? Nic. Powstała luka w Internecie wypełni natychmiast Baidu (chińska wersja Wikipedii) i Yahoo!, który chętnie wykonuje zalecenia władz w Pekinie. Dla przeciętnego chińskiego internauty nic się nie zmieni. Będzie miał smartfona z Androidem i dostęp do ściśle monitorowanego Internetu.

No i gdzie tu news? □



BY CHOICE HOTELS

Rodzinne ferie zimowe nad morzem

w Clarion Hotel Grand Baltic Resort & Spa ***** w Dźwirzynie

Już od

Oferta obowiązuje
od 15 stycznia do 28 lutego
2010 r.405 zł
/2 osoby/ doba

W PROGRAMIE MIĘDZY INNYMI:

- Gry i zabawy na basenach
- Nauka pływania dla najmłodszych
- Codzienne Kino „Dorośli wstęp wzbroniony”
- Klub Gier Planszowych i Komputerowych
- Wieczory baśni i tajemnic
- Aktywny dzieciak: zajęcia sportowe dla różnych grup wiekowych
- Malowanie, Rysowanie, Lepienie... Artystyczną Duszę Mam
- Wycieczki plenerowe
- ...i wiele, wiele innych

OFERUJEMY:

- Noclegi w luksusowym, 2 osobowym pokoju
- Bogate śniadania w formie bufetów
- Codzienne tematyczne obiadowe kolacje

Junior Klub – codzienne zajęcia
tematyczne dla dzieci

MEDICAL SPA
LA PERLA

www.la-perla.pl

A PRZED WSZYSTKIM:
LA PERLA SPA

Najbardziej uznana marka SPA
– już w Clarion Hotel Grand Baltic Resort & SPA

Clarion Hotel Grand Baltic Resort & Spa

ul. Wyzwolenia 29, 78-131 Dźwirzyno, Poland

Tel.: +48 94 711 32 00

Fax: +48 94 711 32 01

e-mail: reservation@grandbaltichotel.pl,

marketing@grandbaltichotel.pl

www.grandbaltichotel.pl

PRZED WSZYSTKIM Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile

ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZED WSZYSTKIM.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Katarzyna Janowska **ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:** Bartek Chaciński, Juliusz Urbanowicz **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myśliuk **SEKRETARZ REDAKCJI:** Magda Gędziorowska

REDAKTOR NACZELNY: Katarzyna Janowska, tel. 22 525 99 33 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Chaciński, Marcin Sendek, KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wierczok (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc, stale współpracują: Piotr Naisztub, Bogdan Rymanowski **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniczko-Czeczot **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTODYDZIAŁ:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek

PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner (wicedyrektor, art.), Małgorzata Kłosowska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk, stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45

REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZED WSZYSTKIM SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 55, FAKS 22 525 99 88

PREZES WYDAWNIWA: Grzegorz Hajdarowicz **DYREKTOR WYDAWNIWA:** Barbara Stanisławczyk **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski

BIURO REKLAMY, PRZED WSZYSTKIM: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa, tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski, tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń, tel. 22 525 99 50, Beata Drogońska, tel. 22 525 99 51, Eliza Zyromska, tel. 22 525 99 52 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciążek **DRUK:** RR Donnelley **PRENUMERATA:** PRZED WSZYSTKIM – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-695 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 022 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji, tel. 22 525 99 69 **PRZED WSZYSTKIM** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl



KAWA BEZ CUKRU

Krótka historia honoru

Kiedyś za obrazę politycy szli na ubitą ziemię,
dzisiaj idą do telewizji

Bogdan Rymanowski, TVN

NIE JEST TAJEMNICĄ, ŻE JÓZEF PIŁSUDSKI POTRAFIŁ WALNAĆ z grubej rury i nie przejmował się, jaka będzie reakcja otoczenia. Gdy naprawdę leżało mu coś na sercu (a na Polskę był chory), nie zaprztał sobie głowy etykietą, a słów używał niczym karabinu maszynowego. Najczęściej strzelał nimi do polityków. To on porównał Rzeczpospolitą do wielkiego burdelu, konstytucję („konstytutę”) do prostytutki, a posłów nazwał dziwkami.

Porywczy charakter marszałka nieraz przysporzył mu problemów. Jedno z takich wydarzeń opisuje Sławomir Koper w „Życiu prywatnym elit Drugiej Rzeczypospolitej”. Było to na posiedzeniu Ścisłej Rady Wojennej w 1923 roku, gdy Józef Piłsudski pozwolił sobie na obrazę generała Stanisława Szeptyckiego, nowo powołanego ministra spraw wewnętrznych. Marszałek nigdy nie darzył go szacunkiem i nie potrafił się opanować. Natychmiast, gdy usunęto z sali sekretarzy, Piłsudski porównał generała do „kurwy, co podstawią dupę to jednemu, to drugiemu”. Słowa te dotarły do znieważonego, strasznie go oburzyły, dlatego ten nazajutrz wysłał komendantowi sekundantów. W ostateczności marszałek od pojedynku się wymigał, wymawiając się tym, że nie będzie walczył ze swoim podwładnym.

Polska międzywojenna była krajem, gdzie rządził niepodzielnie „Kodeks honorowy” Władysława Boziewicza, a pojedynki były jej prawdziwą zimą. Rocznie dochodziło nawet do 400 (!) starć, z czego aż jedna trzecia kończyła się śmiercią lub trwałym kalectwem. Albo stała za tym nasza ponadprzeciętna gwałtowność, albo poczucie honoru, jakie prezentowali ówczesni wojskowi, politycy i urzędnicy, było wyjątkowe.

Trzecią Rzeczpospolitą od tej Drugiej, choć są prawie rówieśnikami, dzieli w tym względzie lata świetlne. Czas, gdy za obraźliwe słowa potrafilimy kłaść drugiego trupa, bezpowrotnie minęły. Dzisiaj politycy do siebie już nie strzelają, a jedynie bojkotują. I tak, można wyróżnić dwa rodzaje bojkotu: bojkot towarzyski oraz bojkot medialny. Zazwyczaj występują oddzielnie, choć zdarzają się sytuacje, w których chodzą parami.

Świadkiem, a w jakimś sensie również ofiarą bojkotu medialnego bywam od lat. Może być on zbiorowy, jak wtedy, gdy Prawo i Sprawiedliwość uchwaliło, że żaden poseł pod żadnym pozorem nie przekroczy progu telewizji TVN. Może być też jednostkowy, a zdarza się to wówczas, gdy polityk partii X nie usiadzie za żadne skarby z politykiem partii Y. Tak jak kiedyś Platforma bojkotowała Jacka Kurskiego (pokłosie afery „dziadka z Wehrmachtu”), tak dzisiaj PiS szerokim łukiem omija studia, w których występują Janusz Palikot i Stefan Niesiołowski (pokłosie wiadomo czego). To w światku dziennikarskim już normalka, cała sztuka polega na tym, aby ten wzajemny bojkot jakimiś tajemniczymi sztuczkami przezwyciężyć.

Nieco inny wymiar ma bojkot towarzyski, niepołączony (o dziwo!) z bojkotem medialnym. Jego świadkiem byłem

niedawno, tuż przed rozpoczęciem „Kawy na ławę”. Większość zaproszonych gości siedziała już przy stole, oczekując na start programu i racząc się słodyczami. Brakowało tylko jednego Jacka Kurskiego. Poseł PiS przybył jak zwykle ostatni i rozpoczął rundę powitalną. Była graba z Kaliszem, ręka z Grasiem i rąs z Kłopotkiem. Na koniec ruszył w kierunku Ludwika Dorna, wyciągnął dłoń i tu spotkała go niespodzianka. W tym samym momencie były marszałek sejmu odwrócił ostentacyjnie głowę i gest byłego partyjnego kolegi zignorował. Ręka Kurskiego na jakieś dwie sekundy zastygła w powietrzu. Zaś kiedy moja głowa ostygła z wrażenia, przypomniałem sobie, że to przecież zwykłe pokłosie sprawy alimentacyjnej (za którą przeproszał sam Jarosław Kaczyński).

Koniec końców, porównanie Drugiej z Trzecią Rzeczpospolitą wychodzi zdecydowanie na plus naszej współczesnej ojczyźnie. Ofiar w ludziach brak, politycznych kalek w szpitalach też jakby mniej. Wydaje się, że przyczyną tej zmiany jest fakt, że pojedynki z ubitej ziemi przeniosły się do telewizji. Bo nie śmiem nawet przypuszczać, że to z honorem współczesnych polityków coś jest nie tak. □



Kurski rozpoczął rundę powitalną. Była graba z Kaliszem, ręka z Grasiem i rąs z Kłopotkiem. Na koniec ruszył w kierunku Ludwika Dorna, wyciągnął dłoń i tu spotkała go niespodzianka

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



więcej obrazków na galerii.przekroj.pl



To nie my... budujemy studnie w Sudanie...



Robią to ludzie tacy jak Ty.

Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przekaz **1%** swojego podatku
Polska Akcja Humanitarna
KRS 0000136833 www.pah.org.pl/jedenprocent

KRÓTKO

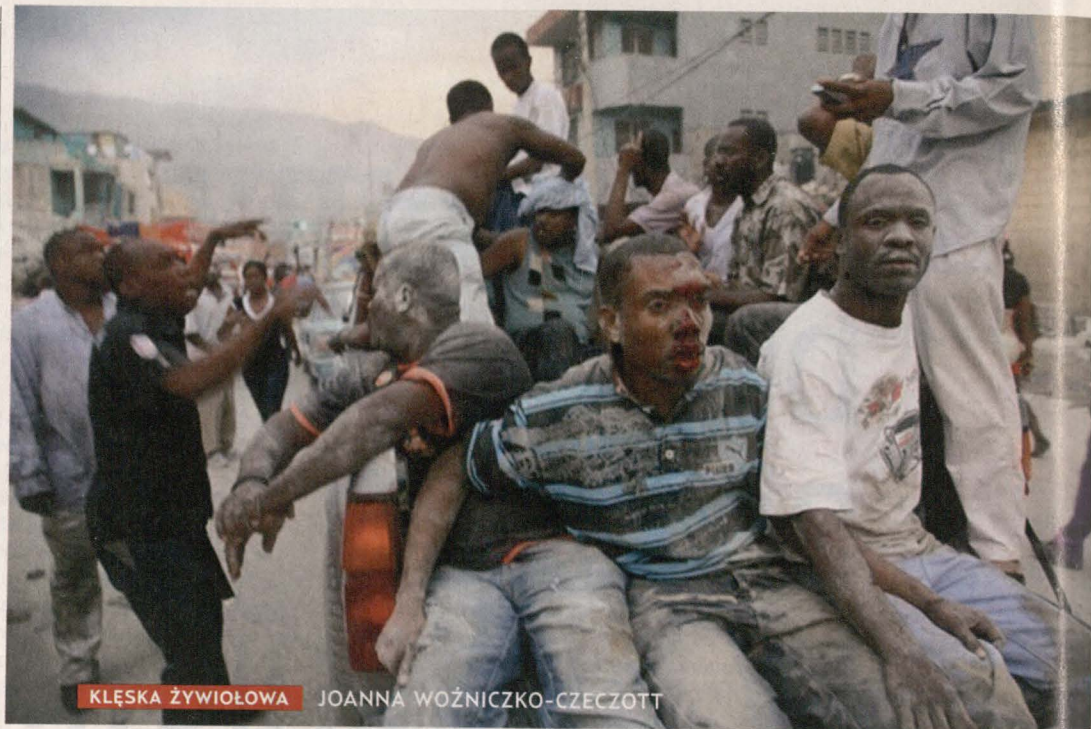
Jestem ciężko uderzony instrumentem nie fair – **Paweł Piskorski**, prezes Stronnictwa Demokratycznego, przekonujący, że przeszukanie jego mieszkania na polecenie prokuratury inspirowała obecna władza



Pudło na medal...

Czy ktoś stąd ucieknie?

WIĘZIENIE W OPOLU LUBELSKIM zdobyło nagrodę Kryształowa Cegła przyznawaną przez Polskie Towarzystwo Mieszkaniowe dla najlepszych inwestycji budowlanych. Kryminał zwyciężył w kategorii obiekty kultury, usługi. Jury doceniło funkcjonalność, czyli łatwość nadzoru nad osadzonymi. Zakład kosztował 63 miliony złotych, został otwarty w ubiegłym roku i jest chlubą Służby Więziennej. Karę odbywa tu 620 mężczyzn. Obiekt jest wyposażony w takie urządzenia techniczne, jak bariery mikrofalowe i czujniki podczerwieni. Dla pewności budynek otacza jednak siedmiometrowy mur. – *iggy*



KLĘSKA ŻYWIŁOWA JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

Bieda potęguje tragedię

Trzęsienie ziemi na Haiti pochłonęło 50 tysięcy ofiar, a poszkodowany jest co drugi mieszkaniec wyspy. O skali tragedii przesądziło jednak głównie ubóstwo tego państwa

...i jeszcze lepsze

Odsiadka z operacją plastyczną w pakiecie

POLSKIE SUPERPUDŁO wypada jednak blade w porównaniu z luksusem, w jakim żyją bogaci i wpływowi więźniowie w Indonezji. Podczas niespodziewanej kontroli w kobiecym zakładzie karnym w Dżakarcie inspektorzy zastali jedną z więźniarek w trakcie zabiegu upiększającego laserem. Jej 64-metrowa cęła posiadała klimatyzację, kino domowe, oddzielną kuchnię i łazienkę, a nawet pokój zabaw dla dzieci z wynajętą nianią. W podobnych warunkach żyje większość zamożnych więźniów. Ci biedniejsi gnieźdzą się w kilkunastuosobowych celach. – *sył*

TO BYŁO NAJSILNIEJSZE TRZĘSIENIE ziemi na karaibskiej wyspie od 200 lat – co to tego nie ma wątpliwości. Siła wstrząsów osiągnęła siedem stopni w skali Richtera i choć klęska dotknęła stosunkowo niewielki obszar – stolicę Port-au-Prince i jej okolice – wywołała ogromną katastrofę. Na ulicach piętrzą się ciała, służby nie nadążają z kopaniem masowych grobów, a misja ONZ (Polak, który zginął podczas trzęsienia ziemi, był jej pracownikiem) donosi, że haitańska policja praktycznie przestała istnieć. Zniszczone domy plądrują rabusie, akcja ratownicza odbywa się w kompletnym chaosie. Runęły też najważniejsze gmachy administracji państwowej. Brakuje jedzenia i wody pitnej, więc w tropikalnym klima-

cie realne staje się widmo epidemii. I choć pomoc humanitarna napływa, można postawić pytanie: czy to możliwe, że klęska żywiołowa zmioła właściwie cały aparat państwowy? Odpowiedzi szuka profesor David Stromberg z uniwersytetu w Sztokholmie. Sprawdza, o ile tragiczniejsze w skutkach są klęski żywiołowe w biednych krajach niż analogiczne zdarzenia w krajach bogatych. Wyniki są wstrząsające. – Przebadalem wszystkie zanotowane katastrofy naturalne, które miały miejsce na świecie od 1980 roku – mówi „Przekroju” profesor. – Zdarzają się tak samo często w krajach biednych i bogatych – pochłonęły w sumie dwa miliony ofiar, a ucierpiało w nich dalsze pięć miliardów osób. Jednak to,

gdzie najwięcej ludzi zginęło w wyniku kataklizmów, zależy już ściśle od dochodów państwa w przeliczeniu na osobę. W biednych krajach w wyniku tej samej klęski żywiołowej ginie średnio 12 razy więcej osób niż w bogatych! – dodaje. Przyczyną są oczywiście: bogaci mają lepszy system ostrzegania przed katastrofami, lepszy system pomocy i ratownictwa, lepsze budownictwo. Na Haiti, gdzie 80 procent społeczeństwa żyje w skrajnej biedzie, większość domów była skonstruowana z cegieł i kamieni połączonych rozwodnionym (dla oszczędności) betonem. Rozsypały się jak domki z kart.

Haiti nie dość, że jest biedne, to wyjątkowo często nękają je katastrofy. Wyspa, na początku XX wieku porośnięta lasem tropikalnym, zmienia się w pustynię. Erozja gleby i wycinanie hektarów pod pola uprawne sprawiły, że dziś pozostało dwa procent dawnego drzewostanu. To z kolei uczyniło z Haiti obszar podatny na klęski żywiołowe. Obok powodzi Haiti regularnie doświadcza huraganów. □

(Nie)urodzeni mordercy

OLIVER STONE KRĘCI ZE STALINEM I Z HITLEREM

BULWERSOWAŁ JUŻ SYMPATIA DLA FIDELA Castro i Hugo Cháveza (jej dowody dał kolejno w filmach „Comandante” i „South of the Border”), teraz postanowił stanąć w obronie Józefa Stalina i Adolfa Hitlera. Jego najnowszy miniserial „Oliver Stone’s Secret History of America” ma zaprezentować nowe spojrzenie na dyktatorów. – Ludzi nie można osądzać jako wyłącznie złych lub dobrych. Postać Hitlera była przecież efektem serii wydarzeń. A Stalin? Nie że-



bym malował go jako bohatera, ale prawda jest taka, że w walce z niemiecką maszyną wojenną zrobił więcej niż ktokolwiek inny – tłumaczył reżyser takich filmów jak „JFK” czy „Urodzeni mordercy” na spotkaniu z dziennikarzami w Pasadenie. Czy publiczność podzieli zrozumienie Olivera dla Stalina i Hitlera? Przekonamy się jeszcze w tym roku. Stone ma już zielone światło na emisję produkcji w amerykańskiej telewizji Showtime. – *kp*



Socjalizm się wali

WENEZUELA W CIEMNOŚCIACH

HUGO CHÁVEZ ZDECYDOWAŁ, ŻE W CAŁYM kraju co najmniej raz w tygodniu na cztery godziny odcinane będą dostawy prądu. Akcja oszczędzania energii może potrwać do maja, kiedy zaczyna się pora deszczowa. – Jak jesteś gruby, musisz iść na dietę – tłumaczy narodowi prezydent. Chodzi mu o to, że nieraz trzeba coś odstawić, a Venezuela musi odstawić akurat prąd. Bezpośrednią przyczyną kryzysu energetycznego jest susza, która zwolniła pracę potężnej tamy Guri na rzece Caroni produkującej 70 procent wenezuelskiej energii elektrycznej. Ale niezależni ekonomiści powodów zaciemnienia szukają w upadającej gospodarce kraju będącego jednym z największych eksporterów ropy na świecie.

Na naftowych pieniądzech zbudowany jest socjalizm, którym Chávez chciałby zarazić cały kontynent. Ale zyski z ropy zasilające służbę zdrowia, państwowe super-



Supermarket w Caracas, dzień przed dewaluacją bolívara. Ludzie robią zapasy przed podwyżką cen

markety i tanią benzynę z miesiąca na miesiąc maleją. Chávez wykurzył zachodnich inwestorów i nie modernizuje przestarzałej i niewydolnej infrastruktury. Gdy większość kontynentu wychodzi na prostą po światowym kryzysie, gospodarka Wenezueli, która w zeszłym roku skurczyła się o 2,9 procent, nadal szybuje w dół. Kraj nęka najwyższa w Ameryce Łacińskiej, 25-procentowa inflacja. – Sytuacja w mieście jest bardzo napięta – mówi nam

Ruben, 30-latek z Caracas. – Ludzie są sfrustrowani i blackout może być pretekstem do wybuchu zamieszek. Na początku roku rząd ku wściekłości ciulaczy zapowiedział 50-procentową dewaluację miejscowej waluty – bolívara – co ma podwoić naftowe zyski. Trudno przewidzieć, jak zachowa się Chávez, jeśli ludzie wyjdą na ulicę. Pewne jest tylko to, że jego socjalizm znalazł się na równi pochyłej. – *mac*

Islam w Europie



Londyn, październik 2009 roku. Grupa Islam4UK jeszcze legalna

Anglia przeciw radykałom

Brytyjski sąd zdelegalizował muzułmańską organizację Islam4UK

GRUPA OBURZYŁA OPINIĘ PUBLICZNĄ na Wyspach zapowiedzią zorganizowania demonstracji na ulicach miasteczka Wootton Bassett, gdzie odbywają się ceremonie żałobne żołnierzy poległych w Afganistanie. Członkowie Islam4UK chcieli upamiętnić afgańskie ofiary wojny. W ostatniej chwili demonstrację odwołano, ale minister spraw wewnętrznych Alan Johnson i tak stracił cierpliwość. Zapowiedział, że członkostwo w organizacji bę-

dzie traktowane jak działalność terrorystyczna. Decyzja to przejaw zwrotu w brytyjskiej polityce wobec radykalnych grup muzułmańskich uznawanej przez krytyków za zbyt łagodną. Sprawa Islam4UK zbiegła się z wyrokiem grzywny dla czterech muzułmanów z Luton, którzy przed rokiem witali żołnierzy wracających z Afganistanu okrzykami: „Mordercy!”. Obrońcy domagali się uniewinnienia, powołując się na wolność słowa. Nic z tego. – *mac*

Wino made in India

Producentom wina z Europy rośnie indyjski konkurent

TAMTEJSZY RYNEK OD PONAD sześciu lat rośnie o 30 procent rocznie. Popyt wewnętrzny jest mały (większość Hindusów to abstynenci), producenci atakują więc rynki zewnętrzne. W 2009 roku Indie sprzedały wino za blisko 4 miliony dolarów. Przy liderach światowego handlu, Włochach (4,5 miliarda dolarów), to wciąż mało, ale wystarczająco, by zaznaczyć swoją obecność. Wina indyjskie produkowane są głównie ze sprowadzonych z Francji sadzonek. W Polsce zakup butelki graniczy z cudem, w Niemczech trzeba za nią zapłacić około 10 euro (mniej więcej 40 złotych). A co ze smakiem? No cóż, pierwsze wina chijskie też nie należały do najlepszych. – *cich*



Standardy Kataryny

Przed warszawskim sądem ruszył precedensowy proces

NAJBARDZIEJ ZNANA BLOGERKA polityczna w kraju, Kataryna, domaga się od wydawcy oraz redaktora naczelnego „Dziennika” przeprosin, 20 tysięcy złotych dla siebie i takiej samej kwoty na cel społeczny. Obiektem sporu jest artykuł z maja ubiegłego roku, w którym gazeta zdemaskowała internautkę. Nie padły jej personalia, ale z opisu dało się wywnioskować, że jest to prezes konkretnej warszawskiej fundacji non profit. Powódka, która zaciekle broniła anonimowości, na rozprawę nie przyszła. Przed sądem twardy orzech do zgryzienia, bo katalog dóbr osobistych ma charakter otwarty: za każdym razem trzeba ocenić, czy takie dobro istniało i czy zostało naruszone. Czy jest nim sieciowa anonimowość? To właśnie rozstrzygnie sąd. – *iggy*

ŚWIAT

GŁOBALNY ŚMIETNIK

AFRYKA TO SKŁADOWISKO WSZELKIEGO RODZAJU ŚWIATOWYCH ODPADÓW: RZECZY I IDEI. MIEJSCE, GDZIE MOŻNA NA PRZYKŁAD SPRAWDZIĆ, JAKI SKUTEK WYWOŁA WIESZANIE HOMOSEKSUALISTÓW. NIEDŁUGO ZACZNIE SIĘ TO ODBIJAĆ CZKAWKĄ. NIE TYLKO AFRYKANOM, ALE NAM WSZYSTKIM

NEOKOLONIALIZM MACIEJ JARKOWIEC

Afrykańskie dzieci wyręczają producentów elektroniki w recyklingu. Na to wysypisko w Ghanie trafia codziennie kilkaset ton złomu z Zachodu

Ghana. Rozładunek toksycznych darów. Czego nie da się sprzedać, pójdzie na spalanie

W Kenii w powietrzu latają wychodki. Im ciężej, tym lepiej leci. Slumsy w mieście Kisumu na zachodzie kraju są nimi usłane. Na każdym

kawałku niezagospodarowanej przestrzeni, między krzywym domami pobudowanymi z gliny lub z pustaków i chatynkami z kartonu lub blachy wała się niezliczona liczba kolorowych plastikowych woreczków. To „toalety”, do których swoje potrzeby załatwiają najbiedniejsi mieszkańcy dzielnicy. Potem wyrzucają je przed dom, najdalej, jak się da. Mówią na to *flying toilet*.

– Może pozytywne zmiany trzeba by tu zacząć od sprzątania? – usłyszałem od Polki mieszkającej w Kisumu od ośmiu lat, z każdym rokiem coraz bardziej przekonanej o tym, że w przewidywalnej przyszłości Kenia nie wydobędzie się z biedy.

Afryka żyje w nędzy i brudzie. To z biedy ludzie traktują swoje otoczenie jak śmietnik. Gorzej, że przy bierności lub współudziale jej liderów jak wielki śmietnik traktuje Afrykę cały świat. Na najbiedniejszy kontynent globu można wyrzucić lub przerzucić wszystko, co już niepotrzebne, przesta-

raże, co przestaje się sprzedawać albo czego jest za dużo: toksyczne śmieci, papierosy, żywność, robotników. A ostatnio nawet radykalną ideologię.

Kara śmierci dla homoseksualistów

W marcu zeszłego roku do Ugandy zawitało trzech amerykańskich działaczy, których w ich rodzinnym kraju ignoruje się w publicznej debacie. Panowie przejechali się po kraju, by tysiącom Ugandyjczyków – nauczycielom, policjantom i politykom – dać cykl pogadanek. Według Stephena Langa, miejscowego współorganizatora tych występów, zaproszeni Amerykanie to „wybitni eksperci w dziedzinie homoseksualizmu”, a ich wykłady traktowały o „ciemnych, ukrytych celach światowego homoseksualizmu i płynących z nich zagrożeniach dla wartości opartych na Biblii i dla tradycyjnej afrykańskiej rodziny”.

Niedługo po tournée grupa ugandyjskich parlamentarzystów pozostająca pod wrażeniem nauczania „ekspertów” zakasała rękawy i zasiadła do pracy. Jej efektem jest przedstawiony pod koniec minionego roku projekt ustawy antyhomoseksualnej przewidujący karę śmierci za dopuszczenie się aktów sodomii. Jeśli przejdzie przez par-



BYLI KOLONIZATORZY DOŚĆ SZYBKO DOSTRZĘGLI MOŻLIWOŚĆ URZĄDZENIA SOW AFRYCE ZSYPU. JEST IM POTRZEBNY PO TO, ŻEBY MNIEJ BRUDZIĆ U SIEBIE



lament, kraje Zachodu zapowiadają odciecie Ugandzie strumienia dolarów służącego pomocy rozwojowej.

Kolonie Wuja Sama

Międzyrządowe umowy sankcjonujące w latach 70. eksport toksycznych odpadów do Afryki rozpoczęły nową falę ukrytego kolonializmu. Z grubsza polega to na tym, że kraje silniejsze gospodarczo robią na afrykańskiej biedzie i korupcji świetne interesy i traktują kontynent jak śmietnik. Według wielu badaczy afrykańskiej niedoli jednym ze skuteczniejszych narzędzi nowego kolonializmu jest pomoc żywnościowa zarządzana przez ONZ-owski Światowy Program Żywnościowy (WFP). Jego głównym sponsorem są Stany Zjednoczone, które dostarczają 65 procent zbóż. Od epoki apokaliptycznego głodu, który opanował Etiopię w 1984 roku, świat zdążył przywyknąć do telewizyjnych obrazków dzieci z okrągłymi brzuskami. Epidemia głodu

Slums Kroo Bay w Sierra Leone, według ONZ – najbiedniejszym państwie globu

trwa w Afryce w zasadzie nieprzerwanie, przenosząc się jedynie z miejsca na miejsce. Z 200 milionów niedożywionych dzieci świata 90 procent mieszka w Afryce. Trudno więc mieć Amerykanom za złe, że wysyłają tam rokrocznie tony kukurydzy, soi i oleju. Problem w tym, że zgodnie z amerykańskim prawem trzy czwarte tej żywności musi pochodzić od amerykańskich farmerów. Afryka stała się dla USA wysypiskiem zdolnym przyjąć każdą ilość rolniczych nadwyżek. Amerykanie produkują więc te nadwyżki bez opamiętania, dotując swoich farmerów z rozmachem nieznanym nawet Wspólnej Polityce Rolnej UE. W 2002 roku prezydent George W. Bush przepchnął przez Kongres ustawę przyznającą sektorowi rolniczemu 190 miliardów dolarów dotacji w ciągu 10 lat, z czego 57 miliardów w postaci bezpośrednich dopłat dla farmerów. Kto traci najwięcej na takiej polityce? Rolnicy w Afryce, którzy w wielu krajach kontynentu generują połowę PKB. Po pierwsze, amerykańska doktryna nie pozwala WFP skupować żywności bezpośrednio od nich – musi ona przybyć z Idaho i Kalifornii na amerykańskich statkach (to też ustawowy warunek amerykańskiej pomocy – trzeba przecież dać zarobić swoim przewoźnikom). Po drugie, amerykańskie dotacje obniżają ceny na całym globie, co też najbardziej uderza w rolników afrykańskich. W 2007 roku na znak protestu z WFP wypisała się CARE, jedna z największych organizacji pomocowych świata. Działacze od lat apelują do rządu USA, aby pomoc przekazywał w gotówce, za którą można by kupić żywność od farmerów na miejscu. Bezskutecznie.

PKB ze śmietnika

Na wysypisku śmieci w największym mieście Nigerii, Lagosie, głodne dzieciaki w brudnych koszulkach i dziurawych japonkach pracują pilnie przy recyklingu. Z niezliczonych ognisk trawiących trzewia komputerów, telewizorów i innej elektroniki unosi się trujący dym. Gdy spłonie plastik, zostaną miedziane druty nadające się na sprzedaż.

Lesoto. Odzieżowe giganty, jak Gap i Levi's, pobiły rekordy. Wśród toksycznych dymów z palonych skrawków zawsze można znaleźć coś na sprzedaż

Elektroniczny złom trafił tu z Zachodu, przede wszystkim z Unii Europejskiej. Greenpeace szacuje, że z samej Wielkiej Brytanii każdego roku do Afryki eksportuje się nielegalnie ponad 30 milionów ton toksycznych e-odpadów. Międzynarodowe prawo zakazuje obrotu nimi, a obowiązkiem neutralizacji obarcza producentów. Ale wart setki milionów dolarów czarny rynek wywózki e-złomu na Czarny Ląd kwitnie. Na największym w Afryce targu elektroniki Alaba w Lagosie codziennie rozładowywanych jest sześć kontenerów używanego sprzętu z Europy i Azji. Co najmniej jedna trzecia nie nadaje się do użytku i trafia na pobliskie wysypisko opanowane przez dzieci.

Byli kolonizatorzy dość szybko dostrzegli możliwość urządzenia sobie w Afryce zsypu. Od wczesnych lat 70. sparaliżowane gospodarczą niemocą postkolonialne rządy z chęcią przystawały na wielomilionowe umowy z Paryżem, Londynem czy Bonn na import toksycznych odpadów. W latach 80. władze Gwinei-Bissau strategię gospodarczego przyspieszenia mającego w ciągu kilku lat uczynić z kraju eldorado oparli na wizji importu milionów ton trujących śmieci z całego świata. Ich plany pokrzyżowała podpisana w 1987 roku w Bazylei konwencja →

→ ONZ delegalizująca obrót toksycznymi odpadami. Nie powstrzymała ona jednak rozwoju czarnego rynku, który dziś, gdy przeciętny mieszkaniec Zachodu raz na trzy lata wymienia laptopa, jest prężny jak nigdy dotąd.

Malowane państwa

Historia afrykańskiej biedy (i brudu) zaczyna się jeszcze przed umowami o eksporcie śmieci, bo w latach 50. ubiegłego wieku, kiedy po 70 latach kolonializmu Czarny Ląd zaczął odzyskiwać wolność. Po narodowowyzwoleńczej fali, która jak tsunami przeszła przez kontynent, Afrykanie zostali sami nie tylko z niepodległością, ale także z kompletnym brakiem doświadczenia w sprawowaniu władzy państwowej. Afryka przedkolonialna była w większości krainą bezpaństwową, a klan – rządzony przez starszyznę na podstawie ustnie przekazywanych tradycji i praw – był na przeważającym obszarze kontynentu największym organizmem społecznym. A tu nagle z dnia na dzień Afrykanie mieli zacząć rządzić się na zasadach demokratycznych (do których Zachód dojrzał przez stulecia) w ramach państw i narodów niebędących owocem wielopokoleniowych etnicznych więzi, tylko kreska namalowanych na mapie przez moźnych XIX-wiecznej Europy.

Jako jedna z pierwszych niepodległość uzyskała Ghana. Przywódca tamtejszego ruchu narodowego, były więzień polityczny Kwame Nkrumah, objął ster rządów w 1957 roku. Dziewięć lat później, po tym jak kosztem setek milionów dolarów pobił państwo rządowe pałace, znacjonalizował większość przemysłu, siłą uspokoił związki zawodowe, opozycję zamknął w więzieniach i ostatecznie doprowadził kraj do bankructwa, został obalony w wojskowym zamachu stanu. Jak pisze Martin Meredith w wydanym w 2005 studium ery postkolonialnej „The Fate of Africa”, karia Nkrumaha ustanowiła „szablon rozczarowania”, który miał się powtarzać przez kolejne dziesięciolecia na całym kontynencie.

Wejście smoka

Przykłady takich państw jak Botswana czy Senegal pokazują jednak, że stabilne, odpowiedzialne, mozolnie budujące dobrobyt rządy są w Afryce możliwe. Znaczący kontynentu dzieli się na dwie grupy: tych, którzy uważają, że Afryka jest biedna, bo jest beznadziejnie rządzona, i tych, którzy twierdzą, że jest na odwrót. Do drugiej grupy należy profesor Uniwersytetu Columbia Jeffrey Sachs (doradzał pierw-



Ugandyjczycy nie chcą u siebie gejów. Goście z Zachodu dali im pomysł, żeby ich powywieszać



Ofensywa koncernów tytoniowych jest skuteczna. W Nigerii pali co czwarty nastolatek

szemu niekomunistycznemu rządowi Tadeusza Mazowieckiego) przekonujący w książce „Koniec ubóstwa”, że kolonialny dług wobec kontynentu nie został spłacony i lekiem na całe zło będzie umorzenie długów, wielokrotne zwiększenie pomocy i reforma międzynarodowego prawa handlowego, które dziś stawia afrykańskich eksporterów na przegranej pozycji. Adwersarze Sachsa, jak Robert Guest – autor analizy „The Shackled Continent” („Kontynent w kajdanach”) – twierdzą z kolei, że problem jest przede wszystkim polityczny. Afryka od dziesięcioleci nie może się doczekać kompetentnych, uczciwych rządów. Guest wylicza: kiedy mi-

nistrowie kradną pieniądze z kasy programów społecznych, tym samym szerzą ubóstwo, choroby i analfabetyzm. Kiedy celnicy biorą łapówki, rosną koszty transportu, a wraz z nimi ceny podstawowych dóbr. Kiedy rządzący dystrybuują posady między członków swojego klanu, pogłębiają etniczne animozje. Nic dziwnego, że kraje afrykańskie są areną czterech piątych wybuchających na świecie wojen domowych.

Powraca pytanie, które zadaje sobie Polka mieszkająca w Kisumu: czy ratunkiem dla Afryki nie są po prostu gruntowne porządki, które kontynent musi przeprowadzić sam? Robert Guest nie ma wątpliwości, że tylko Afrykanie mogą uratować Afrykę – przez budowę konkurencyjnych gospodarek. Według niego korupcja nie jest symptomem afrykańskich proble-

mów, tylko ich podstawową przyczyną. To z nią w pierwszej kolejności Afrykanie nie muszą zrobić porządek.

Reszta świata im w tym nie pomoże, bo wysypisko jest jej przecież potrzebne. Choćby po to, żeby jak najmniej brudzić u siebie. Tak jak Amerykanom dla ich nadwyżek żywności. Albo Chińczykom, dla których Afryka stała się w ostatnich latach głównym celem gospodarczej ekspansji i doskonałym wysypiskiem wszelkiego nadmiaru. Przez kontakty, bardzo często podszyte korupowaniem afrykańskich liderów, Chińczycy nie tylko budują sobie w Afryce bazę surowcową, która ma zapewnić paliwo ich gospodarce, ale też tworzą nowy, olbrzymi rynek zbytu na miliardy ton produkowanych u siebie towarów wątpliwej jakości. Tworzą też region bufor, do którego przerzucają nadmiar siły roboczej. Na Mauritiusie zastępowanie robotników w fabrykach tańszymi od miejscowych Chińczykami jest częścią strategii rządowej. W ostatnich kilku latach do stolicy Zambii Lusaki wprowadziło się 30 tysięcy Chińczyków zatrudnionych do pracy w okolicznych kopalniach. W 2004 roku w Dakarze doszło do starć między chińskimi sprzedawcami a wytwórcami i sklepikarzami senegalskimi, którzy nie wytrzymali konkurencji i musieli zwinąć interes.

Zaśmiecanie kontynentu odbywa się na wiele sposobów. Jak choćby przez europejskie i amerykańskie koncerny tytoniowe, które tracąc pole w legislacyjnej i podatkowej wojnie z rządami Zachodu, przerzucają się na uzależnia-

nie najmłodszych Afrykanów. Podczas gdy dziś pali już zaledwie co piąty dorosły Amerykanin (najmniejszy wskaźnik, odkąd prowadzone są statystyki), w Nigerii odsetek palaczy jest wyższy nawet wśród nastolatków (25 procent). Afrykański rynek, na którym jeszcze nie tak dawno tytoń był mało popularny, jest dziś dla branży nie lada kąskiem. Zdobywa go ona przez niedopuszczalny na Zachodzie agresywny marketing i promowanie sprzedaży pojedynczych papierosów, dlatego stają się one dostępne nawet dla najbiedniejszych mieszkańców slumsów. Afryka się uzależnia, co wywoła katastrofalne skutki zdrowotne i demograficzne już pod koniec rozpoczynającej się właśnie dekady.

Pranie mózgu w buszu

Ale dużo gorsze mogą okazać się efekty ofensywy ideologicznej, która w ostatnich latach nabrała w Afryce tempa. Przy ogromie namacalnych problemów, z jakimi boryka się kontynent, ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, to spychanie go w otchłań różnorodnych fanatyzmów. Panowie z USA, którzy natchnęli Ugandę do napisania projektu prawa skazującego na śmierć mniejszości seksualne, są związani z jedną z licznych amerykańskich sekt ewangelikalnych, czyli radykalnych grup biblijnego nauczania nietolerujących innowierców. W ostatniej dekadzie, również dzięki silnym wpływom w administracji Busha, umocowały one swoje struktury na całym kontynencie i nawracają na potęgę.

Przed dwoma laty odwiedziłem za przyjaźnią rodziną Masajów na bez-

kresnej równinie Masai Mara w Kenii. Ojciec pracujący na co dzień jako przewodnik safari za zaoszczędzone pieniądze kupił na targu stary telewizor z magnetowidem i chiński generator prądu. Byłem świadkiem, jak gromada jego dzieci pierwszy raz w życiu patrzyła za hipnotyzowaną w ruchome obrazy. Jedyna kasetka, jaką przywiózł, zawierała nagranie indoktrynujących piosenek intonowanych przez masajskich kaznodziejów, których zwerbowali zielonoświątkowcy. Dzieciaki oglądały to w kółko do białego rana, a po równinie niósł się warkot generatora.

Nieprzypadkowo tegoroczny, III Światowy Kongres Ewangelizacji odbędzie się w Capetown, w RPA (poprzednie dwa miały miejsce w 1974 roku w Bazylei i 1989 w Manili i okazały się potężnym bodźcem dla rozwoju całego ruchu). Zielonoświątkowcy ogłosili rozpoczynające się dziesięciolecie swoją dekadą i mają zamiar nawrócić 10 milionów ludzi w samej Afryce. Już dziś ich wyznawcy stanowią według niektórych szacunków nawet 20 procent populacji kontynentu i mają coraz większy wpływ na kształtowanie prawa. Według Thomasa Cargilla z londyńskiego instytutu Chatham House jeden z częściej stawianych im zarzutów to promowanie religijnej nietolerancji.

– Wielu ewangelikalnych liderów napuszcza wyznawców na ludzi innej wiary – mówi nam Cargill. – Do niedawna kontynent słynął z pokojowej koegzystencji różnych religii. Dziś, choćby w Nigerii, widać, że rosnące animozje między chrześcijanami a muzułmanami mogą zagrozić stabilności wielu afrykańskich państw.

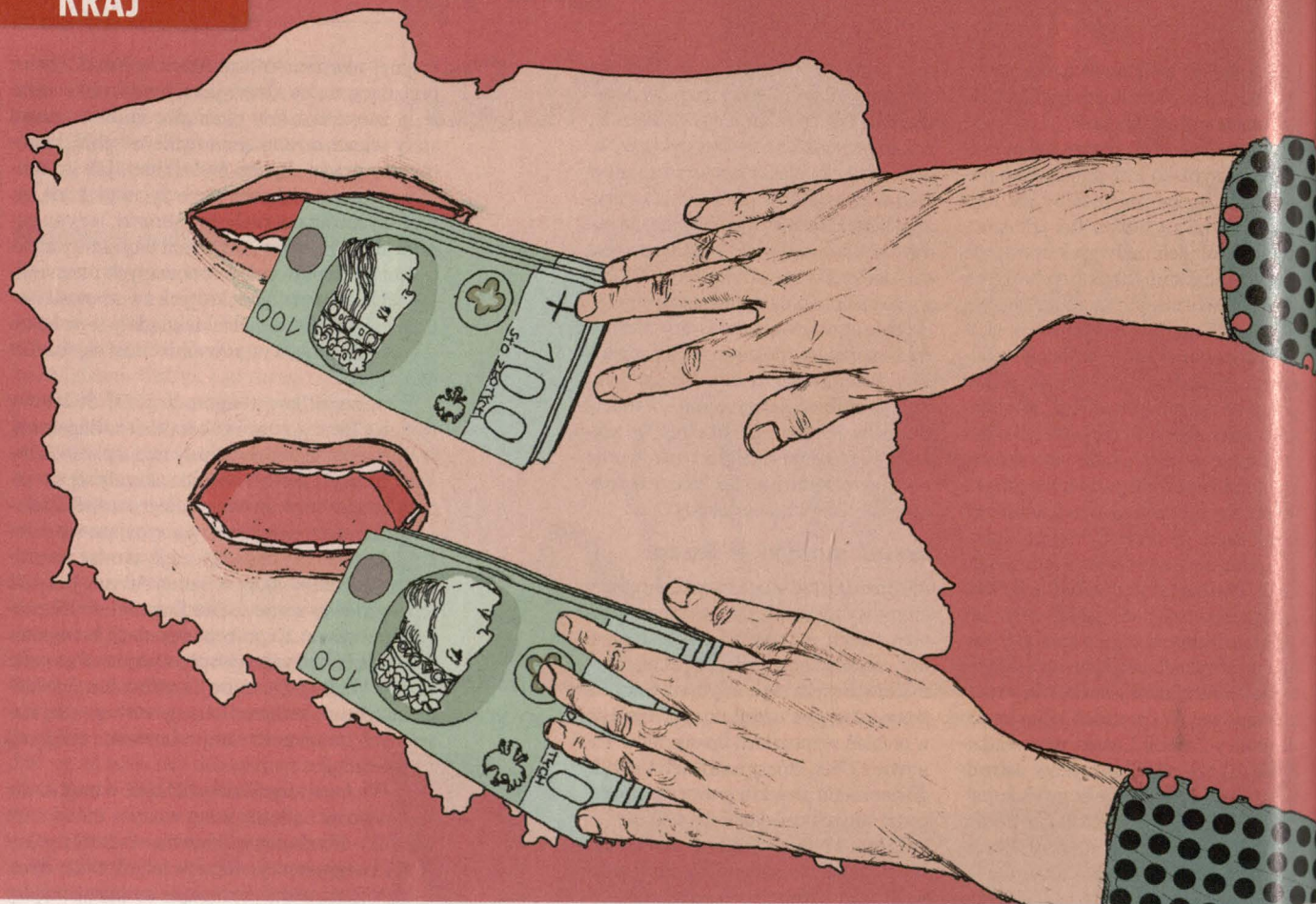
Gdy sekciarskie chrześcijaństwo spotyka islamski ekstremizm, który wsiąka w Afrykę, szukając sobie bezpiecznych kryjówek, najbardziej szkodliwym kontynentem świata z wysypiska przeobraża się w ideologiczną beczkę prochu. □

REKLAMA

Po pierwsze,
przyszłość to słowo na plus.



Amplico



PODATKI DLA PRZYJEMNOŚCI

POLITYKA FINANSOWA TEKST KRZYSZTOF SZCZEPANIAK, ILUSTRACJA MACIEJ SIEŃCZYK

NA EKOLOGIE,
NA SKŁADKĘ UNIJNĄ,
NA WALKĘ Z CUKRZYCĄ
– W GŁOWACH
POLITYKÓW RODZĄ SIĘ
CO CHWILA POMYSŁY
NA NOWE PODATKI
CELOWE. POLITYCY BOJĄ
SIĘ JE NAGŁAŚNIAĆ.
DLACZEGO, SKORO
PŁACENIE PODATKÓW
BYWA PRZYJEMNE

TO BYŁ PRZEŁOMOWY EKSPERYMENT. NAUKOWCY z Uniwersytetu Oregońskiego zaprosili dwa lata temu 19 ochotniczek. Każdej przydzielono po sto dolarów, po czym poproszono je, by losy tych pieniędzy obserwowały na ekranie monitora. W tym czasie mózgi ochotniczek były badane rezonansem magnetycznym. Raz uczestniczki badania mogły zdecydować, czy chcą wpłacić pieniądze na akcję charytatywną, innym razem dowiadywały się, że nie mają wyboru, bo pieniądze muszą iść na opłacenie podatków.

Jądra ogoniaste i półleżące, czyli obszary mózgu odpowiedzialne za odczuwanie satysfakcji, zwiększały swoją aktywność podczas transferów pieniędzy. Zaobserwowano przy tym, że reakcje mózgu były dużo bardziej gwałtowne, gdy pieniądze trafiały bezpośrednio do organizacji charytatywnej, a mniej widoczne (ale jednak zauważalne), gdy środki były uczestniczkom po prostu zabierane. – To pierwszy naukowy dowód na to, że obowiązkowe podatki mogą pobudzać w mózgu obszary, które wiążą z poczuciem osobistego

zadowolenia – tłumaczy „Przekrojowi” profesor William T. Harbaugh, jeden z autorów badania, którego wyniki opublikował tygodnik „Science”. Od eksperymentu minęły już dwa lata, a profesor Harbaugh wciąż chce je rozwinąć, bo w neuroekonomii, czyli tłumaczeniu zjawisk ekonomicznych z wykorzystaniem narzędzi do badania mózgu, widzi ogromną przyszłość.

Wkurzeni abstrakcją

Robert Gwiazdowski z Centrum im. Adama Smitha także przekonuje, że ludzie dużo lepiej odbierają podatki, gdy wiedzą, na jaki cel idą. – Podatki celowe, jeśli rzeczywiście są wykorzystywane na założone cele, płaci się chętniej, bo nie czujemy się okradani – tłumaczy. – Widać to przy VAT i podatku dochodowym. Gdy wyjeżdżamy z salonu nowym samochodem, nie rozważamy, ile w kwocie, którą zapłaciliśmy, było ceny, a ile podatku, bo wiemy, że ta zapłata wiązała się z konkretną korzyścią dla nas: kupiliśmy nowy samochód. Ale gdy wypełniamy PIT i fiskus zabiera nam 18 czy

32 procent naszych dochodów, czujemy się wkurzeni, bo nie mamy pojęcia, po co je fiskusowi oddajemy.

Jeszcze bardziej się wkurzaliśmy, gdy w latach 90. XX wieku każdy kierowca wnoszył „opłatę drogową” przeznaczoną na budowę i remonty dróg. Choć pieniądze szły, nowe drogi nie powstawały. Prawo nie definiowało bowiem, na jakie inwestycje środki miały być przeznaczane.

– Amerykańskie badania wydają się zaskakujące, być może jednak rzeczywiście wprowadzenie nowych podatków zmieniłoby w Polsce sposób postrzegania podatków w ogóle – komentuje Paweł Arndt, szef sejmowej komisji finansów publicznych. – Polakom podatki kojarzą się źle, ale na pewno zupełnie inaczej spojrzelibyśmy na problem, gdyby podobne badania przeprowadzono w Polsce – dodaje.

Czy zatem Platforma wprowadzi wszystkie nowe propozycje w życie?

– Myślę, że na razie wprowadzenie nowych obciążeń może być trudne do przełknięcia, ale w przyszłości być może warto o tym pomyśleć – tłumaczy Arndt.

Metanowa, zapasowa

„Ani lewica, ani prawica nie mają odwagi powiedzieć obywatelom, że podatki są fajne. Obniżanie podatków jest działaniem wspierającym egoistyczny indywidualizm, a ich podnoszenie pomaga tworzyć wspólnotę” – tak kilka lat temu w cyklu tekstów o zmianach w podatkach w „Gazecie Wyborczej” pisała Kinga Dunin.

Anita Błochowiak z Lewicy, wiceprzewodniczka sejmowej komisji finansów, uważa, że podatki nie są fajne, ale przyznaje: – W imię solidarności społecznej ludzie do-

W średniowieczu sól była luksusem, więc istniał podatek od żup solnych. Dziś produkty luksusowe też można opodatkować, ale najważniejsze jest to, by obniżyć podatki dotychczas istniejące

skonałe zdają sobie sprawę, że podatki są narzędziem potrzebnym. Tyle że tak często się przy nich majstruje, że skojarzenia z podatkami są złe.

Może jednak wprowadzanie podatków celowych, przynajmniej niektórych, Platforma bać się nie powinna? Tyle że powinna o nich zacząć głośniej mówić i tłumaczyć ludziom, po co one są.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy politycy PO rzucili całą masę pomysłów na podatki. Gdybyśmy dobrze policzyli, okazałoby się, że po trzech latach rządzenia Platformie udało się dobić nawet do 15 nowych danin, co pozwoliłoby jej ogłosić nowy program pod hasłem „3 x 15”. „Trójka” oznaczałaby trzylecie rządów, a „15” liczbę nowych podatków. Czy nie byłaby to świetna alternatywa dla wyborczego „3 x 15”, które oznaczało wprowadzenie podatku liniowego dla wszystkich trzech grup podatkowych?

Najnowsze pomysły Platformy zmiatają na szczęście do tego, by prawo definiowało, na jakie cele pieniądze byłyby kierowane.

Pomysł pierwszy to seria opłat energetycznych, które byłyby doliczane do rachunków za prąd, gaz i paliwo na stacji benzynowej. Jedną z takich opłat („opłata węglowa”) miałyby służyć pozyskaniu pieniędzy na składkę unijną, z której realizowane są projekty związane z ochroną środowiska. W ten sposób konsument, kupując i wykorzystując paliwo czy energię, płaciłby za zanieczyszczenie, które sam powoduje, czy-

li za emisję CO₂ do atmosfery. Opłata druga, zwana „dywersyfikacyjną”, miałaby pomóc uniezależnić Polaków od dostaw gazu z Rosji. Z dywersyfikacyjnego funduszu byłyby finansowane najważniejsze dla kraju projekty – inwestowanie w infrastrukturę przesyłową i przeładunkową, na przykład port do odbioru gazu ziemnego w Świnoujściu. Któż z nas nie chciałby, by w końcu dyskusje o gazociągach zniknęły z czołówek gazet?

Pojawiłaby się też „opłata metanowa” (bo sprzedawcy energii elektrycznej od tego roku muszą kupować prąd wytwarzany z metanu) i „zapasowa” (mielibyśmy tworzyć z niej państwowe rezerwy ropy i paliw).

Wprowadzenie opłat oznaczałoby, że wydatki na prąd i gaz wzrosłyby o kilkanaście złotych na każde gospodarstwo domowe, ale cóż z tego? Nasze zadowolenie z płacenia podatków tłumaczy przecież to, że ratowalibyśmy nasze środowisko (metan jest bardziej ekologiczny niż węgiel) i przestalibyśmy żyć w strachu, że Rosja kurek nam zakreśli.

Aromat z akcyzą

Potrzeby energetyczne naszego państwa to jednak nie wszystko. W kolejce czekają kolejne pomysły na nowe podatki, a w zasadzie paropodatki. Ministerstwo Infrastruktury zamierza wprowadzić opłatę dworcową od firm przewozowych (a więc na przykład PKP InterCity) na rzecz tworzonej przez PKP spółki Dworce Kolejowe. Obowiązek wydzielenia w cenie biletu za przejazd takiej właśnie →

REKLAMA

Po drugie,
nowe czasy to nowe możliwości.



Amplifico

→ opłaty wprowadziłaby ustawa o transporcie kolejowym. – To nie jest nowa opłata. Tuż po wojnie istniał w Polsce podatek peronowy, który płacili ci, którzy chcieli odprawić podróży na peron – tłumaczy Sławomir Sikorski z Ministerstwa Infrastruktury. Choć po wprowadzeniu nowej opłaty ceny biletów kolejowych nieco by wzrosły, wreszcie znalazłyby się pieniądze na remont kilku najsłabszych dworców w Polsce.

Senator PO Jan Rulewski zaproponował natomiast wprowadzenie akcyzy na napoje smakowe i sztucznie aromatyzowane. Pieniądze (dokładnie 40 groszy od każdej butelki) miałyby iść na walkę z cukrzycą i opiekę nad osobami starszymi. – Chodzi o to, by firmy wprowadzające na rynek plastikowe butelki zmusić do wprowadzenia opłat recyklingowych. Klienci zwracaliby wówczas butelki do sklepów, a jeśli producenci napojów na wprowadzenie takich opłat by się nie zgodzili, musieliby opłacać akcyzę. Innym argumentem, który przemawia za wprowadzeniem podatku od coli, jest walka ze złą dietą Polaków – tłumaczy senator Jan Rulewski, którego projekt do dziś nie został odrzucony. Senator słyszy nawet ostatnio w ministerstwach, w których złożył projekt, że jego propozycja jest „w obróbcie”.

Jeszcze inny pomysł ma senator Mieczysław Augustyn (też PO). Chce wprowadzić podatek pielęgnacyjny, z którego pieniądze miałyby iść na opiekę nad osobami starszymi, na przykład na domy seniorów. Pieniądze trafiłyby do wydzielonego funduszu opiekuńczego, a więc nie ginęłyby w ZUS-ie.

Rządowe kreacje

Na propagowaniu nowych podatków trudno stracić twarz, co pokazuje przykład francuskiego polityka Alaina Lamassoure'a, który dwa lata temu rzucił propozycję podatku od SMS-ów i e-maili. I choć wiele osób wówczas oburzyło się tym pomysłem, Lamassoure'a w ostatnich wyborach ponownie wybrano do europarlamentu. Został w nim nawet szefem komisji budżetowej, jednej z najważniejszych. I dziś europarlamentarzyści wciąż chcą debatować nad wprowadzeniem ogólnoeuropejskiego podatku na rzecz Parlamentu Europejskiego lub innych urzędów unijnych. Choć już o koncepcji polityka, by każdy obywatel UE płacił 0,00001 eurocenta od każdego wysłanego komunikatu, zapomnieli.

Także propozycja sprzed kilku lat Gudrun Schyman, przywódczyni Partii Lewicy w Szwecji, by wszyscy mężczyźni płacili podatek od tego, że są mężczyznami, a zebrane w ten sposób pieniądze byłyby przeznaczone na leczenie kobiet – ofiar przemocy domowej – nie złała jej kariery politycznej. Polityczka stoi dziś na czele szwedzkiej partii feministycznej i z jej głosem jako liderki ruchu feministycznego, mimo że jej ugrupowanie nie jest reprezentowane w szwedzkim parlamencie, politycy muszą się liczyć.

Jeden z najsłynniejszych podatków celowych ostatnich lat przeznaczany na kraje rozwijające się też nie wzbudził wielkich protestów. W 2006 roku podatek od biletów lotniczych, z którego pieniądze miały być przekazywane na pomoc krajom Trzeciego Świata, wprowadziła Francja, a w ślad za nią poszło kolejnych siedem państw. Pieniądze przekazywane są utworzonej pod auspicjami ONZ organizacji UNITAID. Do tej pory udało jej się zebrać kwotę 730 milionów dolarów, z których kupowane są leki na gruźlicę, malarię czy testy na obecność wirusa HIV.

W USA akcyzę od coli i innych napojów wysokosłodzonych (wprowadzoną ze względu na wysokie koszty leczenia cukrzycy) popiera połowa Amerykanów (podatek ten istnieje już w 33 stanach). Ciepło przyjmowany jest też w Kanadzie podatek od wynajmu mieszkań. Opłata przeznaczana jest na szkoły, a właściciel musi sprecyzować nawet, na jaki typ chce go płacić: placówki publiczne czy wyznaniowe (na przykład katolickie).

Interwencja rządu ma sens, jeśli chodzi o kreowanie określonych zachowań i gdy konieczne jest modyfikowanie rynku, który sam nie jest w stanie się zmienić. Tak twierdzą

NOWE Podatki

- pakiet czterech opłat energetycznych doliczanych do cen energii – na ochronę środowiska i uniezależnienie się od Rosji
- podatek od napojów wysokosłodzonych, na przykład coli, energizerów – na pomoc osobom starszym i walkę z cukrzycą
- składka pielęgnacyjna, wydzielona z wpłat do ZUS – na opiekę nad osobami starszymi
- podatek od samochodów służbowych, które wykorzystywane są do celów prywatnych – pracodawca do przychodów pracownika miałby dopisywać w jego PIT kwotę w wysokości 0,5 procent wartości samochodu
- podatek, a dokładnie procent doliczany

do ceny każdego telewizora czy odtwarzacza DVD. Byłyby przeznaczane na Narodowy Instytut Audiowizualny, który zajmuje się digitalizacją najważniejszych dzieł kultury

- opłata dworcowa, doliczana do ceny biletów kolejowych, miałaby iść na remonty dworców
- podatek lokalny od dachów. Szkoły, supermarkety, zakłady produkcyjne płaciłyby opłatę lokalną od deszczówki do ścieków kanalizacyjnych. Im większy dach, tym większy podatek (są pierwsze gminy, które już go wprowadziły)
- podatek ekologiczny na auta uzależniony od poziomu emisji spalin, który miałby zastąpić akcyzę na samochody

ekonomiści. – Z wprowadzaniem podatków celowych trzeba jednak uważać, by koszty ich obsługi ponoszone na przykład przez działy księgowości przedsiębiorców czy ogólnie przez podatników nie zaczęły przewyższać korzyści z gromadzenia tych podatków. Każdy nowy podatek to konieczność jego wyliczenia, a więc dodatkowa biurokracja – tłumaczy Zbigniew Liptak, doradca podatkowy w firmie doradczej Ernst & Young.

Z ostatniego rankingu Banku Światowego wynika, że przeciętna polska firma obciążana jest 40 różnymi podatkami, których obsługa zajmuje średnio 395 godzin w roku. Na świecie średnia liczba podatków wynosi 31. Ich obliczanie i przelewianie zajmuje 283 godziny. Pomyślmy tylko, że polski księgowy ma o ponad 100 godzin więcej przyjemności z obliczania podatków niż przeciętny księgowy światowy!

Zlikwidować dochodowy

Skoro jednak w naszym mózgu mamy zakodowane to, że płacenie podatków sprawia nam przyjemność, nic dziwnego, że Platforma zrezygnowała z podatku liniowego. – W średniowieczu sól była luksusem, więc istniał podatek od żup solnych. Być może receptą jest wprowadzanie podatków od produktów luksusowych. Albo można opodatkować plastik. Wszyscy się przecież zgadzamy, że rozkłada się on latami i jako społeczeństwo musimy ponosić koszty jego składowania na wysypiskach – zastanawia się Robert Gwiazdowski. – Najważniejsze jest jednak to, by wprowadzając nowe podatki celowe, redukować istniejące – zaznacza ekonomista, zwolennik całkowitego zlikwidowania w Polsce podatku dochodowego i zastąpienia go wyższym podatkiem VAT i konkretnymi podatkami celowymi.

– Podatki celowe mają sens wyłącznie wtedy, gdy służą kształtowaniu określonej, powszechnie akceptowanej polityki, na przykład w dziedzinie ochrony środowiska, a nie wyłącznie celom fiskalnym, czyli zdobyciu dodatkowych pieniędzy do budżetu – ocenia Zbigniew Liptak. – Zawsze więc warto rozważyć, czy zamiast wprowadzać nowe podatki celowe, nie lepiej wprowadzić mechanizmy zmierzające do efektywniejszego wykorzystania środków zbieranych z podatków już istniejących – dodaje.

Jaki podatek sprawia nam większą radość, a jaki mniejszą? Tego jeszcze rezonansem nikt nie zbadał. Ale może to właśnie przyszłość neuroekonomii? Na razie więc dyskusja o podatkach będzie się zapewne kręciła ciągle wokół tego samego: zmniejszyć podatki o jeden punkt procentowy czy może o dwa, obłożyć podatkami bogatych czy wszystkich po równo.

RADIO **VOX FM** Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 19 stycznia o godz. 20.00

Po trzeciej,

to co dobre – takim pozostaje.

Tak jak dotychczas, klienci naszych trzech firm – Amplico Life, Amplico PTE, Amplico TFI mogą liczyć na to, że potraktujemy ich z największą starannością.

→ Lata doświadczenia.

→ Wiele nagród i wyróżnień w rankingach najlepszych polskich przedsiębiorstw.

→ Zadowoleni klienci.

To zobowiązuje...

Dlaczego? To proste – bo najważniejsi we wszystkim co robimy jesteście Wy.

Ty i Twoja Rodzina.

Pozdrawiamy serdecznie.



Dowiedz się więcej
www.amplico.pl

Amplico

Bliżej siebie. Dla Ciebie.

Welcome in Zakopane

Miejsce magiczne – to jedno z wielu hasel, którymi promuje się dziś miasto spod Giewontu. Rzeczywiście, chyba tylko dzięki czarom-marom do zimowej stolicy Polski wciąż udaje się ściągnąć masy naiwnych turystów



Doktor Maciej Pinkwart, pisarz i autor kilkunastu przewodników po Zakopanem, kustosz w zakopiańskim muzeum Atma (choć mieszka w Nowym Targu), codziennie rano w drodze do pracy puka się w czoło. Bo wciąż nie może się nadziwić tłumom obywateli jadących pod Tatry. A właściwie posuwających się koło za kołem po częściowo zmodernizowanej zakopianie. Częściowo, bo przebudowę najbliższego Zakopanemu odcinka górale skutecznie oprotowali. Maciej Pinkwart wciąż zadaje sobie pytanie: po co ci ludzie tam jadą? Bo chyba nie po to, by poszaleć na nartach.

– Zakopane i sporty zimowe? Wolne żarty – śmieje się gorzko Andrzej Bielawa, wielokrotny mistrz Polski w narciarstwie alpejskim, współwłaściciel kolejki krzesełkowej w Małym Cichym.

Pięć lat temu Bielawa wpadł na pomysł, by reaktywować kompleks narciarski na Butorowym Wierchu. Najpierw przyjrzał się narciarskim zasobom miasta pod Giewontem. A to 20, często znacznie od siebie oddalonych, kilometrów tras narciarskich obsługiwanych przez jedną kolej linową, 6 wyciągów krzesełkowych i 15 orczyków (przeważają trasy trudne i bardzo trudne jak Kasprowy i Nosal).

Dla porównania – tylko jedna słowacka góra, czyli Chopok, to 35 kilometrów tras o rozmaitej trudności, gdzie wjechać można 6 kolejkami krzesełkowymi i 19 orczykami. Nie wspominając już o Dolinie Słońca, włoskiej Val di Sole, gdzie działa przeszło 115 wyciągów każdego rodzaju obsługujących blisko 400 kilometrów tras.

Bielawa więc pomyślał, że w Zakopanem 115 to może przesada, ale jeden wyciąg więcej na pewno by się przydał.

Kolejkę na Butorowy wybudowały ponad 30 lat temu Polskie Koleje Linowe, a zamknęły ją w latach 90., gdy właściciele działek, przez które przebiegała trasa, przegrodzili górę płotami. Właściciele owi rozpoczęli tym samym wieloletnią tradycję przegradzania pod Tatrami wszystkiego, co tylko da się przegrodzić.

O dziwo, ku zdumieniu całego Podhala, Bielawie udało się namówić upartych gazdów, by oddali mu leżącą odłogiem ziemię w dzierzawę. Już witał się z gaską, gdy nieoczekiwanie PKL wykupiły jedną z działek na zboczu Butorowego. Po co? By Bielawie przeszkodzić w realizacji planów.

– Nie może być tak, że jeden podmiot próbuje zniszczyć drugi – oficjalnie wyjaśnił swoje posunięcie Paweł Murzyn, wicedyrektor PKL w Zakopanem. W związku z czym po Butoro-

Narciarze mogliby jeździć po Gubałówce wzdłuż i wszerz, gdyby spory górale wokół gruntów nie doprowadziły do postawienia płotów w poprzek stoków

wym hula halny, podobnie jak hula od kilku lat na podległej także PKL Gubałówce przegrodzonej płotem przez byłego dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego oraz właściciela gruntów na stoku Wojciecha Byrcyna-Gąsienicę. Powód?

– Do dziś pokutuje lekceważący stosunek kolejek do górali, właścicieli działek na Gubałówce – wyjaśnia Jurek Jurecki, dziennikarz i współwłaściciel „Tygodnika Podhalańskiego”. – Te wspomnienia są wciąż żywe. I pewnie stąd się bierze upór Byrcyna.

Wojna góralsko-góralska

Także upór polskich górali nadal sprawia, że niewiele brakowało, by z narciarskiego kurortu, który powoli kurortem staje się tylko z nazwy, zniknęły w tym sezonie kolejne dwie góry do zjazdów.

Jeszcze w grudniu Marian Strama, współwłaściciel obchodzącego właśnie 40. urodziny wyciągu krzesełkowego na Nosal, odgrażał się, że krzeselka nie pojedą,

trasy biegowej, którą COS chciał usprawnić (jakoby nielegalnie) przy użyciu ciężkiego sprzętu na terenie parku, przy okazji prestiżowego Pucharu Kontynentalnego.

– Czego jak czego, ale awantur nam pod Giewontem nie brakuje – zapewnia starosta Andrzej Gąsienica-Makowski. Dodaje, że powodem większości kłótni jest nie tylko góralski upór, ale i zawziętość.

Zawziętość, która przenosi się także na inne sfery funkcjonowania Zakopanego. Choćby na jego wizję jako miasta uciech. W lipcu zeszłego roku w tekście „Prohibicja w Zakopanem” opisaliśmy konflikt między właścicielami karczm a radnymi, którzy o mały włos, wprowadzając najbardziej restrykcyjne w Polsce przepisy dotyczące sprzedaży alkoholu w mieście, nie doprowadzili do upadku gastronomii pod Giewontem (uchwałę złagodzono dopiero w grudniu). Awantury i prywata mają też wpływ na zakopiańską architekturę (nieustanne wojny deweloperów z sąsiadami ich inwe-

Olimpiada w Zakopanem mogłaby się odbyć w 3000 roku, ale górale do tego czasu tysiąc razy się pokłócą



Kolejka linowa na Kasprowy Wierch zaczyna się kolejką narciarzy do dolnej stacji w Kuźnicach

bo Strama nie może dogadać się Franciszkiem Bachledą-Księżdzarzem, byłym senatorem, dziś dyrektorem Centralnego Ośrodka Sportu w Zakopanem. Poszło o – dziurawe zresztą – armatki śnieżne. A dokładniej o zbiornik wodny, z którego napętniane są armatki, a który należy do COS. Strama od lat domaga się sensownej umowy w sprawie użytkowania zbiornika. Nosal jednak ruszył, bo panowie dogadali się. Raczej tylko chwilowo, bo nawet najstarsi górale nie pamiętają, by jakiś spór w Zakopanem zakończył się na stałe zgodą, więc pewnie jak Giewont jest to, że do nowej eskalacji konfliktu dojdzie przed kolejnym sezonem.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Nosal leży na obszarze Tatrzańskiego Parku Narodowego, a ten sprzeciwia się rozbudowie stacji. Tak jak sprzeciwił się kilka tygodni temu modernizacji narciarskiej

stycji) oraz komunikację w mieście. Opanowaną w poważnym stopniu przez zwalczające się firmy busiarskie, których właściciele lubią sobie nawzajem wybijać okna w pojazdach albo je pod osłoną nocy podpalać.

Nie należy się zatem dziwić burmistrzowi Suchej Beskidzkiej, który w prima aprilis miał objąć na cały dzień fotel burmistrza Zakopanego. Po dwóch godzinach, po kolejnej wizycie skłóconych przedsiębiorców i busiarszy uciekł z urzędu, całkiem na serio. – Zakopane pod wieloma względami jest wyjątkowe – uważa profesor Józef Sala, kierownik Katedry Turystyki Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. – Nie ludźmy się – nigdy nie było i nie będzie kurortem alpejskim. Ale wciąż nas przyciąga swoim urokiem, dobrą kuchnią, nocnymi rozrywkami. Musi jednak przestać myśleć o sobie jako o pepku świata, który – niezależnie od tego, co zaoferuje – Polacy będą wielbić w nieskończoność. Jeśli Zakopane chce w dłuższej perspektywie przetrwać jako główne centrum wypoczynku zimowego w Polsce, musi szybko zacząć się zmieniać, nie niszczyć przyrody, i dostosowywać się do potrzeb nie tylko tych, którzy wypoczywają, spacerując na Krupówkach, ale także tych, którzy rzeczywiście przyjechali do Zakopanego na narty!

Wiemy, że prawidłowo **zamiast „in” powinno być „to”, ale nie wiedzieli tego radni Zakopanego**, gdy transparentem z takim napisem witali delegację Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego

Według byłego narciarza, dziś biznesmena Andrzeja Bielawy, Zakopane mogłoby się uporać z wieloma problemami, gdyby ci, którzy nim władają, byli bardziej stanowczy. – Na przykład mogliby choćby →

→ spróbować wymusić na krajowych politykach wprowadzenie wzorem kurortów alpejskich prawa śniegu – uważa Bielawa. (Ustawa taka umożliwiłaby wyłączenia właścicieli, którzy nie godzą się na budowę lub użytkowanie infrastruktury narciarskiej na ich terenach). – Dopóki nie zmienimy przepisów, w Zakopanem, zamiast przybywać, będzie ubywać infrastruktury narciarskiej – prorokuje.

I ma sporo racji, bo nawet wyciąg na Polanie Szymoszkowej z powodu sporów właścicieli o mały wóś nie został zamknięty na cztery spusty. Narciarzom w Zakopanem zostałyby wówczas jedynie stacja na Harendzie i zatłoczony, jak również miotany wiatrami oraz nieustającymi skargami ekologów Kasprowy Wierch, na którym – o dziwo – być może jeszcze w tym sezonie powstaną (za zgodą TPN) trasy do freestyle'owego, dotąd nielegalnego i karanego słonymi mandatami, narciarstwa. O ile tego pomysłu, na którym (bądźmy szczerzy) zyskają tylko nieliczni kamikadze białego szaleństwa, nie zablokują miłośnicy przyrody. A ci już, jak zwykle, rozpoczęli protesty.

Kurort bez puchu

Rocznie do Zakopanego przybywa trzy miliony turystów, najwięcej zimą. Wczasowicze suną od Nowego Targu niewiele zważając na dekadę temu wynajętym busem ekipa Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Lokalni politycy z ówczesnym burmistrzem Adamem Bachledą-Curusem witali ich pod napisem: „Welcome in Zakopane”. Napis równie dobitnie świadczył o nadziejach tubylców na organizację olimpiady, co o ich znajomości języków obcych.

Szkopuł w tym – o czym pod koniec ubiegłego roku przypomniał góralom Paweł Pelka z „Tygodnika Podhalańskiego” – że zamiast nowoczesnych stacji i stoków narciarskich, których nie było i nie ma dotąd, członkowie MKOl oglądali na taśmie obrady Okrągłego Stołu oraz występ popularnego wówczas satyryka, który przy pomocy skarpetki i świeżo wypieczonych buł zamienił się, i to w kilka zaledwie minut, w ówczesnego szefa komitetu Juana Antonio Samarancha. – Polscy działacze przyznawali później, że równie mocny efekt wywołałoby u członków komitetu ściągnięcie spodni – wyjaśnia teraz Pelka.

Kilka miesięcy temu Tadeusz Skrupa, senator PiS spod samiuśkich Tater, pisał do ministra sportu, że kwestia olimpiady w Zakopanem jest otwarta. I żeby pomyśleć o jej zorganizowaniu w roku 2018. Bo Zakopane jest jakoby tego warte. Czyżby?

Andrzej Kozak zawiadujący Tatrzańskim Związkiem Narciarskim przyznaje publicznie, że jego zdaniem Zakopane ma szanse na olimpijskie profity mniej więcej około roku 3000. A i to – zważywszy na to, w jakim stanie jest dziś kurort, i że do trzeciego

tysiąclecia polscy górale jeszcze tysiąc razy zdążą się pokłócić – wydaje się niepewne.

Co wcale nie przeszkadza Polakom radośnie sunąć w stronę tak zwanej zimowej stolicy Polski.

– Bo Zakopane to polska choroba psychiczna – ocenia Maciej Pinkwart. – Bo u nas ciągle żywa jest idea inżyniera Mamonia z „Rejsu”, co lubił tylko te rzeczy, które dobrze znał.

A w Polsce Zakopane znają wszyscy.

– Doprawdy żal mi tych zmierzających ku przepaści nieszczęśników – ciągnie Pinkwart (zresztą urodzony w Milanówku pod Warszawą). – Jeszcze w okolicach Poronina ludzą się, że stolica Tatr zaoferuje im atrakcję, jakich nie zaznają w domu. I w dodatku w tak pięknych okolicznościach przyrody.

Problem w tym, że także okoliczności przyrody w Zakopanem, podobnie jak asortyment kramów na Krupówkach (w tym sezonie na topie są zapalniczki porażające prądem i gumy do żucia z elektrowstrząsami), jak pomysły lokalnych polityków i swary właścicieli działek, z roku na rok są coraz bardziej nieprzewidywalne. Co spostrzegli zakopiańscy fiakrzy, którzy po raz pierwszy w historii podhalańskiego dorożkarstwa zaczęli przestawiać się zimą z sań na płozach na sanie na kółkach.

Gdy w pierwszej połowie stycznia Polska tonęła w śniegu, w pozbawionym od świąt białego puchu Zakopanem popadały w marazm kolejne zastępy ceprów w narciarskich czapkach, z ciupagami i owczymi skórąmi rodem z Turcji pod pachą. Takimi samymi, jakie można kupić latem w Sopocie i Kołobrzegu. Czasem jakiś znudzony turysta zajął na Krupówkach do sklepu z nartami. Kupił nowe deski, zgodnie z powszechnym pod Tatrami zwyczajem przeszedł się z nimi po promenadzie, a potem ustawił je ładnie w narciarni wynajętej góralskiej chałupy. □



Piękny freestyle w Alpach (na zdjęciu), a w Zakopanem – wolnoamerykanka

RADY AGATA JANKOWSKA

Gdzie szus się opłaca

Wyjazd na narty do Zakopanego jest droższy niż pobyt na Słowacji lub we włoskich Alpach

Zakopane. Tłok i opłaty

Dla amatora śnieżnych sportów karnety na wyciągi to główny obok zakwaterowania wydatek zimowego urlopu. Na Kasprowym Wierchu za całonocny karnet na kolejkę krzesełkową Gąsienicowa lub Goryczkowa zapłacimy 90 złotych (mimo że obie należą do Polskich Kolei Linowych i położone są obok siebie, obowiązują na nie oddzielne karnety). Nie ma ulg dla dzieci lub seniorów. Pojedynczy zjazd kosztuje 10 złotych. Do tego za każdym razem należy opłacić przejazd kolejką linową z Kuźnic na górę. To 32 złote bez ulg, a 27 dla dzieci do lat ośmiu i seniorów powyżej 60. Auto trzeba zostawić już przy rondzie Kuźnickim. Parking płatny – złotówka za pierwszą godzinę, dwa złote za każdą następną. Potem 2,5 kilometra do pokonania. Można jechać zatłoczonym autobusem za dwa złote lub taksówką za 10 złotych.

Na Kasprowym jest lokal i tylko tam działa toaleta. Naturalnie płatna złotówką, nawet dla klientów. Na prywatnym Nosalu obowiązuje system punktowy. Jeden wjazd kosztuje trzy złote, a karta całonocna – dziewięćdziesiąt. Nie ma zniżek. Narciarze na ogół zatrzymują się w kwaterach prywatnych lub w pensjonatach. Najniższe ceny za osobę, z dwoma posiłkami zaczynają się od 50 złotych.

Za jeden dzień jazdy na nartach w sercu polskich Tatr zapłacimy nie mniej niż 250 złotych. Koszt tygodniowego pobytu wyniesie **minimum 1,5 tysiąca złotych**, nie licząc dodatkowych wydatków ani kosztów dojazdu.



Chopok. Dodatki za darmo

Pod słowackim Chopokiem zaparkujemy za darmo. Do podnóża góry co 10 minut kursująbusy – kurs wliczony w koszt karnetu. Na dole i przy wyższych stacjach postawiono darmowe toalety. Za jeden dzień na Chopoku, czyli za 50 kilometrów tras, a także za dziesiątki

REKLAMA

TWOJE SERCE W NAJLEPSZEJ FORMIE

> Wspomaga mięsień sercowy

> Reguluje poziom cholesterolu

NORTH CARDIO+
Suplement diety dla mężczyzn 35+

CARDIO+
Preparat wspomagający układ krążenia mężczyzn
wspomaga mięsień sercowy
reguluje poziom cholesterolu

www.northforma.pl

Preparat dostępny w dobrych aptekach

wyciągów na stacjach narciarskich w Starym Smokowcu, Łomnicy i Lipowskiej, dorosły zapłaci około 27 euro. W grudniu i lutym są promocje, wtedy cena wynosi 19 euro. Najbardziej opłaca się karnet na 10 dni, bez zdjęć, z możliwością odsprzedaży. Kosztuje 199 euro. Dzieci od ósmego roku życia i do 140 cm wzrostu płacą 139 euro, młodzie jeżdżą za darmo. Studenci, seniorzy i posiadacze kart zniżkowych, takich jak Euro <26, muszą wydać 159 euro.

Po słowackiej stronie Tatr wydamy dziennie **nie więcej niż 170 złotych** (około 40 euro), licząc zakwaterowanie w pensjonacie lub na prywatnej kwaterze, gdzie ceny są zbliżone do polskich. Za tygodniowy pobyt zapłacimy niewiele ponad tysiąc złotych (250 euro), mając gwarancję dobrych warunków narciarskich.

Livigno. Zjazdy w cenie

W popularnym wśród polskich turystów włoskim kurorcie Livigno trzeba łapać okazję. Warto wykorzystać czas „darmowych karnetów” – od połowy listopada aż do sylwestra i później od połowy lutego do końca sezonu. Wtedy w cenę apartamentu, czyli najczęściej trzech pokoi 2-osobowych z łazienką i aneksem kuchennym (bez wyżywienia), wliczone są pięciodniowe skipassy aktywne w całym konsorcjum. Do dyspozycji są niezliczone wyciągi, ponad 115 kilometrów tras, nowoczesne ruchome chodniki śnieżne, snowparki dla amatorów ekstremalnej jazdy, skibusy jeżdżące po okolicy od 6 rano do 22. Dzieci do lat

tam jednak indywidualna godzinna lekcja dziecka kosztuje średnio 70 złotych. Pod Nosałem działa szkoła dziecięca i dziecięce przedszkole. Oferta dostępna tylko w pakiecie pięciodniowym – za dwie godziny dziennie przez pięć dni pod okiem instruktora zapłacimy średnio 400 złotych. W tym roku w szkółce Małgorzaty Tlalki, alpejskiej narciarki i trenerki, ruszył program „Famyliski”, czyli szkolenie rodziców z dziećmi już umiejącymi jeździć. Zajęcia odbywają się na słowackich stokach w Oravicy, bo w Polsce byłby problem z rozstawianiem slalomowych bramek, są tu gorsze warunki, a i cena kursu musiałaby być większa. Jednodniowy trening dla dwójki

czternastu na ogół jeżdżą za darmo. Jeśli wybierzemy trzygwiazdkowy hotel, z dwoma posiłkami, cena kwaterek i karnetu wyniesie około 370 euro (7 noclegów i sześciodniowy karnet). Tydzień w Livigno **kosztuje 756 złotych**, czyli 180 euro. Na rozrywkach oszczędzić się nie da, bo ceny kilkukrotnie przebijają ceny polskie, podobnie jest z jedzeniem, chyba że sami będziemy szykować posiłki w doskonale zazwyczaj wyposażonym aneksie kuchennym.

Bez dziecka, czyli cena świętego spokoju
Urlop zimowy to czas odpoczynku, również od własnych dzieci. W Zakopanem nie jest łatwo zostawić pociechę pod dobrą opieką. Wprawdzie przy każdej stacji działają szkoły narciarstwa i snowboardu,

to 150 złotych plus 10 euro za całonocny karnet na wyciągi. Drugie dziecko gratis. Opiekę nad dziećmi proponują też hotele. Na przykład Mercury w cenie pokoju gwarantuje opiekę nad dziećmi gości hotelowych od 11 nawet do 20. Ale w sezonie pokoje w Mercurym kosztują co najmniej 400 złotych za osobę. Prywatna opiekunka to sto złotych plus wydatki w trakcie dnia. Nocna opieka to nie mniej niż 40 złotych za godzinę. We Włoszech i Francji popularne są dziecięce przechowalnie przy stacjach narciarskich. Dają opiekę oraz dwa posiłki w godzinach otwarcia stoków od 7 do 19 za cenę nie większą niż 15 euro. Minusem (lub plusem) może być anglojęzyczna obsługa. □

Rozmowa odbyła się 13 stycznia 2010 roku w Warszawie

MOST NA BIEGÓWKACH

Nigdy bym się nie spodziewała, że ja, ten pyskaty człowiek, który gada, co chce i kiedy chce, zdobędzie taką sympatię kibiców – dziwi się biegaczka **Justyna Kowalczyk**, nasza nadzieja na wzrost polskiego PKB

Humor Polaków zależy tej zimy w dużej mierze od pani, naszej największej nadziei w igrzyskach zimowych. Jak się pani uda, to i nam się uda. To duża odpowiedzialność?

– Zaczęłam niedawno zdawać sobie z niej sprawę, więc jeszcze się z tym nie oswoiłam. A postaram się, żeby ten humor był jak najlepszy. Niektórzy naukowcy twierdzą wręcz, że wzrost gospodarczy kraju zależy też od sukcesów sportowych, więc walczyć będzie pani nie tylko o medale, ale też o produkt krajowy brutto.

– Stop, stop, stop! Niech każdy pracuje jak najlepiej, niezależnie od moich wyników, a wtedy na pewno PKB wzrośnie! My, sportowcy, też oczywiście musimy pracować jak najlepiej. Zresztą jestem pracowita tylko na nartach, a ogólnie lubię się lenić.

Już pani skończyła pisać pracę magisterską, w której analizowała własne obciążenia treningowe?

– We wrześniu ją obroniłam i dotyczy obciążeń w wieku juniorskim.

Czy kiedy je pani przeanalizowała, nie pomyślała pani, że przesadziła, że to było ponad siły nastolatki?

– Tak, zdecydowanie... Porównuję w tej pracy własne obciążenia ze Skandynawkami, z Rosjankami i wyszło mi, że zdrowo przesadziłam... Ale rezultaty są, więc wszystko w porządku.

We wnioskach końcowych pracy nie napisała pani, że Justyna Kowalczyk powinna przemyśleć swoje metody treningowe i mniej trenować?

– Nie. Zresztą za moje metody treningowe jest odpowiedzialny mój trener, więc proszę całej winy na mnie nie zwać. Napisałam tylko, że „nie powinno się jednak brać przykładu z tej dziewczyny” i że trzeba dobrze przemyśleć, jeżeli chce się kopiować jej trening.

Co takiego jest w pani, że się nie zakatowała tak morderczym treningiem?

– Po prostu twarda dziewczyna ze wsi jestem. Dzieciństwa nie miałam najłżejszego, na wsi trzeba dużo pracować i ja od tej pracy nie stroniłam, a w domu mnie wychowano w prze-

konaniu, że tylko praca daje jakiś wymierny rezultat.

Pierwsze prace, które pani pamięta?

– Dziecko na wsi pracuje zawsze, oczywiście trzylatek nie dźwiga wielkich ciężarów, ale ze swoimi grabkami idzie na pole, tam zbiera siano, zboże, i ja tak robiłam. Praca towarzyszyła mi od zawsze i bez przerwy – to mnie ukształtowało.

Czyli nie była pani taką dziewczynką, która uciekała w pola, obserwowała motyle, kwiatki, oddawała się marzeniom?

– Nie, z reguły musiałam być jednak na polu. **Biegi narciarskie to taka dyscyplina, w której zawodnik jest przez długi czas sam ze sobą. O czym pani wtedy myśli?**

– Trzeba myśleć bardzo dużo, ale tylko i wyłącznie na temat tego, co się robi, czyli taktyki, techniki, tego, co będzie za chwilę na trasie, jak się zachowują rywalki. Na żadne inne lekkie przemyślenia nie ma ani czasu, ani siły, nie mam takich zwykłych myśli.

Czyli nie ma szans na myśli o filmie, który pani widziała dzień wcześniej?

– Na pewno nie.

A może właśnie takie myśli pomogłyby, oderwałyby mózg od organizmu i pozwoliły organizmowi lepiej biec?

– To na pewno bardzo dobra teoria, tyle że tak się nie da. To tak duże zmęczenie, że nie da rady się od niego oderwać.

Pamięta pani po biegu te myśli, to jest „Biegnij szybciej, Justyna!”?

– Lepiej na ten temat nie rozmawiajmy... **Porozmawiajmy.**

– Różnie sobie dogaduję, jeżeli zrobię jakiś błąd, to sobie nieprzyjemne słowa mówię, jeżeli coś dobrze wykonam, to się chwale...

A w myślach jak pani do siebie mówi:

„Justyna”, „Justysia”?

– Justyna. Już trochę za stara jestem na tę Justysię.

Interesuje się pani rywalkami, czyta pani o nich, rozmowy z nimi, jakie mają życie, czym się interesują?

– Z niektórymi najprościej na świecie się przyjaźni i wtedy mnie interesuje, jak im się układa życie prywatne.

Można się zaprzyjaźnić z takim żelaznym rywalem?

– Można, rywalami jesteśmy na starcie, a tak naprawdę ten sport jest tak ciężki, że bardzo zbliża ludzi i poza zawodami, na treningach, ze sobą rozmawiamy, umawiamy się na spotkania, urodziny...

Naprawdę nie ma po wygranym albo przegranym biegu takiego momentu, że jesteście wściekłe na siebie?

– Nie, jeżeli przegram bieg, to tylko dlatego, że ja czegoś nie wykonałam tak jak trzeba, a więc mogę być tylko i wyłącznie na siebie wściekła.

A nie na tę drugą, która pani zabrała zwycięstwo?

– Ona nie zabrała, to ja zrobiłam tak, że nie potrafiłam z nią wygrać.

Kiedy jesteście razem, potraficie się bawić bez troski czy taki zawód i ból jednak trochę w was tę radość zabija?

– O, jesteśmy bardzo bez troski! Często miejscem spotkań w mojej dyscyplinie jest sauna, tam jest naprawdę fajnie i śmiesznie, i oczywiście

ście są też sportowe rozmowy, bo tym żyjemy, ale to są bardziej analizy niż zacięte dyskusje.

A co można śmiesznego robić w saunie?

– Przede wszystkim sauna to miejsce, gdzie jest ciepło i można siedzieć, to już dla nas bardzo dużo. Ponieważ moje przyjaźnie to w większości rosyjscy zawodnicy i zawodniczki, wschodnia część naszego świata, a u nich sauna to jest cała kultura i tradycja...

Czyli bania.

– Dokładnie, więc u nich się tam i rozmawia, i je, i śmieje, i na piwko można sobie pozwolić, więc naprawdę jest śmiesznie.

Czuje się pani bardziej częścią wschodniej cywilizacji niż zachodniej?

– Myślę, że jestem takim mostem – w biegach narciarskich – między wschodem a zachodem, często się tak czuję, ale sama zdecydowanie wolę przebywać ze wschodem.

Pani często mówi, że dyscyplina, którą pani uprawia, ma w sobie dużo bólu. Co to jest za ból?

– To jest najprostszy na świecie ból fizyczny, bardzo duży ból mięśni. Zakwaszenie mięśni →

Najszub
pyta





→ po prostu piekielnie boli. I kto ten ból najlepiej potrafi znieść, ten wygrywa na mecie.

Najbardziej bolą panią które mięśnie?

– Mam słaby punkt, niestety, w nogach, więc mięśnie nóg. Wielu zawodników bardziej bolą ręce, plecy, ja mam inaczej.

Tak dużo i długo pani trenuje, że te mięśnie powinny już z uśmiechem to znosić, a mimo wszystko bolą. Dlaczego?

– Bo coraz szybciej biegam. Jeżeli trenowałam bym tak dużo jak dziś, a biegałabym na czasach sprzed 10 lat, toby mnie nic nie bolało. Ale ponieważ ja ciągle chcę podwyższać swój poziom, to coraz więcej trenuję, ale i coraz szybciej biegam na zawodach. I zawsze bieg na zawodach jest o krok dalej niż wytrenowane mięśnie, więc bolą.

To jest taki sport, w którym można startować do czterdziestki, czyli jest szansa, że przestanie panią boleć, jak będzie miała 35 lat...

– Właśnie. To strasznie niemiła perspektywa, bo to jeszcze 8 lat.

Może się pani od bólu uzależnić.

– O nie, masochistką nigdy nie byłam i nie będę. Skoro jest to sport, który tak bardzo wiąże się z bólem, to właściwie po co to robić, dlaczego ma boleć?

– Dobre pytanie... Jak byłam piętnastolatką, to sobie takiego pytania nie zadawałam, a później po prostu szło krok po kroku, nie wychylałam spoza tego głowy.

To może jednak uzależnienie?

– Nie, naprawdę bólu nie lubię... Może go znoszę, bo jest też tyle pięknych i świetnych stron takiego życia, jakie prowadzę, że w sumie bilans wychodzi na zero.

Te piękne strony są jakie?

– Na przykład fajna szkoła charakteru, człowiek się później nie przejmie głupotami. To są przyjaźnie międzynarodowe, to jest możliwość kontaktu z naturą... zbyt duża, niestety, czasem. Jestem też osobą, która lubi chodzić własnymi ścieżkami, więc w lesie mam ich bardzo dużo, nikt mi nie przeszkadza.

Ale to się chyba też wiąże z samotnością, szczególnie w waszym sporcie, kiedy pokonanie olbrzymie odległości, 15, 30 kilometrów, sami z nartami, człowiek musi się jakoś zamykać w sobie, być samotnym.

– Trzeba lubić z sobą przebywać, przede wszystkim na treningach letnich, jesiennych, bo one są zdecydowanie dłuższe. Żeby to wszystko znosić, trzeba lubić własne myśli i trzeba po prostu lubić ze sobą rozmawiać, a to na pewno jest związane z samotnością.

I nie boi się pani, że w tym czasie normalne życie młodej kobiety przelatuje gdzieś obok?

– Zależy, co tak naprawdę brać jako to normalne życie... Że co drugi dzień mam być na dyskotekach, upijaczona i tak dalej? No, to rzeczywiście takie życie mnie omija, ale z tym mi akurat dobrze. Wolę swoje tak poukładane i nie uważam, żeby coś uciekało mi przez palce.



Justyna Kowalczyk padła na twarz ze zmęczenia, ale fantastycznie wygrała Tour de Ski 10 stycznia 2010 roku. Tuż za nią główna rywalka Petra Majdič

A mężczyzna? Jest jakaś taka miłość w pani życiu?

– Oczywiście, jestem zupełnie normalną kobietą, młodą, która się zakochuje, odkochuje.

Naprawdę? Nie jest pani maszyną do wygrywania zawodów, którą zawsze boli?

– Bardzo mi przykro, rozczarowałam pana.

To przyjemne rozczarowanie, bo jeżeli Polacy mają wiązać nadzieje na wzrost PKB z pani osobą, to wolałbym, żeby pani była człowiekiem, a najlepiej kobietą.

– Jestem zwyczajną młodą kobietą.

Ostatnio wygrała pani plebiscyt na Sportowca Roku 2009. Czy to coś znaczy wobec wygrywania najważniejszych zawodów?

– Myślę, że to jest przyjemność, ale na pewno nie żaden cel, o który bym szczególnie walczyła. Zaskakująca przyjemność, bo to kibice wywierają, a nigdy bym się nie spodziewała, że ja, ten pyskaty człowiek, który gada, co chce i kiedy chce, zdobędzie taką ich sympatię.

Jest więc mężczyzna, który panią kocha, a czy pani by chciała, żeby Polacy, kibice, panią kochali?

– Tu ostrożnie, z miłością różnie bywa, bo ona wymaga bardzo dużych poświęceń...

Kibice mają tylko siedzieć przed telewizorem i kochać.

– To takie proste nie jest, bo od miłości do nawiąsici jest dość krótka droga i wnet zaczną mnie nienawidzić. Wolę, żeby mnie lubili, kibicowali, kochać nie muszą.

A pomyślała pani kiedyś, że w obliczu globalnego ocieplenia pani dyscyplina jest znikająca, bo będzie coraz mniej śniegu?

Justyna Kowalczyk, 27, najlepsza polska biegaczka narciarska w historii. Na swoim koncie ma już brąz z igrzysk olimpijskich w Turynie, dwa złote medale i jeden brązowy krążek mistrzostw świata, w ubiegłym roku zdobyła też Kryształową Kulę za zwycięstwo w Pucharze Świata. Słynie z tego, że całe swoje życie podporządkowuje treningowi. Dyspensę robi sobie tylko na bożonarodzeniowe obżarstwo (mimo środka sezonu) oraz po zakończeniu startów. Sport wybrała wbrew woli mamy, która uważała, że będzie z niej świetny prawnik. Od września 2009 roku jest magistrem [AWF w Katowicach], gdzie napisała i obroniła pracę zatytułowaną „Analiza obciążeń treningowych Justyny Kowalczyk w sezonie 2002–2003”.



– Myślałam o tym... Już budują nam specjalne tunele, w których można biegać.

Zejdziecie do sztucznie zimnego podziemia...

– Mam nadzieję, że mnie już ta wątpliwa przyjemność nie spotka, żebym biegała zawody w takich warunkach.

Przeczytałam w jednym z pani wywiadów takie zdanie: „Na dyskotekę nie pójdę, bo tam są ludzie, a ludzie to wirusy, a wirusy to choroba”. Musi pani żyć w strasznym reżymie, bo wirusy mogą być wszędzie, a pani musi ich unikać.

– To jest pewne wariactwo, ale w sezonie, przed ważnymi zawodami, musimy być bardzo za siebie odpowiedzialni, na co dzień tak źle nie jest. **Więc w sezonie nie chodzi pani do centrów handlowych, restauracji, bo wszędzie są wirusy?**

– Do centrów handlowych chodzę rzadko, bo zazwyczaj zawody i treningi są w małych wioseczkach górskich, więc tam ich nie ma. Restauracje odwiedzam hotelowe i staram się na siebie uważać. Lotniska odwiedzam jak najrzadziej, bo rzeczywiście jesteśmy bardzo narażeni na choroby, mamy obniżoną odporność przez to, że trzeba dzisiaj być długo na mrozie minus 20.

Zdarzyło się pani kiedykolwiek nie chcieć rano wstawać z łóżka na trening?

– Wiele razy, mówię sobie wtedy, że przecież nie jestem maszyną, tylko zwykłym człowiekiem. Ale w końcu dochodzi do mnie, że to, czy mi się chce, czy nie chce, jest najmniej ważne, bo ja to po prostu muszę zrobić i tyle.

Ale nikt pani nie każe, jest pani wolną osobą.

– Jestem wolną osobą tylko w pewnym sensie. Spoczywa na mnie duża odpowiedzialność, na przykład moja drużyna to są ludzie, którzy utrzymują się dzięki moim результатам, ode mnie zależy byt innych. Więc staram się wykonać jak najlepiej pracę, którą powinienam wykonać. **Mówi pani dosyć często, że „z nartkami trzeba rozmawiać”. Na czym polega taka rozmowa?**

– Jeżeli lubisz te narty, a od nich jednak wiele zależy, to się do nich mówi, nie jest to jakaś choroba psychiczna...

I co pani mówi?

– Żeby szybko jechały, żeby mnie nie wywracały, żeby trzymały moją równowagę, żeby trzymały dobrze na podbiegach...

Nartki mają imię?

– Nie, nartek mam ponad sto sztuk, nie zapamiętałabym stu imion. Wystarczą „nartki”.

Rodzice kiedykolwiek próbowali pani mówić: Justyna, daj spokój, to już za dużo, pożyj normalnym życiem?

– Była taka sytuacja... Miałam problemy z niesprawiedliwą dyskwalifikacją za domniemany doping, rodzice wiedzieli, że bardzo mi ciężko i nie radzę sobie, że ich dziecko cierpi. Próbowali mnie jakoś tak od tego wszystkiego odciągnąć, ale im się nie udało. Chodziło im o to, żeby znaleźć mi jakieś zastępcze myśli, bo ciągle mi się kotłowała w głowie ta dyskwalifikacja, bo bardzo chciałam wtedy jechać na igrzyska, bo czułam się niesprawiedliwie potraktowana, to mnie załamywało. Na szczęście szybko dyskwalifikacja została skrócona, igrzyska były i wszystko się dobrze skończyło.

Wtedy miała pani wrażenie, że walczy z całym światem: i z rodzicami, i z dyskwalifikacją, i z opinią publiczną, która się zawahała na moment, czy panią kochać, czy nie?

– Z rodzicami nie, oni byli jak najbardziej po mojej stronie. Ale przy okazji była to najlepsza weryfikacja znajomości i przyjaźni, jaka w życiu mogła mi się przydarzyć.

Ile przyjaźni się rozpadło?

– Bardzo wiele... Ocalała mała grupka.

Jak wyobraża pani sobie siebie w wieku 50, 60 lat?

– Zastanawiam się, czy będę bardzo szaloną babcią, czy tylko średnio szaloną...

I?

– Myślę, że będę bardzo szaloną babcią.

Z iloma wnukami?

– To zależy, jak się postaram z dziećmi.

Kariera sportowa może być do czterdziestki, z dziećmi lepiej nie czekać do czterdziestki.

– Nie mam takiego zamiaru, mam nadzieję, że będę mogła sobie grzecznie chodzić na urlopy macierzyńskie.

Narciarze chyba nie mają urlopów macierzyńskich.

– Mają i wracają z nich jeszcze silniejsi.

Pani chłopak jeździ z panią na zawody?

– Nie.

Ale je ogląda?!

– Oczywiście!

Zna się na tym sporcie?

– Bardzo.

I potem panią krytykuje lub komentuje?

– Jak najbardziej.

Jak pani to znosi?

– Doskonale wiem, kiedy robię coś dobrego, a kiedy robię coś złego. Więc kiedy coś jest nie tak, należy się krytyka.

Nie mówi pani: „Nie wtrącaj się, ja wiem lepiej”?

– Tak nie mówię, a to, co sobie myślę, to już moja sprawa.

Dlaczego dla sportowców olimpiada jest czymś tak ważnym?

– Może dlatego, że zdarza się raz na cztery lata, czyli najrzadziej ze wszystkich imprez, może dlatego, że jest taka wielka pompa wokół, że spotykają się wszystkie dyscypliny w jednym czasie i miejscu...

Dla pani również tak jest w przededniu olimpiady w Vancouver?

– Tak, ale jeżeli nie zakończy się pozytywnie, to nie mam zamiaru sobie nic złego zrobić.

A pozytywnie się zakończy, jeśli co się wydarzy?

– Jeśli będę miała dużo szczęścia.

Szczęście musi się świecić jakim kolorem i w jakiej liczbie sztuk?

– Żeby się świeciło byle jakim kolorem przynajmniej w jednej liczbie, to już dobrze będzie.

Myślę, że pani ma niespożyty apetyt, więc o czym pani marzy w związku z tą olimpiadą?

– Apetyty są oczywiście wielkie, ale to jest sport i wielu faworytów wyjeżdża z igrzysk z pustymi rękami, nie chciałabym tak skończyć. Nie lubię przed zawodami takich opowieści, że co ja tu nie zrobię, jaka to ja jestem silna i tak dalej. Wolę się skupić na tym, jak silne są rywarki, i starać się być silniejsza od nich.

Jakieś znaczenie ma dla pani na takich zawodach jak olimpiada świadomość, że jeśli się stanie na najwyższym stopniu podium, to z głośników popłynie hymn narodowy?

– Tak, bo to bardzo ważny, wzruszający moment.

Pani jest dumna z tego, że jest Polką?

– Oczywiście.

Nie chciałaby się pani urodzić w Finlandii lub w Norwegii, gdzie są dużo lepsze tradycje tego sportu?

– Są, ale sport to nie wszystko, poza tym jako Polka jestem mistrzynią świata. To wszystko dał mi mój kraj, a nie Finlandia, Norwegia, i dlatego bardzo dobrze, że urodziłam się w Kasinie Wielkiej, ta Kasina mnie właśnie ukształtowała i jestem z tego dumna.

Czy pani trochę jest też góralką?

– Góralka ze mnie taka nizinno-bagienna, bo gór prawdziwych troszkę brakuje w Beskidzie Wyspowym, gdzie mieszkam, ale upór, ambicję, które się góralom przypisuje, mam.

Politycy często lubią „ogrząć” swój wizerunek przy sportowcu, szczególnie takim, który odnosi sukcesy. To pomaga czy przeszkadza? A może śmiesz?

– Różnie. Bardzo miło mi było w niedzielę, kiedy otrzymałam SMS-a od pana premiera. A z drugiej strony, niemiłe było, kiedy w ostatnich wyborach samorządowych znalazłam się na ulotkach jednego z kandydatów, w ogóle o tym nie wiedząc.

Pani start i bieg na zawodach jest wypadkową różnych czynników. Ile w wyniku jest udziału nart i smarów, ile taktyki, a ile Justyny Kowalczyk?

– Myślę, że wszystkiego po 33,3 procent. □

REKLAMA

TY

Bierzcie i Kręćcie!

Zbierz ekipę i nakręć fabułę

Sfilmuj wyznanie miłosne za pomocą komórki

Zrób krótki film lub relację z wydarzenia

Do wygrania 3 000 \$ w każdym z konkursów, nowe komórki oraz zaproszenie na Festiwal OFF PLUS CAMERA oraz Warsztaty Filmowe CINEMAX do Krakowa.

Więcej na www.offpluscamera.com/konkursy



CEZAR NA EMERYTURZE?

MODOWE POTĘGI OLA SALWA

Projektując luźną marynarkę, zmienił myślenie o modzie i styl życia całego pokolenia. Oprócz swobody ruchów ludzie poczuli swobodę obyczajową. Czy odejście **Giorgia Armaniego** na emeryturę wyznaczy koniec pewnej epoki?

Oficjalnego komunikatu jeszcze nie było, więc dziennikarze wciąż pytają włoskiego projektanta o plany sukcesji, mając nadzieję, że jako pierwszy podaży nazwisko następcy. Po śmierci Yves Saint Laurenta w 2008 roku i odejściu Valentina Garavaniego w 2009 roku 75-letni Giorgio Armani – może obok Karla Lagerfelda – jest ostatnim z wielkich europejskich projektantów, który wciąż pracuje.

W branży opierającej się na kulcie młodości, odkrywaniu i promowaniu świeżych nazwisk oraz zjawisk żwawy staruszek budzi naturalne i coraz większe zdumienie. Jednak włoski projektant, zamiast się tym przejmować, udziela wymijających odpowiedzi i zajmuje się wykańczaniem zaprojektowanych przez siebie apartamentów hotelu Armani, który otwiera już w marcu. I to nie byle gdzie, bo w najwyższym budynku świata, wieżowcu Burdż Chalifa w Dubaju.

Wybrana przez Armaniego lokalizacja jest nieprzypadkowa. Stolica Zjednoczonych Emiratów Arabskich to chłonny rynek dóbr luksusowych i dynamicznie rozwijające się miasto, czyli idealne miejsce dla projektanta, którego główna strategia marketingowa polega na wzmacnianiu imperium generującego co roku kilka miliardów dochodu. Składa się na nie siedem różnych kolekcji ubrań i dodatków: od linii alta moda (włoskie haute couture) nazwanej Armani Prive, drogiego Armani Collezioni, przez Giorgio Armani dostępne dla klasy średniej Emporio Armani, po Armani Jeans, Armani Junior i tanią linię A/X (oczywiście jeśli dla kogoś 200 złotych za T-shirt to tanio).

Ale to nie koniec wyliczanki. Projektant chce w zgodzie z obowiązującymi na rynku trendami sprzedawać nie same ubrania, ale styl życia, dlatego w skład jego firmy wchodzi jeszcze: sieć sklepów z meblami (Armani Casa), restauracje, spa, kwiatarnie, a nawet księgarnie.

Już niedługo dojdą do tego apartamenty do wynajęcia w Marrakeszu, Mediolanie i Egipcie. Zapytany pół żartem, pół serio, w jakich czasach chciałby żyć i kim być, wskazał – już bez wykrętów i wahania – starożytny Rzym i pozycję cezara. Przy czym Armani doszedł na szczyt raczej w amerykańskim stylu: od pucybuta do milionera.

Styl samego Armaniego też jest niezmienny i charakterystyczny. **Siwe włosy, mocna opalenizna** oraz, oczywiście, luźna marynarka



Wieża Burdż Chalifa w Dubaju ma 823 metry wysokości. Hotel Armani zajmie piętra od 1. do 8. oraz 38. i 39.

Gdy w 1954 roku 20-letni Giorgio (dziś nazywany wyłącznie „Panem Armanim” lub „Królem Armanim”) wyszedł na przepustkę z wojska, nie sądził, że dekorowanie witryny domu handlowego La Rinascente będzie czymś więcej niż dorywczym zajęciem. Przemysł tekstylny składał się wtedy w dużej mierze z małych rodzinnych warsztatów i manufaktur. Giovanni Battista Giorgini dopiero trzy lata wcześniej zaczął organizować swoje wieczorne pokazy strojów we Florencji, na które jeździli zagraniczni dziennikarze i kupcy z domów towarowych. Z czasem wieczory wydłużyły się do tygodni, czyli tak zwanych *fashion weeks*. Dziś są one oczywistym elementem przemysłu tekstylnego, ale w powojennych Włoszech były nowością i kołem zamachowym przemysłu narodowej mody.

Dziecko neorealizmu

„Gdy dorastałem, nikt nie uważał, że projektant ubrań to prawdziwy zawód, z którego można się utrzymać. Co innego lekarz lub prawnik” – wspomina Armani, który na przymusową służbę do wojska poszedł po drugim roku medycyny. Do studiów zmusili go rodzice, bo dla nich w czasach powojennych najbardziej liczyła się stabilizacja zawodowa i finansowa. W jednym z wywiadów projektant powiedział, że jego młodość wyglądała jak życie bohaterów neorealistycznych filmów De Siki czy wczesnego Viscontiego (który notabene jest jego ulubionym reżyserem). Czasy były szare i nieciekawe, mimo to Armani od dzieciństwa był blisko barwnego świata sztuki: jego dziadek Lodovico szyl peruki, także na zlecenie teatru w Piacenzie (skąd pochodzi rodzina Armanich), i często zabierał wnuka za kulisy. Te doświadczenia zapoczentowa-

ły. Manekiny w La Rinascente odziane w fantazyjne azjatyckie i amerykańskie stroje przykuły uwagę kierownictwa i błękitnooki młodzienc dostał posadę kupca w dziale mody tej firmy. To, co dla innych było zesłaniem do najmniej prestiżowego działu (prawdziwi eleganci wciąż mieli prywatnych krawców), dla przyszłego projektanta okazało się świetną szkołą. Armani poznał w niej zaplecze świata mody, zaczął też wyjeżdżać za granicę w poszukiwaniu ciekawych kolekcji oraz inspiracji. Odwiedził nie tylko Paryż czy Londyn, ale też dziesiątki włoskich manufaktur, w których poznał właściwości różnych materiałów. Dzięki tej wiedzy Armani po siedmiu latach pracy został zatrudniony na stanowisku projektanta przez Nina Ceruttiego („Zapytał, jakie tkaniny mi się podobają. Wybrałem te same co on, więc dał mi pracę”). A dekadę później – już pod własnym nazwiskiem – zmienił myślenie o modzie.

Sojusznik bizneswoman

Gdy w 1975 roku Armani wraz z Sergiem Galeottim, partnerem zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym, otworzył firmę, po europejskich ulicach snuli się ostatni hipisi, wielbiciele dzianiny Soni Rykiel oraz fani wczesnego punka spod znaku Vivienne Westwood i Malcolma McLarena. Powoli zbliżała się też epoka disco z błyszczącymi, sztucznymi tkaninami i Johnem Travoltą, który się w nich pocił, jakby trawiła go nie tylko gorączka sobotniej nocy. Z kolei moda z wyższej półki nadal była sztywna. Francuz Yves Saint Laurent jako jeden z niewielu wprowadzał mniej krępujące ruchy stroje i bardziej miękkie materiały. W tym klimacie Armani zaprojektował tak zwaną luźną marynarkę. Różniła się →



Armani wśród gwiazd. Obok **Claudii Cardinale** i **Glenn Close** siedzi jednak **Roberta**, nie Giorgio

→ ona od klasycznej krojem (obniżone kłapy, przesunięte guziki), ale przede wszystkim technologią szycia: podszywka tylko na brzegu była zszyta z resztą materiału, a nie – jak bywało zazwyczaj – przyklejona na sztywno do całości. Znając właściwości tkanin, Armani tak wymyślił swoją marynarkę, że mimo nowej, podatnej na zagniecenia formy zachowała ona elegancję. Dziś to standard, ale w tamtych czasach podobny strój nosiło się tylko w weekendy lub wakacje na Riwierze Włoskiej. Codzienny szyc wciągał się sztywności ubrań i ruchów.

Kolekcja Armaniego nie była jednak jednorazowym eksperymentem, buntem przeciwko tradycji. Była wyrazem zmian w stylu życia, do którego zakradała się większa swoboda, także obyczajowa, oraz technologia ułatwiająca i unowocześniająca codzienność. Projektant pokazał też klientom z całego świata, że wygodą nie oznacza niechlujstwa, a prosty krój i wysokiej jakości materiał sumują się w elegancję.

„Moja filozofia polega na tym, by pomóc ludziom czuć się w ubraniach komfortowo i pewnie” – podkreślał Armani w wywiadach. Luźna marynarka zwiastowała też epokę rosnącego indywidualizmu (to ubranie dopasowuje się do człowieka, a nie odwrotnie) i pomieszaną sferę prywatnej z zawodową. Nadchodzącą dopiero kulturę skupionych na karierze japiszowników marynarka Armaniego doskonale uzupełniała; do dziś zresztą jest synonimem biznesowej elegancji. Innym ważnym dokonaniem projektanta było użycie cięższych, uznawanych za typowo męskie tkanin do szycia ubrań dla kobiet. I odwrotnie – lekkich dla mężczyzn.

W ten sposób przez modę lansował on równo uprawnienie i kibicował rosnącemu w siłę gatunkowi bizneswoman.

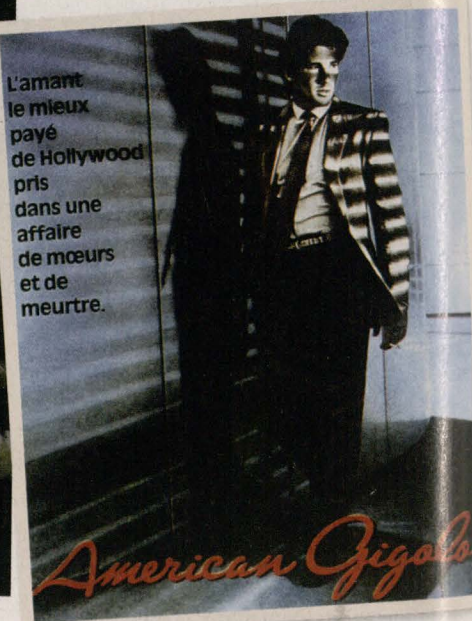
Nie król, tylko demokrat

Od 35 lat styl Włocha właściwie się nie zmienił. Eksperymenty zostawił Japończykom (Kenzo, Comme des Garçons) i Belgom (Martin Margiela, grupa Antwerpse Szóstka), przepych i zmysłowość – Versacemu, Valentino czy Gucciemu. „Zatrzymał się na estetyce lat 80. i 90., w jego projektach nie ma nic specjalnie nowego” – uważa Piotr Zachara, redaktor naczelny polskiej edycji „In Style”, który był na wielu pokazach Armaniego. Inni krytycy mody zarzucają projektantowi, że jego przekazy reklamowe i kolekcje nie są kierowane do konkretnego typu klienta, co jest jedną z podstawowych strategii marketingowych w tym biznesie. Jest to zarzut chybiony, ponieważ Armani, choć



Luksus, prostota, wygoda pod postacią mebla. **Tak, to łóżko też zaprojektował mistrz**

Amant w armanim: **Richard Gere** jako „Amerykański żigolak” lansuje nowy styl życia i ubioru



nosi nieoficjalny tytuł króla mody, woli być jej demokratą. W wywiadzie dla „Time’a” przyznał, że jedyny trend, jaki neguje we współczesnej modzie, to nieliczenie się z klientem: „Niekiedy [projektanci] zapominają, że ich ubrań nie będą nosić zawodowe modelki o wzroście ponad metr osiemdziesiąt”. Armani chce dotrzeć do szerokiego grona klientów, zarówno jeśli chodzi o gust, jak i zasobność portfela. Najdroższa rzecz z jego metką – suknia z kolekcji Prive – to wydatek rzędu nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych. T-shirt A/X można kupić na wyprzedaży w firmowym sklepie internetowym już za 50 złotych. Strategia cezara Armaniego to podbić jak największą liczbę ludzi i ziem.

O ile Armani jest dość zachowawczy jako projektant, o tyle jako menedżer i biznesmen często jest o krok dalej niż inne domy mody.

Gdy na przełomie lat 70. i 80. razem z Galeottim szykowali się do inwazji na rynek amerykański, podpisali umowę na sprzedaż kostiumów z producentami „Amerykańskiego żigolaka” (z 1980 roku), w którym główną rolę miał zagrać John Travolta. I choć kojarzył się on z zupełnie innym stylem niż ten lansowany przez Armaniego, projektant słusznie uznał, że film to doskonałe medium reklamowe. W tamtym czasie nie było to powszechne myślenie. Przypomnijmy, że firma produkująca M&M’s dwa lata później straciła miliony dolarów, bo nie chciała dać producentom „E.T.” kilku opakowań draży. Jej konkurenci, Reese’s Pieces, nie mieli takich oporów i dzięki filmowi Spielberga zarobili krocie. Armani miał nie tylko nosa, ale też fart – producenci w ostatniej chwili wymienili Travoltę na nie-

FOT. PHILIPPE WOJAZER/REUTERS/FORUM, MATERIAŁY PRASOWE, GAMMA/BESW, RUEDES ARCHIVES/FORUM, HEMIS.FR/EAST NEWS

znanego wtedy Richarda Gere’a. Lansując nowego aktora, film wylansował jego styl, czyli ubrania Armaniego.

Kto po cezarze?

Już kilka tygodni po premierze filmu projektant odnotował wzrost zamówień na swoje produkty. Zachęcony zajął się ubieraniem aktorek na premiery i ceremonie. Przy czym starannie selekcionował swoje klientki – zamiast piękności jednego wieczoru wybierał intelektualistki kina mające ponadczasowy wdzięk i klasę. „Jodie Foster nie jest uważana za urodziwą kobietę, ale jest wspaniałą aktorką, która chciała odciąć się od systemu wymuszającego na niej noszenie tafty – wspomina tamte czasy projektant i dodaje: – Kiedy Michelle Pfeiffer wyszła w mojej prostej, czarnej sukience, wszystkie inne nosiły turkus, bo gwiazda Hollywood musiała się pokazać. Ale to Michelle i Jodie jako pierwsze zrozumiały, że można wyglądać zjawiskowo nawet w rzeczy, która nie jest ośmieszająca cię glamour”.

Dziś promocją marki wśród gwiazd zajmuje się siostrzenica kreatora Roberta. A to zabierze Davida Beckham’a na zakupy do butiku Emporio Armani, a to zaplanuje ślub Toma Cruise’a z Katie Holmes (zgodnijcie, kto zaprojektował suknię panny młodej), a to urządzi w restauracji (a jakże – Armaniego) przyjęcie na cześć Cate Blanchett i Sydney Theatre Company, której Armani jest oficjalnym patronem. Dzięki takim działaniom styl Włocha jest wciąż modny wśród gwiazd, a za pośrednictwem kolorowych pism nadal atrakcyjny także dla aspirujących do bogactwa i bogatych prawdziwie. Marzenia o Armanim czasem przybierają karykaturalną formę – w Polsce wciąż działają sklepy z używaną odzieżą Tani Armani. Oczywiście bliskość jest tu wyłącznie fonetyczna. Skuteczna, dyskretna i elegancka Roberta jest bardzo często wymieniana jako następczyni wujka Giorgio. Zresztą Armani – jak na prawdziwego Włocha przystało – zbudował swoją potęgę przy pomocy bliskich.

Po śmierci Galeottiego w 1985 roku ważne pozycje w firmie zajmują siostra, siostrzenica i bratanek projektanta. Z przecieków wynika, że Armani, który pół roku temu przechodził ostre zapalenie wątroby, zwalnia tempo i zleca coraz więcej obowiązków podwładnym, również spoza rodziny. Oczywiście pod pewnym warunkiem. „Pracuję z zespołem projektantów wewnątrz, którzy rozumieją moją wizję i potrafią interpretować moje pomysły. Muszę być zaangażowany w proces twórczy, bo tylko tak mam pewność, że wszystko ma stempel Armaniego” – opowiada o pracy na zapleczu domu meblowego Armani Casa. Tylko czy po prawdziwym odesiściu Armaniego cokolwiek jeszcze będzie mieć jego stempel? □

Mistrz walczy o Romów

Gdyby nie wycisk, jaki dało mu życie, **Gerard Linder** vel **Dragon** nie zostałby kick bokserem. Dziś boksuje się nie tylko na ringu, ale i z polsko-romskimi uprzedzeniami

MNIEJSZOŚCI ANNA SZULC

Najpierw w Andrychowie pomyliły mi się ulice i adresy. Więc nie trafiłam od razu do przeciętnie obscurnego bloku, w którym mieszka wiele polskich rodzin i jedna romska. Dziś już wiem, że popełniłam błąd. Bo o drogę zapytałam dorosłych. Gdybym spotkała 12-letniego Krzysia z klubu sportowego, nie byłoby żadnego problemu. Bo Krzys – podobnie jak wiele innych andrychowskich dzieci – doskonale wie, gdzie mieszka największy w mieście mistrz. Bo tak jak wiele innych dzieci z tego 20-tysięcznego miasteczka w Małopolsce również marzy o tym, by stanął przed nim mistrz i powiedział: „Zrób jeszcze 30 pompek, a może będą z ciebie ludzie”.

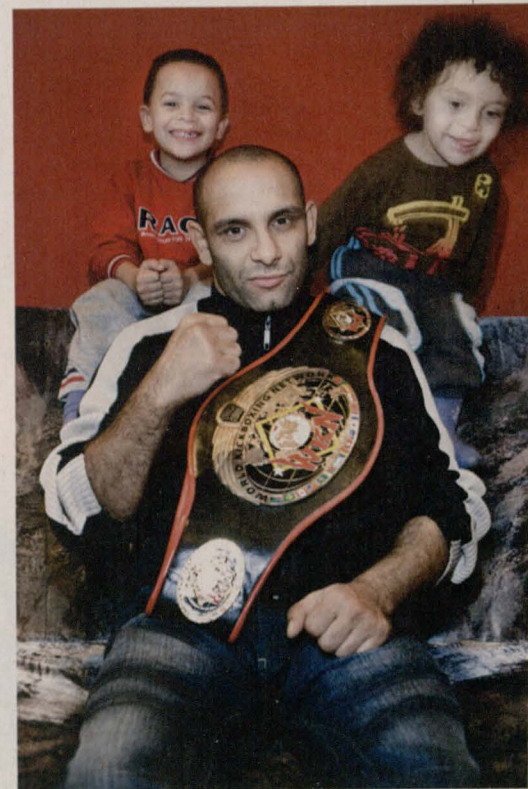
W końcu pan w kowbojskim kapeluszu zapytany o dom, w którym mieszka Gerard Linder vel Dragon, mistrz świata w kick boxingu, pokazuje mi kamienicę w sercu miasteczka. Budynek wygląda, jakby przeszło przez niego tornado, ale wcale nie dlatego, że umarła w nim z przepicią i beznadziei pewna cygańska babcia.

Cygany na Grenlandię

Tuż przed wejściem do popadającej w ruinę kamienicy pewna polska babcia radzi mi życzliwie, bym zawróciła, bo „po co w ogóle zaglądać do tych Cyganów?”. „Cygany” dla tej starszej pani to ci, którzy rok wcześniej poważnie tu narozrabiali. Przed jednym ze sklepów zatarasowali prawdziwym Polakom wejście. W związku z tym sklepikarz publicznie ogłosił petycję w sprawie „zachowania niektórych miejscowych Romów” i zebrał pod nią 500 podpisów. Wkrótce potem na forach internetowych pojawiły się propozycje, by wszystkich tutejszych Romów (jest ich tu około 120) odesłać na Grenlandię lub Syberię.

Ubiegłoroczna romsko-polska awantura to jeszcze nic w porównaniu z późnymi latami 80. i 90., kiedy andrychowscy obrońcy czystości rasowej regularnie tłukli cygańskie dzieciaki. Wtłuki też kiedyś pewnemu drobnemu 10-latkowi, jednemu z najmniejszych w klasie. I tłukłoby go pewnie i w przyszłości, gdyby chłopiec nie zobaczył w kinie „Wejścia smoka”, a w Andrychowie nie otwarto sekcji karate. I gdyby pewnego dnia zamiast jak inne cygańskie dzieci ukrywać się przed agresorami w domu, nie wybrał się na spacer do lasu.

– Odkryłem wtedy ten las dla siebie, był bezpieczny i pachniał wolnością – wspomina Gerard Linder vel Dragon, dziś 35-letni mężczyzna, bardziej znany jako Black Dragon, czyli



Roma jako reprezentanta Polski nikt nie chciał widzieć na światowych ringach. W końcu, gdy go wystawiono, **Gerard został mistrzem świata**

Czarny Smok. – Był miejscem, w którym mogłem swobodnie biegać i tańczyć.

Nie był to do końca romski taniec. Chłopak, tańcząc, siłował się. Z drzewami, kamieniami. A potem, mniej więcej ćwierć wieku temu, zaczął trenować na poważnie. Najpierw kilka różnych sztuk walki, w końcu wybrał kick boxing. Trenował dzień w dzień, wiele godzin, nawet wtedy, gdy jego koledzy zapalali pierwsze w życiu papierosy albo podrywali dziewczyny w dyskotekach. Trenował, bo chciał mieć pewność, że da sobie radę z agresją tych, którzy widzieli w nim tylko Cygana.

Płacz w rodzinie

– Kiedy ponad dekadę temu go poznałem, wciąż tańczył – uśmiecha się Cezary Podraza, jeden z najsłynniejszych polskich kick bokserów, obecnie jego trener. – I to jak! Na deskach roznosił wszystko i wszystkich.

W końcu Gerard wytańczył sobie na ringu tytuł mistrza Polski w kick boxingu, a potem →

→ i znacznie więcej. Zanim w czerwcu minionego roku zdobył swój pierwszy tytuł mistrza świata w kick boxingu, upłynęło jednak wiele czasu. Zdążył się ożenić, i to mimo cygańskich zwyczajów i zakazów z Polką.

Wkrótce potem na świecie pojawił się Damian, pierworodny syn Smoka. Urodził się z rozszczepem podniebienia. Jego dwaj młodsi bracia też. Później Linder dowiedział się, że taka wada może być dziedziczona tylko po linii męskiej, więc dwóm jego córkom operacje, ból i płacz zostały oszczędzone. Ale Dragonowi i jego żonie Sylwii nie. – Plakaliśmy jak bobry, kiedy widzieliśmy, jak nasze dzieci cierpią – przyznaje kick bokser. Dziś już wiadomo, że defekt twarzy chłopców, gdy dorosną, prawdopodobnie w ogóle nie będzie widoczny. Chłopcy bowiem szczęśliwie przeszli specjalistyczne operacje.

W tle dramatu rodzinnego rozgrywał się jednak dramat Lindera jako sportowca. Choć pierwszy z siedmiu tytułów mistrza kraju w kick boxingu zdobył już w 1997 roku, wciąż

w telewizor, konkretnie w „Modę na sukces”. Gdyby nie poważne braki w uzębieniu, pan w samych slipach mógłby uchodzić za sobowtóra Ridge’a, głównego amanta serialu zza oceanu. – Szukam Gerarda Lindera. Roma. Kick boksera, zawodnika, mistrza świata – zagajam z pewną nieśmiałością prawie nagiego mężczyznę.

– Zawodnik z niego niezły – mamrocze romski lokator à la Ridge. – Ale tu go szanowna pani nie znajdzie, bo tu jest slums. Slums, który, szanowna pani, wszyscy mają w dupie.

Niezupełnie. Bo Linder, polski Rom, dla ziomków ze slumsów zgodził się sześć lat temu zostać asystentem miasta Andrychowa do spraw romskich. – Czasem przypomina mi konia pociągowego, na którego grzbiet zarówno Polacy, jak i Romowie wsadzili wszystkie swoje ciężary – wyjaśnia Jan Pietras, burmistrz Andrychowa.

Gerard nie odmawia pomocy Romom alfabetom i wypełnia za nich papiery w urzędach (choć potem miewają pretensje do po-

je do szkoły. A potem rodzice mieli asystenta-wi za złe, że ich pociechy narażone są na drwin polskich kolegów.

Tyle że to sam Gerard jest obiektem polskich drwin. Powodem jest na przykład to, że jest szefem romskiego stowarzyszenia. „Wiadomo, że na Romów państwo wydaje pieniądze w cholerę i trochę” – dowiemy się z internetowego forum poświęconego sprawom Andrychowa. Forum, na którym nie ma już słowa o tym, że Gerard z liczną rodziną mieszka w obokromnym bloku, w dwupokojowym mieszkaniu, bo go na lepsze nie stać. Że nie ma nawet samochodu, że zdarzało mu się, nawet wtedy gdy już był mistrzem świata, pracować na budowach w Niemczech, że wciąż szuka poważnego sponsora*. I wreszcie – że próby łagodzenia polsko-romskich problemów wyciskają z niego ogromne poty.

– Ten facet ma już dość, ale się nie poddaje. W końcu jest wojownikiem – mówi Michał Jarczyk, przyjaciel Dragona, z którym założył romsko-polski zespół raperski Jamaro, a także siedem lat temu otworzył szkołę kick boxingu, przez którą przewinęły się już setki polskich i romskich dzieci. Urządza też na podwórkach i placach lekcje break dance’u, na które przychodzą miejscowe dzieciaki.

Polacy jak czarownice

– Kiedy trzy lata temu po raz pierwszy przyszedłem do klubu Gerarda, bałem się Polaków bardziej, niż małe dzieci boją się czarownic – przyznaje Adrian Wołek, 19-letni Rom, kick bokser. – Dragon udowodnił mi, że kolor skóry czy narodowość nie mają większego znaczenia, jeśli znajdziesz w sobie siłę, by przezwyciężyć strach przed obcym. Dziś mam więcej polskich kolegów niż romskich. Ale na początku uprzedzenia były po obu stronach.

– Na pierwsze moje zajęcia polscy rodzice przyprowadzili swoje całkiem już czasem wyrośnięte dzieci za rączkę – śmieje się Gerard, którego wreszcie udało mi się odnaleźć w jednym z andrychowskich brzydkich bloków. – Przyglądali mi się spode łba i omiatali spojrzeniem, czy ten Cygan nie zrobi naszym dzieciom krzywdy, nie sprowadzi ich na złą drogę? A teraz? Rodzice w klubie bywają rzadko.

Miesiąc temu w jednej z andrychowskich podstawówek pani od polskiego poprosiła uczniów, żeby napisali, kto jest dla nich największym autorytetem. Okazało się, że w czołówce dość przewidywalnego rankingu oprócz papieża, mamy i taty oraz Dody znalazł się też Black Dragon.

– Mam wrażenie, że on po prostu nie chce widzieć okopów polskich i cygańskich – mówi Michał Jarczyk. – Gerard po prostu wychodzi między okopy i wbija tam codziennie nową białą flagę. □

* Kick boxing nie jest sportem olimpijskim. Za tytuł mistrzowski dostaje się od tysiąca do dwóch tysięcy złotych. Za zwykłe walki nie więcej niż kilkaset złotych



Przez szkołę stworzoną przez Gerarda przewinęły się już setki dzieciaków – Romów i Polaków

nie wystawiano go do walk na międzynarodowych mistrzostwach. Wbrew regułom i logice działacze do światowych walk wysyłali nie wielokrotnego mistrza kraju, ale ku zdumieniu większości kibiców tych, którzy mieli tytuły wicemistrzów. Gerardowi udało się stanąć przed zawodowcem z innego kraju dopiero w 2004 roku. – Utrudniano mu światowy start na wszelkie sposoby – przyznaje Podraza. – Z jego umiejętnościami mógł zostać mistrzem świata o wiele wcześniej, niż dano mu na to szansę. Proszę nie pytać o powody. Nie mówi się o nich głośno, ale są oczywiste.

Obiekt drwin

Tymczasem ja w kamienicy w centrum Andrychowa, do której skierował mnie pan w kowbojskim kapeluszu, na pierwszym piętrze ruiny, przy otwartych drzwiach natrafiam na prawie nagiego mężczyznę wpatzonego

mocnika, że dostali od państwa i miasta mniej, niż oczekiwali, pomaga im wychodzić ze slumsów (choć potem obwiniają Gerarda, że dostali lokal w niedogodnej okolicy). Niedawno udało mu się przekonać władze miasta, by samotnej Romce, która miała pecha mieszkać w jednym bloku z młodymi naziastami (od lat była przez nich dręczona za to, że ma ciemniejszy kolor skóry i zbyt kolorowe spodnie), zamienić mieszkanie na takie, które nie sąsiaduje ze skłami.

– Najbardziej jednak cieszę się wtedy, gdy uda mi się wyciągnąć z domów dzieci – przyznaje sam kick bokser. W ostatnim czasie w romskich domach znalazł czwórkę maluchów w wieku szkolnym, o których istnieniu żadna andrychowska szkoła nie miała pojęcia. Gdyby nie Linder, dzieci mogłyby dożyć pełnoletności, nie wiedząc, jak wygląda ławka w klasie. Asystent prawie za uszy wyciągnął

MEDIA PUBLICZNE IGOR RYCIĄK

Sternik z Trójką

Z pomocą polityków były aktor odgrywa coraz to nowsze role w dziennikarstwie. Dotąd zręcznie przeskakiwał z fali na falę. Ale teraz, jako szef Trójki, Jacek Sobala musi wyjątkowo uważać: słuchacze łatwo mu nie wybaczą

Do Warszawy przyjechał właśnie Rupert Murdoch. Miliarder i magnat prasowy postanowił zainwestować w Polskę – kupował telewizję Puls. Transakcja została zamknięta, więc bogacz chciał się spotkać z pracownikami stacji. Atmosfera napięta, w wypowiedziach pełno ogólników. Jest środa, 27 czerwca 2007 roku. W pewnym momencie głos zabiera szczupły blondyn. Przez kilka minut wygłasza płomienną laudację na cześć Murdocha, po czym zaczyna skandować: „Zo-stań z nami, zo-stań z nami!”

Na sali konsternacja. Tłumaczka próbuje wyjaśnić gościowi, że to hasło powtarzane przez polskich pielgrzymów pod koniec spotkań z Ojcem Świętym. – A kim jest ten pan? – pyta zdumiony Murdoch. – To Jacek Sobala, nasz czołowy dziennikarz – odpowiada tłumaczka.

Teraz – po zawarciu cichej medialnej koalicji SLD z PiS – Jacek Sobala kieruje Programem III Polskiego Radia. Tuż po świętach Bożego Narodzenia zastąpił Magdaleny Jethon, wieloletnią dziennikarkę stacji.

Już dawno zmiana szefa publicznej anteny nie wywołała tak gorącej reakcji. Dziennikarze rozgłosili wystąpienie do premiera Donalda Tuska i do marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego dramatyczny list. „Błyskawiczne odwołanie dyrektora Jethon w okresie świątecznym, w czasie, gdy znaczna część zespołu rozproszyła się na urlopy, uraga jakimkolwiek standardom i świadczy o tym, że autorytet decyzji doskonale zdawali sobie sprawę z jej bulwersującego i nieuzasadnionego merytorycznie charakteru” – napisali. Powierzenie Trójki Jackowi Sobali nazwali „zamachem na polityczną autonomiczność mediów publicznych”.

Komitet Miłośników Trójki, organizacja założona przez ludzi kultury wspierająca działalność stacji, oświadczył, że z dyrektorem Sobalą żadnej współpracy nie będzie. A to dlatego, że jest on człowiekiem z politycznego nadania. Z kolei byli pracownicy Trójki, między innymi Monika Olejnik, Grzegorz Miecugow i Tomasz Sianecki, napisali list otwarty, w którym zaprotestowali przeciw traktowaniu publicznej anteny „jako łupu politycznego i obiektu transakcji czysto politycznych”.

Zaskoczeniem była akcja uczestników konkursu Wielki Wyścig organizowanego przez rozgłoszenie. Zamiast wyruszyć w podróż autostopem po Europie, przyjechali do siedziby stacji przy Myśliwieckiej w Warszawie, gdzie złożyli petycję protestacyjną.

Kim jest człowiek, który wywołał takie emocje? I co zamierza?



Dyrektor Sobala uparcie milczy, co tylko pogłębia obawy pracowników

Dotąd Sobala nie podjął żadnych decyzji personalnych ani organizacyjnych. Plotka krążąca po Myśliwieckiej mówi o przygotowaniach do oszczędności i cięć personalnych, ale dziennikarze, mimo że podpisali się pod listem, nie komentują publicznie zamieszania, by dodatkowo nie szkodzić firmie. Jacek Sobala przyjął identyczną taktikę: nie chce rozmawiać ani z „Przekrojem”, ani z innymi mediami. – Panuje atmosfera niepewności – ocenia pracownik Trójki.

Zdaniem Krzysztofa Skowrońskiego, byłego dyrektora stacji, dziś szefa internetowego Radia Wnet, sama zmiana nie oznacza niczego złego. – Zależy, czy ten, który przychodzi, jest lepszy, czy gorszy od tego, który odchodzi. Tak samo jak zmiana w czasie meczu piłkarskiego może przynieść zarówno zwycięstwo,

jak i porażkę – mówi. Pytany, czy podjąłby się oceny zmiany Magdaleny Jethon na Jacka Sobalę, odpowiada po dłuższym namyśle: – Nie, nie podjąłbym się.

Faktem jest, że pod kierownictwem Jethon Trójka osiągnęła rekordową słuchalność – z 9,56 procent do 12,09 procent w ciągu roku. W jakiej części była to jej zasługa, a w jakiej Krzysztofa Skowrońskiego, pozostanie zapewne nierozstrzygnięte. Ale merytorycznych podstaw do zmiany kierownictwa kultowej rozgłoszenia nie sposób się doszukać. Łatwo za to doszukać się powodów pozamerytorycznych. Prezes zarządu Polskiego Radia to kojarzony z lewicą Jarosław Hasiński. Odpowiedzialność za Program III ma jednak inny członek zarządu – Wojciech Poczachowski (z rekomendacji PiS). I to właśnie on →

→ przeforsował kandydaturę Jacka Sobala. Już po fakcie Hasiński wyjaśniał, że w dobie spadku wpływów abonamentowych w radiu muszą być wprowadzone drastyczne oszczędności. – Muszę to robić z ludźmi, którzy gwarantują, że je wykonają – tłumaczył Hasiński.

Na scenie za żoną

Jacek Sobala, rocznik 1960, to dyplomowany aktor. W 1984 roku skończył warszawską Państwową Wyższą Szkołę Teatralną (teraz Akademia Teatralna). W tym samym roku zagrał (nie licząc przedstawienia dyplomowego) swoją pierwszą rolę. Był to epizod w zupełnie dziś zapomnianym filmie „111 dni letargu” w reżyserii Jerzego Sztwielni. Także w kolejnych produkcjach dostawał role epizodyczne lub drugoplanowe. Tak było w „Chrześniaku” w reżyserii Henryka Bielskiego oraz w popularnych serialach: „Tulipanie”, „Zmiennikach” i „Pograniczu w ogniu”.

Bez porównania lepiej rozwijała się kariera jego żony Małgorzaty Pieńkowskiej. W 1988 roku zadebiutowała rolą Klary w „Zemście” na deskach Teatru Polskiego. Od tamtej pory Pieńkowska co kilka miesięcy dostawała ważne role. Regularnie występowała w Teatrze TV. – Poznaliśmy się chyba w 1989 roku. Ale ślub wzięli w roku 1991, gdy Małgosia była już w ciąży – opowiada dawny znajomy aktorskiej pary. Czy Jacek porównywał swoje epizodyczne role z sukcesami żony i czy miał z tego powodu zawodowe kompleksy? – Nie okazywał tego. Myślę, że bardziej się martwił, jak utrzymać rodzinę – dodaje nasz rozmówca.

Jacek Sobala i Małgorzata Pieńkowska rozwiedli się pięć lat temu. Ona, grając główną rolę w serialu „M jak miłość”, stała się jedną z najpopularniejszych aktorek w kraju. On z aktorstwem nie ma już nic wspólnego.

W czasie gdy na świat przyszła ich córka, w kraju nastąpił wysyp prywatnych stacji radiowych. Te potrzebowały lektorów z profesjonalnym przygotowaniem, takim jak w szkole aktorskiej. Jacek Sobala porzucił deskę teatru i nadzieje na wielkie role filmowe.

Kariere przed mikrofonem zaczynał w warszawskim Radiu Eska (początkowo nazywanym Radiem S w nawiązaniu do podziemnego Radia Solidarność) i już po 12 miesiącach, w 1992 roku, doszedł do stanowiska dyrektora programowego stacji.

Z na wpół amatorskiej rozgłośni uczynił profesjonalne medium. W dzień program prowadzili didżeje, którzy sami wybierali muzykę, odbierali telefony od słuchaczy i czytali serwisy informacyjne. Wieczorem Eska emitowała liczne

pasma tematyczne poświęcone między innymi filmowi, motoryzacji, literaturze. Można też było posłuchać młodzieżowego undergroundu lub nowoczesnego jazzu. – Powiedziałbym, że był tolerowany przez zespół, choć zdarzały mu się czasem szalone pomysły, ale poprzestawał na słowach. Trzeba przy tym przyznać, że dbał o zachowanie politycznej równowagi na antenie – mówi dawny podwładny Sobala z Eski (prosi o zachowanie anonimowości, bo pracuje w mediach publicznych).

To nie znaczy, że Jacek Sobala nie miał wyraźnych poglądów politycznych. W 1998 roku Sobala przeszedł z Eski do nowego Radia TOK FM założonego między innymi przez Agorę SA, wydawcę „Gazety Wyborczej”, oraz spółdzielnię wydającą tygodnik „Polityka”. Stacja miała nowatorski na polskim rynku format: między serwisami informacyjnymi na antenie występowali prezenterzy, którzy na żywo komentowali bieżące wydarzenia polityczne i społeczne.

Jacek Sobala szybko stał się najbardziej charakterystyczną postacią stacji, znaną z wypowiedzianych wyjątkowo krytycznych sądów pod adresem środowiska prawicy i konserwatystów. Szerokim echem odbiła się audycja Sobala z początku roku 2000 roku, w której rozprawił się z Ryszardem Benderem, prawnym politykiem i publicystą. Prezenter wezwał słuchaczy do „bicia w mordę każdego rasisty”. – Jeśli ojciec i matka nie nauczyli was tego, to ja wam to mówię – mówił podekscytowany. Po tych słowach osoby ze środowiska Bendera złożyły skargę do KRRiT, ale sprawa rozeszła się po kościach.

Nie dla garstki gramy

Dlaczego więc dziennikarz o tak wyraźnych antyprawicowych poglądach jest dziś w polskim radiu nazywany „spadochroniarzem PiS”? W 2003 roku Jacek Sobala przenosi się do Telewizji Puls. Programy stacji, której założycielami byli ojcowie franciszkanie, miały odwoływać się do chrześcijańskiej tradycji i konserwatywnych wartości. Sobala zaczął prowadzić program „Puls wieczoru”, w którym rozmawiał głównie z politykami. I tak jak wcześniej w radiu wyrażał niechęć do polityków prawicy, tak teraz w telewizji zaczął ich forować. Politykom rządzącej w tym czasie lewicy potrafił bezpardonowo przerywać, wygłaszając własne oceny i przemyślenia. Za to działacze prącego do władzy PiS nie byli w „Pulsie wieczoru” zmuszani do nadmiernego wysiłku. Ta zmiana postawy była zaskoczeniem. Okazało się jednak, że już wkrótce przyniosła Sobali spory zysk.

Późną jesienią 2005 roku PiS wygrało wybory. Niedługo potem sejmowa koalicja PiS–Samoobrona–LPR znówelizowała ustawę o radiofonii i telewizji, przejmując władzę nad mediami publicznymi. W lipcu 2006 roku szefem Polskiego Radia został Krzysztof Czabański, który mianował Sobalę szefem Radia Bis (jeszcze przez ponad rok Sobala łączył tę funkcję z prowadzeniem „Pulsu wieczoru”). Inaczej niż teraz w Trójce Sobala zaczął w Bis od mocnego uderzenia.

Radio Bis było skierowane do młodzieży, z dużą liczbą audycji poświęconych niszowym stylom muzycznym oraz z wieloma programami autorskimi podejmującymi kontrowersyjne tematy. Jedną z pierwszych decyzji Sobali było zdjęcie z anteny programu „Masala” Maks Cegielskiego i Rafała Kołacińskiego. Poszło o to, że jedna z kolejnych audycji miała być poświęcona walce z ruchami neofaszystowskimi oraz ich powiązaniami z Ligą Polskich Rodzin i Młodzieżą Wszechpolską.

– Zadzwoń do mnie sekretarka dyrektora Sobala i zapytaj, czy możemy zmienić temat audycji. Kiedy odpowiedziałem, że nie, usłyszałem, że w niedzielę możemy nie przychodzić do studia. Za to w poniedziałek mam się stawić u szefa – relacjonował Cegielski. Program się nie ukazał, audycja zniknęła z anteny, Cegielski i Kołaciński zakończyli współpracę z Radiem Bis. Z anteny zniknęły kolejne pozycje – hardrockowe „Mocne noce” oraz „Liga punkrocka”. Większość pracowników odeszła. Współpracujący z rozgłośnią raper Duże Pe napisał: „Szczwany lis nasłany przez PiS zabiera nam Radio Bis”. Sobala odpiął zarzut, że jego działania mają związek z polityką. Twierdził, że chce podnieść słuchalność stacji. – Co z tego, że mamy świetną akcję przeciwko narkotykom, skoro wie o niej garstka słuchaczy? – tłumaczył.

Bezkompromisowe rozprawienie się z niepokornymi radiowcami znów zapoczątkowało. W 2007 roku Jacek Sobala awansował na szefa Programu I Polskiego Radia. Nie musiał tu już nikogo wyrzucać. Personalnych porządków zdążyli dokonać inni menedżerowie publicznej rozgłośni: Jerzy Targalski, Marcin Wolski i Krzysztof Czabański.

Pod koniec listopada 2008 roku Jacek Sobala został zwolniony. Stało się to po spisku działaczy LPR i Samoobrony, którzy przejęli władzę w mediach publicznych, czyszcząc wszystkie osoby kojarzone z projektem IV RP.

Nadzieja w patrze

Stery w Trójce Sobala obejmuje w specyficznym momencie. Z jednej strony – programowy renesans rozgłośni polegający na wprowadzeniu ramówki składającej się w znacznej części z audycji autorskich. Z drugiej – sytuacja finansowa stacji (jak całych mediów publicznych) jest dramatyczna. Spadają wpływy z abonamentu, a politycy nie są w stanie stworzyć nowego systemu finansowania państwowych radia i telewizji. Zbiórka pieniędzy zorganizowana przez Komitet Miłośników Trójki (niecałe 700 tysięcy złotych) to kropla w morzu potrzeb.

Jackowi Sobali jak nikomu innemu będą patrzeć na ręce i pracownicy, i słuchacze. W tym cała nadzieja.

Stery w Trójce Sobala przejmuje w specyficznym momencie. Z jednej strony programowy renesans stacji, z drugiej dramatyczna sytuacja finansowa

JAK SPRZEDAĆ STATUĘ WOLNOŚCI...

...CZYLI O NIEZWYKŁYM ZMYŚLE DO INTERESÓW



Olga Woźniak

Oszuści są zawsze wdzięcznym tematem do opowieści. Ciekawe jest jednak to, że dużo częściej na kartach historii zapisują się ich wyczyny niż nazwiska. Jeśli zaś ktoś mówi o tych ostatnich, to najczęściej inni oszuści, którzy próbują przypisać sobie wielkie dokonania. Dlatego dzisiaj postanowiłam „oddać honor” jednemu z najbarwniejszych oszustów XX wieku: Arthurowi Fergusonowi. Kto bowiem uwierzy, że temu obrotnemu Szkotowi udało się sprzedać Statuę Wolności, pałac Buckingham i kolumnę Nelsona z Trafalgar Square?

Był rok 1925. Ferguson pracował w podrzędnym biurze podróży. Wiódł raczej nijakie życie, dlatego, by je sobie ubarwić, pewnego dnia, w drodze do pracy, postanowił zakpić z amerykańskiego turysty oglądającego kolumnę Nelsona. Podając się za urzędnika z brytyjskiego ministerstwa pracy, poinformował go, że pomnik ma zostać zdemontowany i sprzedany, a pieniądze przeznaczone na pokrycie długu państwowego. Turysta nie grzeszył rozumem, miał za to na tyle dużo pieniędzy, że oferta żywo go zainteresowała. Ferguson wykorzystał okazję i tak stał się posiadaczem czeku



na sześć tysięcy funtów. Wkrótce okazało się, że naciąganie nadzianych Amerykanów jest tak proste, że grzechem byłoby z tego nie skorzystać. Do angielskiej policji zaczęli docierać kolejni oburzeni amerykańscy naivniacy, machając przed nosami zaskoczonych funkcjonariuszy dokumentami świadczącymi o tym, że za (stosunkowo) niewielką opłatą stali się właścicielami pałacu Buckingham („nabywca” był oburzony,

że straż pałacowa nie chciała go wpuścić do nowego domu) czy Big Bena (Ferguson opchnął go za zaledwie tysiąc funtów). Dorobiwszy się w ten sposób sporej sumki, szkocki oszust postanowił rozpocząć nowe życie za oceanem. Zachęciła go myśl, że skoro do Wielkiej Brytanii docierały z USA takie okazy głupoty, to jakie możliwości otwiera przed nim Ameryka! Nie pomylił się. Niedługo po przybyciu do USA namówił ranczera z Teksasu do wzięcia w wieczną dzierżawę Białego Domu (sto tysięcy dolarów), a pewien Australijczyk nie dał się długo namawiać na kupno Statu Wolności (drugie sto tysięcy dolarów). Miała zostać zlikwidowana – jak twierdził Ferguson – ze względu na plany poszerzenia rzeki Hudson.

Oszust wpadł, gdyż jego „klient” zrobił sobie z nim pamiętkowe zdjęcie. I tak się jednak opłaciło. W więzieniu odsiedział pięć lat, a po wyjściu na wolność zamieszkał w Los Angeles w luksusowym domu. Stać go było. Oszukiwał nadal, choć na mniejszą skalę. Zmarł jako bogaty człowiek w 1938 roku.

O czym mówi ta historia? O sprycie pewnego Szkota czy głupocie Amerykanów? A może ona sama była jednym z wielkich oszustw? Jak bowiem pisze biograf Fergusona Dane Love w książce „The Man Who Sold Nelson's Column”, nie udało mu się odnaleźć grobu oszusta ani dowodów na jego pobyt w amerykańskim więzieniu. Nie ma też żadnej zachowanej fotografii Szkota. Przeszkadza wam to? Mnie wcale. Dodaje nawet wszystkiemu odrobinę smaczku. Bo co to za oszust, o którym zawsze wszystko wiadomo na pewno?

NAJPOPULARNIEJSZE* NA przekroj.pl



- 1. ZUS utonie, ratuj swoje pieniądze • Igor Ryciak**
Polski system emerytalny jest jak „Titanic”: widać, że okręt idzie na dno, ale na pokładzie wciąż gra orkiestra. Państwową konstrukcję trzeba zlikwidować – każdy z nas powinien stworzyć własny filar emerytalny
- 2. Z Raczkowskim do piekła • rozmawia Piotr Najsztab**
Święta są dla małych dzieci i dla zaawansowanych wiekiem rodziców, którzy już dzieci nie mają. Ja jestem pomiędzy tymi granicami wiekowymi – mówi Marek Raczkowski. Jeszcze bardziej lubi kontestować sylwestra
- 3. Koleżeński układ z seksem • Agata Jankowska**
Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczuć. Kto złamie zasady układu *fuck friends*, wypada z gry. I z łóżka
- 4. Uczeń wagi ciężkiej • Iza Michalewicz**
Gigantyczna subwencja dla szkół na niepełnosprawnych uczniów – w tym dzieci z zespołem Aspergera – dziwnie się rozplywa
- 5. Nie daj się oszukać infoliniom • Krzysztof Szczepaniak**
Mówią, co im ślina na język przyniesie, myślą się i kłamią, bo za swoje błędy nie ponoszą odpowiedzialności. Czy na konsultantów w infoliniach oraz biurach obsługi klientów jest jakaś rada? Jest. Zaczni od zakupu telefonu z możliwością nagrywania

W tym tygodniu:
ZACZYNAMY TĘSKNIĆ ZA CZYTANIEM
W WANNIE, DOCENIAMY BEZMYŚLNE
GRZEBANIE W INTERNECIE I WRESZCIE
KOŃCZYMY. ŻYWIOT

Narodziny e-książki

560 lat. Tyle czasu druk na papierze nie miał konkurencji.
W tym roku czeka go zmasowany atak elektroniki

CZYTANIE TEKST PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJE RAFAŁ SZCZEPANIAK

NIE, JOHANNES GUTENBERG NIE WYNALAZŁ druku. Znano go i stosowano już wiele wieków wcześniej. Nie wynalazł nawet ruchomej czcionki – pierwsi zrobili to (oczywiście) Chińczycy, a i w samej Europie znaleźli się szybsi. Gutenberg za to stworzył pierwsze wydawnictwo z prawdziwego zdarzenia, które upowszechniło książki drukowane.

Podobnie mają się sprawy z nowymi formami wydawania książek. Przynajmniej od połowy lat 70. możemy czytać litery wyświetlane przez elektroniczne urządzenia, a od lat 30. radio nadaje słuchowiska będące zwykle odmienną formą powieści. I jakoś nikt dotąd nie głosił, że może to zaszkodzić papierowym wydawnictwom.

Papier drży

Dlaczego więc teraz, na początku roku 2010, zaczynamy nagle troszczyć się o kondycję papierowych książek? Wiele wskazuje na to, że będzie to rok wyjątkowy. Powolne dotąd procesy nabierają rozpędu i sytuacja dojrzała do zmian. Co je zapowiada? Choćby grudniowa sprzedaż elektronicznych wersji książek, która w sklepie Amazon przekroczyła liczbę sprzedanych książek papierowych. Albo wejście na nasz rynek pierwszego polskiego czytelnika elektronicznych książek eClicto czy rosnąca popularność audiobooków i coraz łatwiejszy do nich dostęp. Lub wreszcie deklaracje wydawców, którzy wciąż jeszcze pozostają ostrożni, ale rozumieją, że papier to nie wszystko.

Świetnie, ale czemu miałyby nadejść jakiegokolwiek większe zmiany? Czy nie jest pychą sądzić, że to właśnie teraz coś mogłoby się wydarzyć w trwającym od ponad połowy milenium pano-

waniu papierowej książki? Cóż, musimy pamiętać, że żyjemy w naprawdę wyjątkowych czasach. Czasach, do których pasuje bardzo dużo „nigdy wcześniej”. Nigdy wcześniej tak wielu ludzi nie miało tak prostego dostępu do informacji. Nigdy wcześniej nie komunikowaliśmy się ze sobą tak łatwo. Nigdy wcześniej nie byliśmy zalewani taką ilością danych. Nigdy wcześniej technika tak bardzo nie wkraczała w codzienne życie. Nigdy wcześniej tak dużo nie podróżowaliśmy. I nigdy wcześniej rzeczy dotąd święte nie traciły tak łatwo poważania.

Każdy z tych elementów ma wbrew pozorom wielki wpływ na to, co, a zwłaszcza jak czytamy. Wielu z nas żyje w ciągłym poczuciu braku czasu. Historycznie rzecz biorąc, nie jest to do końca uzasadnione, bo nasi przodkowie często musieli pracować znacznie dłużej i ciężiej niż my. Skąd więc to wrażenie? Zapewne ma ono wiele wspólnego z owym informacyjnym potopem. Stwarza on poczucie, że jeszcze tyle ważnych rzeczy na nas czeka, że zatrzymanie się gdzieś na dłużej byłoby niewybaczalne.

Ów brak czasu (faktyczny czy pozorny) odbiera nam komfort spokojnego czytania. Czytamy w metrze, autobusie, po ciagu – tam, gdzie nie ma nic innego do roboty. Bo w domu, gdzie do niedawna można było gapić się tylko na smutnych państwa w nudnej telewizji, teraz czeka Internet, gry, telewizja na żądanie i stos nieobejrzanych filmów DVD.

Jednak sam pomysł książki przenośnej nie jest nowy. W 1935 roku wydawnictwo Penguin Books wypuściło serię 10 wznowień starszych tytułów oprawionych w miękkie, kolorowe okładki. Marny papier spra-

**SONIA
DRAGA**

Do tej pory wydaliśmy w formie audiobooka „Kod Leonarda da Vinci”. Na razie nie rozwijamy tego segmentu. Czekamy na moment, kiedy popyt na tego typu wydawnictwa będzie większy. To dotyczy także e-booków. Czas pokaże, czy to obiecująca forma. Jeśli tak, to na pewno tym się zainteresujemy.

AGNIESZKA JEDLIŃSKA
dyrektor do spraw marketingu

wiał, że książki były nie tylko tanie, ale też lekkie. Wymarzone do zabrania w podróż.

Książka na drogie

75 lat później paperbacki zdają się świetnie trzymać, jednak może się zdarzyć, że osiemdziesiątki nie dożyją. Papierowa książka „podróżna” zyskała bowiem niebezpiecznego konkurenta – książkę elektroniczną. Prace nad nią trwały już od lat 70., jednak dopiero niedawno jakości i cena niezbędnych urządzeń osiągnęły satysfakcjonujący poziom. Przez lata sprawa rozbijała się o wyświetlacz. Wszystkie dotychczasowe ekrany, czy to kineskopowe, ciekłokrystaliczne, czy plazmowe, emitowały światło. Dla oczu to męka – wszyscy wiemy, jak męczące jest kilka godzin niezbyt uważnego wpatrywania się w komputerowy monitor. Z takimi wyświetlaczami elektroniczna książka musiała przegrać z papierem.

Przełomem okazał się dopiero elektroniczny papier. Nazwa – bardzo trafna, bo większość osób, widząc po raz pierwszy ekran zrobiony w technologii e-ink, myli go z ochronną naklejką i zabiera się do jej zdrapywania. Pomysł opiera się na wykorzystaniu małych kapsułek wypełnionych →

ŚWIAT KSIĄŻKI

Od 2008 roku wydajemy audiobooki na płytach CD. Myślimy o podjęciu współpracy z Audioteka.pl i sprzedaży audiobooków w formie plików. Przygotowujemy się także do wydawania e-booków. Ale nie sądzę, by mogły one przejąć rynek. Raczej będą tylko dodatkiem, kolejną formą wydawniczą.

**ALEKSANDRA
MAJDAN**
przedstawicielka
wydawnictwa

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Zaczęliśmy od dwóch audiobooków. Na razie tylko tyle, bo chcemy, aby to były tylko topowe książki czytane przez topowych aktorów. Stąd „Wroniec” w wykonaniu Jana Peszka i „Stuhrowie” czytani przez Stuhrow. W kwestii e-booków jesteśmy na bieżąco. Prowadzimy badania rynku i obserwujemy, jak zmienia się świat. Na razie nie jest to coś, na czym wydawnictwo może zarobić.

IWONA HABERNY,
dyrektor działu
promocji i PR

→ bezbarwnym olejem, w którym pływają drobiny o dwóch kolorach – czarnym i białym. Czarne naładowane są ujemnie, białe dodatnio. Przyłożenie do kapsułki napięcia powoduje, że drobiny barwnika przemieszczają się w cieczy i organizują tak, że widoczny staje się jeden z kolorów.

Oparty na tej technologii ekran nie tylko nie męczy wzroku, ale też jest tak samo czytelny niezależnie od kąta, pod jakim na niego patrzymy. Zużywa też minimalną ilość prądu – napięcie potrzebne jest tylko w momencie zmiany układu barwnika w kapsułkach. W przypadku elektronicznej książki oznacza to, że prądu potrzebujemy tylko przez chwilę, gdy „przewracamy” stronę.

Wygodniej i taniej

Wyświetlacz to element kluczowy, jednak techniczne szczegóły mało kogo obchodzą. Dla ludzi liczy się co innego – ogromna wygoda, jaką daje niewielkie, płaskie urządzenie przypominające cienką książkę. W jego pamięci mieści się zwykle od 200 do 1500 książek. Pierwsza myśl – po co mi tyle tego? Choćby po to, by jadać na wakacje, nie ciągnąć ze sobą dodatkowego plecaka z lekturą. Albo po to, by czytając w autobusie kolejne tomy przebojowej serii „Millennium”, nie wypełniać w całości torbki liczącej 800 stron cegłą. Lub by dziecko idące do szkoły niosło na plecach 200 gramów czytnika zamiast pięciu kilogramów podręczników.

Jednak ostatecznym ciosem dla paperbacków może okazać się cena nowych e-książek. Amazon sprzedaje całkiem niezłe tytuły już od dwóch dolarów. Polskie eClicto oferuje „Głowę Minotaura” Marka Krajewskiego za 17,45 zł, podczas gdy w księgarni Merlin.pl papierowa wersja tej książki kosztuje 31,99 zł. „Falszywy trop” Henninga Mankella to odpowiednio 17 i 39 zł. Nic dziwnego – elektroniczne wydanie przygotowuje się tylko raz, powielenie kolejnych egzemplarzy to niemal wyłącznie koszt praw autorskich.

Dla nieprzekonanych jeszcze dwa elementy wyróżniające nowe książki. Kindle, czytnik e-booków sprzedawany przez Amazona, potrafi komunikować się z księgarnią bezprzewodowo z dowolnego miejsca, w którym jest zasięg telefonii komórkowej. Kończymy więc czytać „Hyperiona” i w ciągu kilku minut możemy zacząć lekturę „Zagłady Hyperiona”.

A miłośnicy lektury dzieł w oryginale mogą dostać słownik zainstalowany wprost w czytniku. Wystarczy zaznaczyć dane słowo, by natychmiast ukazało się okienko wyjaśniające jego znaczenie. Proste to i wygodne.

Co z tą wanną?

Naturalnie elektroniczne książki mają też wady. Przede wszystkim nie szezyszczą, nie pachną i nie są szorstkie. Można się śmiać, ale od dzieciństwa uczymy się obcowania z papierową książką i nie pozbedziemy się w ciągu kilku miesięcy wszystkich tych skojarzeń. W dodatku kognitywiści podkreślają, że sama czynność przewracania kartek ułatwia odbiór i zapamiętywanie przeczytanych treści – mózg łączy informacje z powtarzalnym ruchem.

Kolejny niebanalny zarzut wobec e-booków to niemożność czytania w wannie. No dobrze, można siedzieć z czytnikiem w gorącej wodzie, ale wilgoć, która lekko pofaluje kartki zwykłej książki, może elektroniczne urządzenie odesłać do krainy wiecznych e-łowów. O zaśnięciu i utopieniu Kindle czy eClicto nie wspominając. Może brzmi to wszystko śmiesznie, ale czytanie w wannie jest po prostu symbolem wszelkich niedogodności, jakie powoduje przeziadka z papieru analogowego na cyfrowy.

Wreszcie argument, z którym trudno nawet dyskutować. Trudno, bo należy do sfery całkiem indywidualnych odczuć. Wie-

lu twierdzi, że taka „sztuczna” książka to nie to. Że książka to książka, a elektronika to elektronika i obu tych sfer mieszać nie należy. Że doznania towarzyszące pierwszemu otwarciu okładki, nastrój chwili podkreślony kieliszkiem wina i ciepłym światłem nigdy nie pojawi się przy jakimś tam e-papierze. Cóż, trudno się nie zgodzić. Tyle tylko, że owe mistyczne doznania są udziałem stosunkowo niewielkiej grupy czytelników. Większość konsumuje książki z równie nikłym namaszczeniem, jak ogląda telewizję i grzebie w Internecie. Takie już mamy czasy i można pomstować i rwać włosy z głowy, intonując żałobne pieśni o upadku kultury i „tych strasznych dzisiejszych czasach”. Można też z uwagą i ciekawością obserwować wielką przemianę kulturową (o czym mówi na stronie 42 profesor Tyler Cowen).

Książka nie do czytania

Sam elektroniczny papier, nawet najbardziej wannyoodporny, nie stanowi dla książ-

W.A.B.

W.A.B. ma już ponad 200 tytułów zdigitalizowanych. Część to produkty dla Kolportera i eClicto. Również nowości przygotowujemy od razu w dwóch wersjach – tradycyjnej i cyfrowej. E-booki to jeszcze całkowita nowość. Być może już niedługo ta forma stanie się silną konkurencją dla tradycyjnych książek. Ale dobra literatura, której czytanie jest przyjemnością, a nie obowiązkiem, raczej nie zostanie zastąpiona e-bookiem.

PIOTR BAGIŃSKI,
dyrektor handlowy

e-booki

OD TRZECH LAT, CZYLI od chwili gdy Amazon udostępnił pierwszą wersję swojego czytnika Kindle, pojawia się coraz więcej podobnych urządzeń. Producenci wybierają dwie metody sprzedaży – Kindle czy polskie eClicto Kolportera są ściśle związane z platformą sprzedającą książki, która staje się dla użytkowników głównym źródłem treści. Sony czy Fujitsu produkują



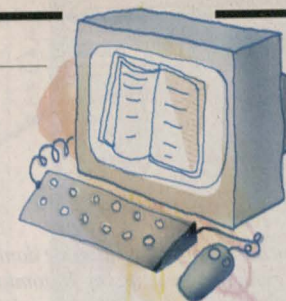
Tak, drogi panie Gutenberg. Panu już dziękujemy

ki potężnej konkurencji. Jednak wygoda towarzysząca e-bookom to tylko jeden z elementów, jakich pożądamy w naszych czasach. Drugi to łatwość przyswajania. Znowu można załamywać ręce, ale faktem jest, że dekady oglądania telewizji nauczyły nas biernego odbioru treści. Tymczasem czytanie książki (zarówno papierowej, jak i elektronicznej) to czynność absorbująca całkowicie. Jak bardzo, przekonał się każdy, kto zaczytany przejechał swój przystanek.

Jednak coraz częściej nie możemy sobie pozwolić na całkowite oddanie się jednej tylko czynności. Mnóstwo ludzi w drodze do pracy tkwi w korkach – to czasami kilka kompletnie straconych godzin dziennie. A gdyby tak ktoś nam w tym czasie mógł po-

czytać? To właśnie jedna z nisz dla kolejnej formy książki – audiobooka. To w prostej linii spadkobierca starego, dobrego słuchowiska radiowego. Najczęściej spotyka się dwie formy audiobooków – jedna to przeczytany i zinterpretowany przez lektora, często aktora, oryginalny tekst książki. Druga to dźwiękowe przedstawienie, słuchowisko właśnie, gdzie dopuszczalne są odstępstwa od tekstu oryginału, całość oprawiona jest w efekty dźwiękowe, a role poszczególnych bohaterów odgrywają różni autorzy.

Przykładów pierwszej formy jest mnóstwo, choć nie wszystkie „odczyty” zasługują na miano prawdziwej interpretacji treści. Druga forma jest znacznie bardziej kosztowna i trudniejsza do realizacji. W lepszych czasach publicznego radia powstało sporo takich słuchowisk, jednak dziś →



Książki z komputera

KSIĄŻKA NA EKRANIE komputera to tylko pozornie rozwiązanie niewygodne i mało praktyczne. Komputer daje bowiem ogromne możliwości wyszukiwania informacji, a jeśli w dodatku do przeszukiwania zabiera się Google, to sprawa zaczyna nabierać rumieńców. Projekt Google Books, choć zmagając się z licznymi problemami dotyczącymi praw autorskich, nabiera rozpędu i coraz częściej wśród wyników wyszukiwania na stronie Google będziemy mogli zobaczyć fragmenty zdigitalizowanych książek.

Równocześnie w sieci trwa wielka akcja przenoszenia do formatu cyfrowego książek, do których prawa autorskie

już wygasły. Do tej grupy należy ogromna część literatury światowej, więc nie będziemy mieli problemu ze znalezieniem za darmo Szekspira, Homera czy Mickiewicza. Jedynym problemem bywają przekłady – te nowsze wciąż mogą być chronione prawami. W sieci mnóstwo jest stron gromadzących cyfrowe wersje książek, ale koniecznie trzeba wspomnieć o Projekcie Gutenberg (www.gutenberg.org), Polskiej Bibliotece Internetowej (www.pbi.edu.pl), projekcie dLibra (dlibra.psn.pl). Każdą z tych serwisów umożliwia ściąganie publikacji w formacie tekstowym i wykorzystanie ich do własnych celów.



Gazety na ekranie czytników to przyszłość dzienników i koniec ich papierowych wersji

ją czytniki, które obsługują wiele formatów, jednak nie są związane z konkretnym dostawcą książek. Najprostsze czytniki to po prostu ekran, przyciski sterujące i pamięć. Jedyną możliwością dodania książki jest podłączenie urządzenia do komputera. Bardziej zaawansowane konstrukcje wyposażone są w dotykowy ekran, który pozwala na robienie notatek w tekście, oraz bezprzewodowe łącze wi-fi i/lub komórkowe. Dzięki temu książkę można kupić i pobrać

bezpośrednio z czytnika, łącząc się z internetową stroną sklepu. Tak działają nowe modele Kindle, a wprowadzenie takiej wersji eClicto zapowiada na ten rok Kolporter. Na razie Polacy nie mają wielkiego wyboru – eClicto to jedyne urządzenie połączone z platformą sprzedaży zapewniającą dostęp do nowych publikacji po polsku. Cena czytnika, choć wynosi 899 złotych, należy do najniższych na rynku. Trzeba pamiętać, że to do-

piero początki tej technologii – w ciągu najbliższych lat można się spodziewać wprowadzenia czytników o elastycznych ekranach i dużych rozmiarach, a w przyszłości także o kolorowych wyświetlaczach. Wyposażone w bezprzewodowe łącze byłyby idealną platformą dla elektronicznych wersji gazet codziennych – noszony w plecaku czy torbie mógłby prezentować nieustannie aktualizowane informacje przedstawiane w formacie przypominającym papierową gazetę.



Z lewej Kindle – cienki jak ołówek. Z prawej eClicto. Nieco grubszy, ale za to polski!

PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Według mnie audiobooki nie staną się dominującą formą na rynku wydawniczym. Natomiast już dzisiaj wypierają wersje papierowe w niektórych kategoriach. Tak jest taniej, a w dodatku łatwiej zawartość poprawić lub uwspółcześnić. Jest jeszcze jedna postać książki, o której warto wspomnieć: papierowa, ale drukowana cyfrowo, w jednym egzemplarzu, na konkretne zamówienie. Nazywamy je prebookami, bo są to egzemplarze dla dziennikarzy i do innych form promocji, ale może to być także produkt dla klienta.

MIECZYŚLAW PRÓSZYŃSKI,
prezes

→ jest nadzieja na odnowienie tego dzwiękowego teatru. W takiej postaci zrealizowano niedawno „Narrenturm” Andrzeja Sapkowskiego, przy którego powstaniu siły połączyło Polskie Radio, serwis Audioteka.pl i wydawnictwo superNOWA.

O ile w przypadku e-booków trudno mieć wątpliwości, o tyle można się zastanawiać, czy audiobooki to jeszcze w ogóle książki. Oczywiście wszystko zależy od przyjętego kryterium, ale moim zdaniem te wersje, gdzie odczytany jest pełny tekst stworzony przez autora, jak najbardziej na to miano zasługują. W końcu odbiorca audiobooka, spędziwszy na słuchaniu kilkanaście, a czasami kilkadziesiąt godzin, otrzyma tę samą porcję informacji co człowiek czytający klasyczną książkę. Można oczywiście powiedzieć, że książka to nie tylko informacja, ale i cały proces czytania, jednak nic nie wskazuje na to, by uważnie

słuchający „Zbrodni i kary” miał wynieść z niej mniej niż uważnie czytający.

Trzeba też pamiętać o tym, że często staje się nie przed wyborem, „jak czytać”, ale „czy czytać”. Audiobook daje szansę przyswojenia sobie książki tym, którzy bez niego po prostu by po nią nie sięgnęli. W tej sytuacji chyba lepiej, by do „nieczytelnika” dotarła książka przez kogoś czytana, niż by wcale miał nie mieć z nią kontaktu. W przeciwieństwie do e-booków audiobooki nie mają przewagi cenowej nad papierem – koszt nagrania i wynagrodzenia aktora lub lektora w połączeniu ze stosunkowo niską sprzedażą sprawiają, że ceny nagrań są zbliżone do cen papieru, a czasami nawet je przewyższają. Wspomniana „Głowa Minotaura” kosztuje w serwisie Audioteka.pl 34,90 złotych.

Książka pod jabłkiem

Jest jeszcze jedna, często lekceważona forma publikowania książek. To książki przeznaczone do czytania na komputerze. Tak, narzekałam na zmęczenie oczu i niewygodę takiego rozwiązania, trzeba jednak pamiętać, że nie wszystkie książki czyta się od deski do deski. Podręczniki, poradniki i inne publikacje użytkowe są wręcz stworzone do otwarcia w systemie, który umożliwia błyskawiczne wyszukiwanie treści. Najlepszy indeks nie może się równać z prostym CTRL-F (dla wyznawców firmy sadowniczej – JABŁKO-F), które natychmiast daje dostęp do dowolnego nazwiska i hasła.

Książki odczytywane w komputerze pozwalają też często na robienie notatek, kopiowanie fragmentów i przygotowywanie zestawień – dla studenta taka forma to po prostu marzenie.

Co ciekawe, ten sposób czytania nieźle sprawdza się w przypadku szkolnych lektur. Jakoś nie spotyka się wielu ludzi, którzy uczciwie przeczytaliby wszystkie zadawane książki, a komputer sprzyja szybkiemu prześledzeniu losów Antka, Łyska czy odnalezieniu w „Panu Tadeuszu”, ile razy i w jakim kontekście pojawia się słowo „ostał”.

Błady strach wydawców

Z punktu widzenia większości z nas, czytelników, nowe formy książek dają same korzyści. Długo jeszcze nikt nie będzie się obawiał o zniknięcie papieru (no, może poza paperbackami), a ci bardziej postępowi (nierozważni?) szybko przekonają się do nowości.

Jest jednak jeszcze druga strona medalu – losy autorów i wydawców. Ci pierwsi nie mają raczej powodów do obaw, bo treść zawsze będzie pozostawać w cenie. Mogą się nawet cieszyć, bo ograniczenie liczby pośredników i obniżenie kosztów dystrybucji daje im szansę na większy zarobek.

CZARNA
OWCA

Do tej pory wydaliśmy w wersji audio dwie książki, we współpracy z wydawnictwem Propaganda. Teraz samodzielnie wydajemy pierwszą część „Millennium” Stiega Larssona.

Rozpoczęliśmy też wydawanie książek w formacie pdf. To ma sens w przypadku poradników i podręczników. Ściągnięcie konkretnej pozycji jest dużo wygodniejsze i tańsze niż poszukiwanie i kupowanie książki papierowej.

MAREK KORCZAK,
dział handlowy

Audiobooki

AUDIOBOOK TO TYLKO na pierwszy rzut oka (ucha?) przeczytana książka. W rzeczywistości współczesne odtwarzacze zapewniają użytkownikom mnóstwo udogodnień. Możliwa jest zmiana prędkości czytania bez zmieniania tonu głosu lektora, w dowolnych miejscach ustawić można cyfrowe zakładki, tak by natychmiast przeskoczyć do wybranego miejsca utworu. Gdy

przerwiemy czytanie, urządzenie samo zatroszczy się, byśmy bez problemu wrócili do słuchania w odpowiednim momencie książki. Do niedawna audiobooki były dostępne głównie na płytach kompaktowych, więc posiadacze odtwarzaczy mp3 musieli sami zajmować się kopiowaniem treści do swoich urządzeń. Jednak od ponad roku polski rynek skłania się ku modelowi, w którym książkę ściąga się bez-

pośrednio z Internetu od razu w formacie przystosowanym do wgrania do odtwarzacza. Trend ten zapoczątkował serwis Audioteka.pl, który w tej chwili zdecydowanie najaktywniej zajął się promocją polskich audiobooków – we współpracy z tym serwisem powstały ambitne wersje audio takich książek, jak „Narrenturm” czy „Wronec”. Rynek książek do słuchania jest szczególnie wrażliwy na piractwo – jeśli ściągniemy z sie-

cznie gorzej wygląda sprawa wydawców. Głośny stał się przypadek spadkobierców Williama Styrona, autora „Wyboru Zofii”, którzy zdecydowali się sprzedać prawa do elektronicznych publikacji firmie Open Road Integrated Media. Odebrano to jako zdradę Random House, wydawcy Styrona, który przyznał się do gigantycznego sukcesu „Wyboru Zofii”. W „New York Times” pojawił się pełen oburzenia tekst wykazujący, że powodzenie książki zależy niemal w równym stopniu od treści napisanej przez autora, co od wysiłku wydawcy. Odsprzedaż praw komuś, kto będzie tylko odcinał kupony od czyjejś pracy, pokazane tu zostało jako szczyt perfidii.

Takie podejście przypomina jednak to, co od kilku lat dzieje się w branży muzycznej. Pojawienie się muzyki w Internecie sprawiło, że grunt zaczął się usuwać spod nóg największych gigantów, a ci natychmiast wpadli w panikę, tracąc przy okazji zdrowy rozsądek. Zamiast jak najszybciej przystosować się do nowej sytuacji, kurczowo trzymali się starego i bezpiecznego, gdy tymczasem nowe powoli podmywało fundamenty ich imperium. Walka wciąż trwa, ale już dziś widać, że zapewnienia o tym, że bez dystrybucji i promocji żaden zespół zaistnieć nie może, okazały się bezpodstawne. Początek kariery „Arctic Monkeys” pokazał, że internetowa promocja wystarczy, a rozwój sytuacji dowiódł, że pieniądze i tak nie ominą wielkich firm.

Zamiast więc dramatyzować, wydawcy powinni jak najszybciej przyjąć do wiadomości nowe i przygotować się na jego nadejście. Tym bardziej że inwestycja w e-booki czy audiobooki nie wiąże się z wielkimi wydatkami – to raczej kwestia zmiany mentalnej. Oczywiście nie należy przesadzać, bo rynek nowej książki to wciąż ułamek tego, co dzieje się w papierze. Jednak przypa-

ci płytę Madonny, to, bądźmy szczerzy, artystce nie zrobi to większej różnicy. Tymczasem piractwo audiobooków łatwo może zniszczyć niewielki jeszcze rynek – polskie książki audio sprzedawać się mogą tylko w Polsce, a jeżeli nie będziemy za nie płacić, wydawnictwa nie zechcą udostępniać praw do treści. Dlatego Audioteka.pl znakuje sprzedawane przez siebie pliki dźwiękowym znakiem wodnym wiążącym je z kupującym.

Dla wszystkich miłośników słuchania książek mamy prezent. Audioteka.pl przygotowała specjalny kod promocyjny, dzięki któremu nasi czytelnicy uzyskają 30 procent zniżki na wszystkie zakupione książki. Wystarczy przy zakupie wpisać hasło: **sluchaj-z-przekrojem** i wcisnąć przycisk „Przelicz”. Kod będzie działał aż do końca lutego!

Polecamy!

MUZA

Audiobooki wydajemy od dwóch lat. Głównie na płytach CD – autorzy i ich agenci są nieufni wobec sprzedaży przez Internet. E-booki to zupełna nowość i popyt na nie jest jeszcze marginalny. Obserwujemy rynek i czekamy. Jeśli pojawi się popyt i uda nam się przekonać do tej formy autorów, to rozpoczniemy wydawanie książek w wersji cyfrowej. Dla nas byłaby to korzystna innowacja, która zmniejszałaby koszty – choćby magazynowania.

MARCIN GARLIŃSKI,
dyrektor generalny

dek przedsięwziętej sprzedaży Amazona powinien każdemu dać do myślenia.

O ile kwestia praw autorskich jest prosta w przypadku nowych książek (wydawca kontroluje prawa zarówno do papieru, jak i do „elektroniki”), o tyle kłopotem są stare bestsellery z czasów przedkomputerowych. Wciąż stanowią atrakcyjny kasek, brak jednak umów dotyczących dystrybucji w nowych formatach.

Sensowny wydaje się tu model brytyjski, który też stopniowo przyjmuje się w USA. Założono tam, że do autora należą prawa do elektronicznej dystrybucji książek wydanych w epoce przed pojawieniem się elektronicznych książek nawet wówczas, jeśli nie została podpisana odpowiednia umowa. Tak więc o jej ewentualnym pojawieniu się w formacie „e” decyduje sam autor. Rozwiązanie eleganckie i pozwalające uniknąć wielu paskudnych scysji.

Na szczęście wydaje się, że polscy wydawcy trzymają rękę na pulsie i szykują się już na narodziny nowej książki. Wskazują na to wypowiedzi, które zamieściliśmy obok. Może więc uda nam się uniknąć przykrych zgrzytów i płynnie przejść w nową współpracę Urszula Dąbrowska

ZNAK

Czytanie e-książek będzie powszechne. Wydawnictwo Znak podjęło współpracę z projektem eClicho. Mamy również w ofercie audiobooki (m.in. „Nowe przygody Mikołajka”). Drukowana książka nie zniknie w najbliższym czasie, ale sądzę, że w końcu znaczna część przychodów wydawnictwa będzie pochodzić ze sprzedaży wersji elektronicznych.

PAWEŁ POLAŃSKI,
kierownik działu promocji

Słuchaj też „Wiadomości” w

Radio 24

SITA.pl
Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe
prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietricha i laureata
nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI

ENGLISH

NIEMIECKI

DEUTSCH

FRANCUSKI

FRANÇAIS

HISZPAŃSKI

ESPAÑOL

WŁOSKI

ITALIANO

Święta. Nowy Rok
nowy język

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej
używanych słów i zwrotów gwarantowana
już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA
pomaga osiągnąć
i utrzymać stan relaksu
– optymalny do nauki
języka (799 zł).

Rabat 200 zł na urządzenie przy zakupie
czterech poziomów kursów

Kursy językowe SITA
Specjalnie przygotowane
podręczniki i nagrania
gwarantują najlepsze
efekty (229 zł za
jeden poziom kursu).

	PODSTAWOWY	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY
	poziom 1	poziom 2
angielski	☐	☐
niemiecki	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Platne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca.
Urządzenie posiada 24 miesięczną gwarancję. Dla dobra
naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz
kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14 dni. Urządzenie
prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteście
Państwo przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji
prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odesłamy pieniądze. PRZEKRÓJ

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa

www.sita.pl



ROZMOWA MARIUSZ HERMA

Nowy człowiek wielozadaniowy

Ciągle robisz kilka rzeczy naraz? Pozbądź się poczucia winy. Kultura „drobnych elementów” czyni nasze umysły bardziej wydajnymi – uważa profesor **Tyler Cowen**, amerykański specjalista od nowych mediów



W jednej ręce myszka, w drugiej komórka, w tle muzyka i jeszcze telewizor ustawiony na kanał informacyjny. Czy ta wielozadaniowość nie prowadzi nas prosto do szaleństwa?

– Trudno dziś uniknąć przesytu informacyjnego, ale sytuacja nie jest taka zła. Większość z nas starannie reguluje dopływ bodźców, wyluskując wyłącznie te, które odpowiadają na nasze potrzeby i zainteresowania. Któryś z badaczy stwierdził, że regularne sprawdzanie skrzynki e-mailowej sprawdza poziom naszych zdolności poznawczych

do sprawności pijanego. Gdyby tak było, już dawno przestalibyśmy to robić! A tymczasem wielozadaniowość kwitnie, a my wraz z nią. Dlaczego? Bo wykonywane jednocześnie czynności nie odrywają nas od głównej aktywności – to one są główną aktywnością.

Pisze pan o tym w swojej nowej książce*, dziesiątej już, a więc jest pan przywiązany do dłuższych form. Nie smuci pana to, że stopniowo odchodzimy od papierowych książek?

– Książka przestaje być święta. I co z tego? Większość książek jest sta-

* Tyler Cowen „Create Your Own Economy: The Path to Prosperity in a Disordered World”, Dutton Adult 2009, s. 272, 17 dol.



nowczo za długa. Teraz widać to wyraźnie, bo główny trend kulturowy można obecnie opisać hasłem „Przejdźmy do rzeczy”. Ale w gruncie rzeczy robimy się coraz bardziej czytani. Jako ludzkość piszemy też więcej niż kiedykolwiek wcześniej, tyle że za pośrednictwem Internetu. Zamiast czytać opasłe tomiska, wolimy wylapywać informacje z większej liczby źródeł i samodzielnie sklejać je w całość.

Czy jesteście przygotowani do tej zabawy w puzzle? Moje „sklejanie” to często chaotyczne skakanie

od jednej informacji do drugiej.

Kompletna strata czasu.

– Ludzie marnują mnóstwo czasu, kończąc lekturę książki, którą powinni byli zostawić po pierwszym rozdziale. A tak serio, to w sieci jest mnóstwo źródeł, które kierują nas bezpośrednio do ciekawych miejsc. Nie musisz nawet używać Google – miliony ludzi na blogach i Twitterze udziela ci kompetentnej rekomendacji w ciągu kilkunastu minut. Prawda jest taka, że w sieci łatwiej znaleźć coś wartościowego niż gdziekolwiek indziej.

Przyzwyczailiśmy się, że wielozadaniowość zbiera cięgi od naukowców. Dlaczego pan ją pochwala?

– Mnóstwo ludzi tak funkcjonuje, a świat się rozwija, jesteśmy bardzo produktywni i kreatywni. Wielozadaniowość to nic innego jak przyjmowanie kontroli nad informacją, podczas gdy dawniej jej się podporządkowywaliśmy – czy była to książka, film, czy może radio. Sam pracuję wydajniej, odkład działam na wielu frontach naraz. W ten sposób mogę absorbować więcej informacji.

Nigdy nie marnuje pan czasu, przeklikując się bezmyślnie przez kolejne strony?

– Tylko ci się wydaje, że marnujesz czas. Może w tym czasie gromadziłeś informacje, które wykorzystasz później? Poznawałeś tło, kontekst swojej przyszłej pracy? Każda intelektualna strategia zawiera element ryzyka i nie zawsze przynosi oczekiwane efekty. Moja codzienna dawka kultury to słuchanie muzyki, czytanie książek, esejów w Internecie, artykułów na stronie „The New York Times” i sprawdzanie poczty co kilka minut. I nie zamierzam rezygnować z żadnej z tych czynności na rzecz innej. Lubię tę mieszankę.

Czy nie „rozpuszczamy się” w niej?

– Tak naprawdę to większość z nas śledzi w sieci zaledwie kilka wątków. W Internecie okazujemy się tak samo wierni miejscom i ludziom jak w realnym świecie. Nie czytamy wszystkiego, co popadnie. Jeśli chcemy długoterminowo zgłębiać jakiś temat, Internet nadaje się do tego lepiej niż biblioteka. I w ten sposób wszyscy możemy być specjalistami?

– Niektórzy oskarżają Internet o stymulowanie nadmiernej specjalizacji, a inni o to, że promuje szeroką, lecz płytką wiedzę. Tak naprawdę obserwujemy oba trendy. Dobre jest to, że sami możemy wybrać strategię, która nam odpowiada. Nowe media pomagają nam rozwijać talenty i pozwalają utrzymać kontakt ze światem nawet wówczas, gdy po uszy zaangażujemy się w jakiś specjalistyczny projekt.

Ale czy takie podejście nie odbiera nam do reszty naszej zdolności koncentracji?

– W XVIII wieku prorokowano, że czytanie nowel przyczyni się do spadku umiejętności intelektualnych człowieka. To samo mówiono o komiksie, rock and rollu, telewizji, a teraz to samo powtarza się o Internecie. To mit, że kiedyś ludzie mieli wyjątkową zdolność koncentracji, którą teraz ztratili. Pewnie w młodości uczyłeś się z książek, teraz czerpiesz wiedzę głównie z sieci i może w związku z tym masz wyrzuty sumienia. A ja ci mówię: jeśli powieści cię nudzą, przyznaj to głośno i przestań czuć się winny. To problem książek, a nie twój czy sieci. Kultura „drobnych elementów” czyni nasze umysły bardziej, a nie mniej wydajnymi.

To nie mój problem, że nie potrafię usiedzieć paru godzin z książką w ręku?

– Po prostu przyciąga cię coś ciekawszego. Nasza uwaga jest selektywna, a jej główne zadanie to wyszukiwanie cennych informacji. Jeśli pojawiają się one w wielu miejscach, do których mamy szybki dostęp, to dlaczego umysł miałby tego nie wykorzystać? Wielozadaniowość nie niszczy naszej uwagi, ale ją intensyfikuje.

Nie gubimy przy okazji piękna dłuższej formy?

– Jeśli dostrzegasz to piękno, to przecież ciągle masz je w zasięgu ręki. Internet ułatwia dostęp do książek i czyni go tańszym. Pozostali z nas znajdują piękno w krótkich formach i nie widzą w tym nic złego. Zresztą wielkie XIX-wieczne powieści też drukowano w odcinkach. To, że zbieramy drobne fragmenty informacji, nie znaczy, iż gubimy pełny obraz. Kiedy znajdziemy interesujący nas temat, śledzimy

go miesiącami, latami. Różnica jest taka, że dawniej byłeś zależny od pośredników – pisarzy, dziennikarzy, filmowców. Teraz możesz poszerzać swoją wiedzę bez przerwy. W ten sposób Internet – zaskocz cię – wydłuża naszą uwagę. Dlatego tak chętnie siadamy rano do komputera, bo jesteśmy ciekawi kolejnych odcinków historii.

Internet daje nam niemal nieograniczony dostęp do dóbr kultury. Czy ten przepych nie spłyca naszego odbioru?

– Zaczniemy od tego, że w przeszłości nasze przeżywanie kultury niekoniecznie było głębsze, za to wielu mieszkańców wsi nie mogło jej w ogóle doświadczać.

Wykonywane jednocześnie czynności nie odrywają nas od głównej aktywności – to one są główną aktywnością

TYLER COWEN

Dzisiaj muzykę Beethovena czy dzieła Szekspira zna więcej ludzi niż kiedykolwiek wcześniej. Wartościowa sztuka zawsze dawała sobie radę i myślę, że tę konkurencję również wygra.

Nie zauważyłem też, byśmy rzadziej rozmawiali o poważnych sprawach. Jeden z najpopularniejszych filmów na YouTube to nagranie umierającego na raka mężczyzny, który postanowił zostawić po sobie przesłanie. Miliony osób już wysłuchały, jak mówi o „wielkich sprawach”. Strony poświęcone religii kwitną, debaty teologiczne czy filozoficzne należą do najgorętszych w sieci.

Zamiast iść do kościoła, włączamy komputer?

– Nie powiedziałbym „zamiast”, ale „oprócz”. Nasze sieciowe odkrycia zazwyczaj łączymy z „prawdziwym” życiem. Jedno z ostatnich badań pokazało, że ci, którzy spędzają dużo czasu w sieci, są bardziej – a nie mniej! – towarzyscy. Nie jest więc Internet substytutem świata realnego, lecz jedynie ujawnia tkwiące w nas emocje, pokłady ciekawości, potrzeby społeczne.

Wydawałoby się, że nie ma nic prostszego, niż zamknąć przeglądarkę i wyłączyć komputer. Dlaczego tak trudno to zrobić? Bo Internet daje nam szybko to, czego szukamy. Ciągłe uczymy się sprawnie poruszać po sieci i unikać pułapek, ale ten proces obserwowaliśmy już w historii ludzkości. Trochę nam zajęło nauczenie się prowadzenia samochodów i przygotowanie dla nich odpowiedniej infrastruktury. Ale dzisiaj zabierają nas tam, gdzie tylko zechcemy. □

Ostatnia doba samobójcy

Zanim skończysz czytać ten tekst, na świecie osiem osób popełni samobójstwo. Co się z nimi dzieło przez ostatnie 24 godziny?

SUICYDOLOGIA MILENA RACHID CHEHAB

NA ŚWIECIE ŚREDNIO CO 40 SEKUND ktoś odbiera sobie życie. Mężczyźni pięć razy częściej niż kobiety, za to kobiety przodują w nieudanych próbach. W 2008 roku odnotowano 5237 zamachów samobójczych, z których 2964 zakończyły się zgonem. Polacy najczęściej odbierają sobie życie tuż po pięćdziesiątce. Do tych wszystkich liczb dodajmy jeszcze jedną, o której za mało się mówi: 24 godziny. Ostatnia doba przed aktem samobójstwa to kluczowy moment.

24 GODZINY PRZED, CZYLI „I DON'T LIKE MONDAYS”

Ostatnia doba najczęściej zaczyna się w niedzielę. Gdy kilka lat temu brytyjski matematyk Cliff Arnall obliczył, że mieszkanka brzydkiej pogody, niewypełnionych postanowień noworocznych i poświęcenia dołka finansowego sprawią, iż najbardziej depresyjnym dniem w roku jest trzeci poniedziałek stycznia, suicydologowie ze zrozumieniem kiwali głowami. – To się nie zmienia od lat. Po weekendzie ludzie najgorzej radzą sobie z rzeczywistością. W poniedziałek popełnianych jest o prawie jedną piątą samobójstw więcej niż w sobotę, a weekend tylko pomaga desperatom utwierdzić się w przekonaniu, że to jedyne rozwiązanie – mówi profesor Brunon Hołyst, szef Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego.

Z analizowanych przez niego statystyk wynika, że najwięcej osób targa się na własne życie między godziną 6 a 14. – Ludzie najczęściej popełniają samobójstwo w domu, uznając, że dom stwarza im najbardziej dogodne warunki. A całonocne przemyslenia jeszcze upewnijają przyszłego samobójcę o słuszności postępowania – dodaje profesor Hołyst. – Ale z drugiej strony statystyki mogą być trochę zafałszowane, bo części osób, które na przykład popełniają samobójstwa nad ranem, jako czas zgonu wpisuje się ten, w którym znaleziono ciało – dodaje.

9 GODZIN PRZED, CZYLI ZANIM SIĘ POWIESIŁ, NAPRAWIŁ SZAFKĘ

Magda, 27-latką z Lublina, która w styczniu ubiegłego roku przedawkowała leki nasenne, tak wspomina to, co działo się w jej głowie dzień przed próbą targnięcia się na swoje życie: – To nie jest tak, że ogarnia cię obsesja śmierci. Prawie każdy, komu się to nie udało, powie ci, że wcale nie chciał umrzeć. Po prostu w pewnym momencie czujesz, że nie dasz rady dalej żyć, a samodzielne pożegnanie się ze światem to jedyny sposób ucieczki od problemów. – Zdarzają się przypadki, że zamach na własne życie odbywa się pod wpływem impulsu, na przykład na wieść o śmierci kogoś bliskiego. Ale zwykle przygotowania i przemyślenia z tym związane zaczynają się kilka dni wcześniej – mówi profesor Hołyst. Bardzo szybko na przykład pojawia się decyzja o sposobie odebrania sobie życia.

Z badań wynika, że aż u 90 procent przyszłych samobójców można wcześniej zauważyć oznaki zagrożenia, cztery osoby na pięć mówią o swoich zamiarach (z drugiej strony tylko pięć procent osób groźących, że się zabije, rzeczywiście próbuje to zrobić). – Ale nie można uważać, że na ten desperacki krok zdecyduje się jedynie człowiek załamany czy przybity. W niektórych przypadkach bowiem występują objawy tak zwanej dysymulacji. Polega ona na tym, że człowiek z jednej strony czuje nie-

nawieść do siebie samego, nie znajduje wyjścia z sytuacji i ma autodestrukcyjne myśli. Z drugiej jednak chce oszczędzić bliskim negatywnych przeżyć i uważa, iż jeśli do ostatniej chwili będzie udawał, że wszystko jest w porządku, ból będzie mniejszy – tłumaczy profesor Hołyst.

Maciej, 42-letni informatyk z Warszawy, w którego bliskim otoczeniu w ostatnim czasie dwie osoby (sąsiad, przyjaciel) odebrały sobie życie, mówi, że schemat za każdym razem był podobny. – Na początku tego nie dostrzegałem, ale teraz wydaje mi się to jasne. Po kilku dniach, kiedy właściwie trudno było się dogadać z tymi osobami, przychodził „dzień rozliczeń”. Gdy Andrzej, przyjaciel od miesiąca zmagający się z utratą pracy i problemami finansowymi, oddał mi pieniądze, na które już nawet nie liczyłem, nie spodziewałem się, że to nasze ostatnie spotkanie. Nic nie podejrzewałem również wtedy, gdy do mojej mamy przyszedł sąsiad, który dwa lata wcześniej w jakiejś luźnej rozmowie obiecał jej naprawę szafki kuchennej. Mama była zdziwiona nie tylko samą propozycją, ale i zaangażowaniem, z jakim zabrał się do roboty. Dziewięć godzin przed śmiercią! Gdy potem skojarzyłem oba fakty, psycholog powiedział mi, że to jeden z bardziej typowych objawów – wspomina Maciej.

Potwierdza to profesor Hołyst: – Ta drobna zgroźność w załatwianiu zaległych spraw jest czasem wręcz zatrważająca. Pedanteria daje o sobie znać nawet w momencie kompletnego załamania emocjonalnego. Widać to szczególnie w listach pożegnalnych, w których człowiek w jednym zdaniu żegna się z żoną i dziećmi, a w drugim pisze: „Oddaj 20 złotych Kazikowi” – opowiada suicydolog, który w swej pracy naukowej analizował treść i formę 130 takich listów.



ILUSTRACJA BARTOSZ KOSOWSKI

Część pisana jest wcześniej, część w ostatnich chwilach życia, na przykład już po zażyciu trucizny, o czym świadczą rozmazane, niedokończone czy nieczytelne ostatnie zdania. Ich cechą wspólną jest chęć wyjaśnienia motywu, nawet jeśli wygląda on nieprzekonująco. 17-letnia Agnieszka w szkole radziła sobie dobrze, ale trudności ze zrozumieniem chemii powodowały, że bała się zostać na drugi rok w tej samej klasie. W liście pożegnalnym do rodziców pisała: „Przepraszam, ale to wszystko było dla mnie ponad moje siły. Tutaj już nie ma dla mnie miejsca. Odchodząc, nie będę wam już więcej przynosić wstydu”.

W listach samobójcy często zwracają się do najbliższej rodziny, jak Barbara, nauczycielka WF, do mieszkającej z nią siostry i szwagra: „Podziękujcie swojej pierworodnej, zrobiła wszystko, żeby się właśnie teraz zdecydowała na ten czyn (...). To ponad moje siły żyć w tym mieszkaniu, w którym chciała się mnie pozbyć i dopięła swego celu (...). Przykro mi, wybaczenie, ale ja naprawdę mam dosyć wszystkiego, to jest prawda, jaka smutna prawda, ale ja nie mogę inaczej. Chcę zasnąć, wtedy skończą się moje kłopoty, koszmar, który mnie powoli zabijał, aż wreszcie położył kres tej koszmarniej egzystencji. Wybaczenie, nie mogę inaczej, dla mnie nie ma już ratunku, dziękuję za wszystko, ale dziś zabrakło mi już sił”.

2 GODZINY PRZED, CZYLI LIST POŻEGNALNY JAK DO TELEWIZJI

Co ciekawe, niektórzy samobójcy, nawet jeśli mają rodziny, piszą listy, które wyglądają trochę jak skierowane do telewizyjnego programu interwencyjnego. Na kilku stronach

nie tylko opisują swoje problemy rodzinne, finansowe, zawodowe, ale też analizują całe swoje życie, którego konsekwencją był tak desperacki krok. 68-letnia Franciszka chwilę przed odejściem napisała: „Jestem inwalidką II grupy po ciężkiej operacji ortopedycznej biodra. (...) Syn dokucza mi i dąży do wyrzucenia mnie z mieszkania. Nie mam zaufania do niego. Jest dla mnie gorszy niż obcy człowiek. Lubię spokój i chcę żyć sama w domu. Ale to jest niemożliwe, bo gdzie syn się wyprowadzi. Nie żałuję, że to robię, bo syn miałby mieszkanie. Skończy się moja udręka i będę miała święty spokój”.

27-letni Tadeusz pisze o tym, jak chciał zostać kucharzem, jak był w wojsku, potem pracował w szpitalu, poznał dziewczynę, a ostatnio skonfliktował się z szefową. Wszystko to wygląda właściwie jak CV, gdyby nie ostatni akapit: „Kiedy wróciłem do domu, wykorzystałem moment, że nie ma nikogo. Odkręciłem gaz. Czy o czymś myślę? O tym, że moje życie nie ma sensu i że nie jestem zdolny do życia, do podjęcia jakiegokolwiek pracy. Nie powinno się ratować samobójców. To, że nie chcę żyć, jest wyłącznie ich sprawą”.

60 MINUT PRZED, CZYLI CO IM SIEDZI W GŁOWACH

Dla bliskich znajdujących samobójców powody przez nich wskazywane nie są już tak jasne. – Tłumaczenia „co to za problem”, „przecież można było...” to chyba najczęstsza próba radzenia sobie z tą traumą. Bo patrząc z zewnątrz, właściwie każdego targnięcia się na własne życie można by uniknąć – twierdzi profesor Hołyst. Co więc sprawia, że w ponad pięciu tysiącach przypadków rocznie tak się nie dzieje?

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin życia samobójcy pojawia się u niego mechanizm nazywany zwężeniem świadomości, który stopniowo się nasila. Psychiatrzy porównują ten stan do patrzenia na świat jakby przez dziurkę od klucza. Przyszły samobójca skoncentrowany jest na odebraniu sobie życia: godzinę przed samobójstwem w ogóle nie myśli o skutkach swoich działań, o cierpiącej rodzinie, o tym, że ulgi, której pragnie, trudno będzie mu doświadczyć, a przy samobójstwach instrumentalnych (czyli takich, które mają służyć wymuszeniu czegoś, zemście lub zwróceniu na siebie uwagi) – że napawanie się efektem nie będzie mu dane.

Sklonności samobójcze tłumaczą także neurokryminolodzy. Odkryli na przykład, że u samobójców obniżony jest poziom cholesterolu, który prawdopodobnie powoduje słabsze wiązania serotoniny (hormonu szczęścia) do jej receptorów, a także – że w chwili targnięcia się na życie często mają oni liczne zaburzenia hormonalne. – Świadczy o tym chociażby to, że zamachy samobójcze częściej popełniają kobiety w okresie miesiączkowym niż w innych fazach cyklu – mówi profesor Hołyst.

NIE ZOSTAŁO JUŻ NIC, CZYLI OSTATNIE WOŁANIE O POMOC

Wbrew temu, co pisał w swym liście pożegnalnym wspomniany już Tadeusz (ten, który chciał być kucharzem i miał konflikt w pracy), z badań wynika, że większość samobójców, nawet jeśli bardzo chce umrzeć, jednocześnie myśli o możliwości ratunku. Jeden z psychologów porównał to do sytuacji jednoczesnego podcinania sobie gardła i krzyczenia: „Na pomoc!”, gdy żadne z tych działań nie jest udawane. Z badań wynika, że 60–80 procent niedoszłych samobójców negatywnie ocenia swoją próbę (10–15 procent ginie w końcu śmiercią samobójczą).

Edwin Shneidman, zmarły niedawno jeden z najwybitniejszych suicydologów, podając 10 cech samobójstwa, jako „uniwersalny stan umysłu samobójcy” wymienia ambiwalencję. Człowiek, który tej tematyce poświęcił 60 lat pracy, przekonywał: – Nigdy nie spotkałem kogoś, kto w stu procentach chciał się zabić i nie myślał o możliwości ratunku.

Współpraca Urszula Dąbrowska

Najpopularniejsze sposoby popełnienia samobójstwa

(w nawiasie liczba mężczyzn wybierających dany sposób)

- powieszenie się **3801** (3522)
- rzucenie się z wysokości **361** (229)
- zażycie środków nasennych **190** (69)
- podcięcie żył **160** (110)
- utopienie się **91** (43)
- rzucenie się pod pojazd **82** (63)
- zastrzelenie się **41** (40)
- zażycie trucizny **28** (16)
- otrucie się gazem **24** (15)
- inny sposób **275** (160)

ŹRÓDŁO: KOMENDA GŁÓWNA POLICJI, DANE ZA ROK 2008

KORZYSTAJ

JAZDA
MIEJSKA
W
NOWEJ
FORMIE

W DROGĘ!

Dwa dziwne koła

TAK, PAMIĘTAMY O PRZYPADKU SEGWAYA. DOSKONAŁE skądinąd urządzenie zostało niszową ciekawostką ze względu na cenę i rozmiary. Nie będziemy więc ogłaszać kolejnej rewolucji w komunikacji. Zamiast tego zapowiadamy nowy, ciekawy pomysł, który może przemienić się w trend.

Chodzi o mały, przenośny skuter elektryczny wynaleziony przez Nowozelandczyka Granta Ryana. Urządzenie nazywa się YikeBike, waży 10 kilogramów i rozwija prędkość 20 kilometrów na godzinę. W ten sposób można bez ładowania bezpiecznie przejechać 8–10 kilometrów. Bezpiecznie, bo konstrukcja maszyny sprawia, że YikeBike jest (wbrew pozorom) równie stabilny jak rower. Sprzedaż ma rozpocząć się w tym roku, cena będzie wynosiła około 3500 euro. Sporo, ale to dopiero początek. Czekamy niecierpliwie na promocje. □

➤ Przy takiej konstrukcji bezpieczeństwo ma szczególnie znaczenie. Maszyna ma ABS, który skraca drogę hamowania i zapobiega przelecnieniu kierowcy do przodu. Brak przedniej kierownicy sprawia, że przy gwałtownym hamowaniu zeskakujemy z siedelka

W tym tygodniu:
IDZIEMY ŚLADEM TYGODNIKA „TIME”,
KTÓRY OGŁOSIŁ YIKEBIKE
JEDNYM Z 50 NAJLEPSZYCH
WYNALEZKÓW 2009 ROKU

Powrót
DO
HISTORII

CIĘKAWY
GADŻET

SKOJARZENIE z XIX-wiecznym bikiem jest jak najbardziej prawidłowe – konstruktor przyznaje, że stara maszyna o kołach różnej wielkości była główną inspiracją przy projektowaniu YikeBike'a

➤ Złożenie YikeBike'a do postaci przenośnej zajmuje 15–20 sekund. Spakowane urządzenie można bez problemu zabrać do autobusu czy postawić w pracy koło biurka

➤ Wynalazca zapewnia, że przyzwyczajenie się do dziwnego położenia kierownicy to kwestia kilkunastu minut jazdy. No cóż – wierzymy

TEŻ
PYTANIE!

Zadaj pytanie,
odpowiemy na nie.
Jeśli coś cię
nurtuje, a nie wiesz,
kogo zapytać,
pisz na adres
nauka@przekroj.pl.
Za najciekawsze
pytania przyznajemy
nagrody. A porad
sercowych raczej nie
udzielamy

REKLAMA

1. DLACZEGO NIE WOLNO JEŚĆ CZUBKA BANANA?

Ależ wolno. Odcinanie czubka zdrowego banana przed zjedzeniem to dmuchanie na zimne. Banan jest jednym z pierwszych owoców podawanych niemowlakom i pewnie dlatego przywiązuje się do tej kwestii tak dużą wagę. To prawda, że właśnie jego czubek jest najbardziej narażony na uszkodzenia, gnicie i rozwój pleśni. Nadpsuty jest istotnie niebezpieczny dla człowieka, zwłaszcza dziecka. Może zawierać między innymi aflatoksyny – rakotwórcze związki wydzielane przez grzyby. Nie jest jednak, jak wielu sądzi, siedliskiem pierwotniaków czy innych pasożytów. Ta plotka pojawiła się na początku lat 90. i do dziś przetrwała przekazywana kolejnym pokoleniom przewrażliwionych matek.

3. JAKIE JEST PRZECIWIENSTWO ZERA ABSOLUTNEGO?

Temperatura mówi nam o tym, jak wiele energii zgromadziła dana materia. Im więcej energii, tym bardziej ruchliwe są tworzące ją atomy. W świecie, który znamy, te małe cegiełki budujące wszystko są w bezustannym ruchu. Nawet w ciałach stałych, kryształach czy zmrożonym lodzie cały czas szaleją i obijają się o siebie.

2. DLACZEGO MYDLANE OPERY TAK SIĘ NAZYWAJĄ?

Termin „opery mydlane” został użyty w prasie amerykańskiej już w latach 30. XX wieku. Pierwotnie odnosił się do cyklicznych audycji w radiu. Były to wielowarstwowe, ale proste historie przeznaczone dla niepracujących pań domu. Sponsorowały je zwykłe firmy produkujące kosmetyki i środki czyszczące, których reklamy towarzyszyły poszczególnym odcinkom. Niekiedy produkty te były wpłatanie nawet do fabuły. Stąd mydlany człon nazwy (angielskie soap). Słowo „opera” – typowe dla utworu kultury wyższej – użyte do określenia serialu miało nadać całej nazwie ironiczny i dyskredytujący charakter. Dziś nazwa „opera mydlana” pełni tę samą funkcję co 80 lat temu i kpi z seriali telewizyjnych, co fanom tego gatunku zdaje się nie przeszkadzać.

Nasze nagrody – książki
J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)”
– wydawnictwo Smak Słowa;
A. Gawande „Komplikacje”
– wydawnictwo Znak

bie. Zero absolutne (-273,15 stopnia Celsjusza) odpowiada takiej sytuacji, gdy materia jest pozbawiona jakiegokolwiek energii, a wszystkie atomy zastygają nieruchomo. Przeciwnością tego jest maksymalne możliwe zgromadzenie energii, czyli inaczej mówiąc, maksymalne ogrzanie danego ciała. Osiągnie ono wtedy temperaturę Plancka równą $1,4 \times 10^{32}$ stopni, mierząc w skali Kelvina. Ciepłej już być nie może.

Czemu? Bo powyżej takiej temperatury cała materia zmienia się w energię, a części atomów mogą się zmienić w czarne dziury. Brzmi przerażająco, ale nie bardzo nam zagraża. Temperatura powierzchni Słońca to niecałe 6 tysięcy kelwinów, a najwyższa uzyskana przez człowieka temperatura to 2 miliardy kelwinów (2×10^9). To już niewyobrażalnie dużo, ale wciąż bardzo daleko od temperatury Plancka.

KAŻDE PIWO
WARZY SIĘ NA WARKI.
W piwowarstwie warka to porcja
piwa uzyskanego z jednego warzenia.

WARKA

Więcej na: www.piwowarska-miara.pl

MIARA PRAWDZIWEGO PIWA.

W tym tygodniu:
PISZEMY WSZYSTKO, CO WIEMY O ELLY,
ZASTANAWIAMY SIĘ, CZY WARTO SŁUCHAĆ
STAREGO PITERBRUKA, I UDOWADNIAMY,
ŻE NA GITARZE GRAĆ KAŻDY MOŻE

SUPERBOHATER MAŁGORZATA SADOWSKA

SHERLOCK HOLMES JAK DOKTOR HOUSE

Robert Downey Jr.
jako legendarny
detektyw
Sherlock Holmes.
Bohater Conan
Doyle'a też lubił
boks, nie był jednak
aż tak waleczny

ZROBIŁ FILM
O HOLMESIE,
KTÓRY NIE JEST
HOLMESEM.
OTO PRAWDZIWY
PRZEKRĘT GUYA
RITCHIEGO



Choć nosi słynne nazwisko, bohater szturmem biorącego światowe boxoffice'y filmu Guya Ritchiego ma niewiele wspólnego z detektywem z Baker Street. Kim naprawdę jest bohater „Sherlocka Holmesa”? I czym, jeśli nie ekranizacją, jest najnowsza produkcja twórcy „Przekrętu”? Spróbujemy do tego dojść – rzecz jasna, drogą dedukcji.

To nie jest film dla starych ludzi

Znajomość literatury – żadna. Znajomość filozofii – żadna. Znajomość astronomii – żadna. Mózgowiec Sherlock Holmes bardzo się zdziwił na wieść, że Ziemia obraca się wokół Słońca („Rozsądny człowiek nad wyraz skrupulatnie wybiera to, co wnosi na swoje poddasze, czyli do mózgu” – tłumaczył Watsonowi). Za to doskonale poznał tajniki chemii, anatomii, literatury kryminalnej i brytyjskiego prawa. Dobry w boksie i szermierce, w razie konieczności potrafił zręcznie użyć kija. Tyle na ulicy. W salonie imponował grą na skrzypcach.

Ponad sześć stóp wzrostu (niemal dwa metry!), cienki, długi nos, kwadratowy podbródek, chudość, która jeszcze wydłużała sylwetkę – tak opisuje swojego bohatera Arthur Conan Doyle. Do tego dorzućmy kaszkiet, pelerynę w kratę, szkło powiększające i kłęby tytoniowego dymu, a wyłoni się z nich najsłynniejszy detektyw wszech czasów.

Jak dotąd kino niemal niewolniczo trzymało się tego wizerunku. Przeszło 200 filmów fabularnych i telewizyjnych zrealizowanych na podstawie książek Conan Doyle'a ostatecznie przekonało nas, że słynny detektyw był mocno dojrzałym, powściągliwym w gestach i emocjach dżentelmenem, który stosując niekonwencjonalne metody, rozwiązywał nawet najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne. Często grywali go aktorzy grubo po pięćdziesiątce – doświadczenie jednoznacznie kojarzone z wiekiem.

Guy Ritchie nie ma szacunku dla siwych włosów. Ba!, na początku nie był przekonany, czy jego Sherlocka powinien grać 44-letni Robert Downey Jr., zdaniem reżysera za dojrzały na detektywa, który ma uwieść kinową →

→ publiczność na początku XXI wieku. Najwyraźniej Ritchie uznał, że współczesne kino rozrywkowe to nie jest świat dla starych ludzi. Ani dla starych przyzwyczajęń – można by dodać, bo wielbiciele staroświeckiego uroku opowieści Conan Doyle'a nie mają czego szukać w kinach. Nie uświadczą bowiem ani kraciastej peleryny, ani kaszkietu, ani ciągle pykającej fajki. Zamiast tego dostajemy dandysa, którego kostiumy przypominają raczej projekty Vivienne Westwood niż prawdziwe stroje z epoki. On po prostu wygląda modnie, ale w sensie jak najbardziej współczesnym.

się z zaczerpniętymi z kart opowiadań. Pożyczone od pisarza elementy służą jednak do stworzenia zupełnie nowej układanki, w której jest miejsce i na szalone pościgi z wybuchami, i na ekwilibrystyczne pojedynki na zawieszonych wysoko nad wodą przesłach mostu Tower, i na drwinę z okultyzmu (jako członek niejednego spirytystycznego stowarzyszenia Conan Doyle by do tego nie dopuścił), i na uczynienie z Watsona kumpla, i nawet – o zgrozo! – na love story. A przecież niewiele jest w literaturze równie asekualnych i niepodatnych na romanse bohaterów jak Sherlock Holmes.



2010 „Holmes był (...) maszyną o perfekcyjnie sprawnej funkcji obserwacji i wyciągania logicznych wniosków. Jednak jako kochanek zupełnie się nie sprawdził” – uważał doktor Watson

Zniknęła więc gdzieś elegancja wiktoriańskiego bohatera, nie mówiąc o powściągliwości. Zamiast detektywa, który godzinami przemierza pokój w tę i z powrotem, szukając rozwiązania kolejnej zagadki, Ritchie pokazuje nam faceta, który pędząc z rozwianym włosom ulicami Londynu, wplątuje się w widowiskowe afery, w których główną rolę odgrywają nie tyle jego dedukcyjne umiejętności, ile spryt oraz tężyzna fizyczna.

Wiadomo było nie od dziś, że Holmes – podobnie jak jego stwórca – ma za sobą bokserką przeszłość. Ale umieścić go rozebranego do pasa w brutalnej scenie walki na pięści to już pomysł z piekła rodem (no i z pamiętnego filmu „Fight Club”), a nie sympatycznej detektywistycznej serii. Ta ostatnia zresztą potraktowana została jako doskonała kopalnia scenariuszowych pomysłów, a nie jako wzorzec z Sévres. „Sherlock Holmes” to nie jest ekranizacja. Opowiadana tu historia nigdy nie wyszła spod pióra Arthura Conan Doyle'a, choć sporo w niej wątków zaczerpniętych z literatury (tak, zdjęcie Irene Adler było w posiadaniu Sherlocka; tak, detektyw trafił onegdaj do pewnego lombardu, odnajdując jego miniaturową sygnaturę w zegarku; tak, profesor Moriarty miał słabość do oryginalnie zaprojektowanej broni itd.). Wymyśleni od nowa bohaterowie (tacy jak główny antagonistą detektywa lord Blackwood) mieszają

Owszem, detektyw podziwiał Irene Adler, jedyną kobietę, która go oszukała, lecz nie tylko nigdy z nią nie spał, ale nawet nie miał przelotnego romansu. W końcu mawiał: „Kobietom nigdy nie można całkowicie ufać, nawet tym najlepszym”.

Pary na wieki

Czy Sherlock Holmes, który nie zachowuje się jak Sherlock Holmes, wciąż jest Sherlockiem Holmesem? Oto jest pytanie dla miłośników detektywa, którego niewątpliwie nie zada sobie większość kinowej widowni urzeczona (i nic dziwnego) rozmachem filmu oraz aktorskimi popisami Juda Lawa (Watson) i Roberta Downeya Jr. Ten ostatni wydobyl ze swojej postaci humor, ekscentryczność i nonszalanę połączoną jednak z niezwykłą bystrością umysłu. Słyszeliście już gdzieś o takim geniuszu oryginalnym? No właśnie, Sherlock Holmes to doktor House. I odwrotnie. Jeśli prześledzi się prozę Conan Doyle'a, można zauważyć, jak wiele najsłynniejszy obecnie serialowy bohater zawdzięcza detektywowi z Baker Street. I nie chodzi tu tylko o numer domu (221 B). Pomijając również ewidentną zbieżność nazwisk (Holmes – House), lekarz z amerykańskiego serialu odziedziczył po brytyjskim przodku talent do rozszyfrowywania najbardziej skomplikowanych zagadek drogą dedukcji („Im bardziej ekscentryczny czy



1967 Basil Rathbone wcielił się w Holmesa aż 14 razy



1989 Nawet Michael Caine przywdział słynny kaszkiet



1968 Nigel Stock (Watson) i Peter Cushing (Holmes)



1984 Jeremy Brett latami grał Sherlocka w serialach

absurdalny jest jakiś incydent, tym bardziej należy mu się przyjrzeć, a jakiś szczegół, który wydaje się komplikować sprawę, po właściwej logicznej i naukowej analizie staje się tym, który rzuca na nią światło” – mówił Sherlock, a Gregory niewątpliwie podpisałby się pod tym twierdzeniem. Obaj muzykują (Brytyjczyk na skrzypcach, Amerykanin na gitarze) i lubują się w niekonwencjonalnych metodach (Holmes niegdyś bił kijem zwłoki, by przekonać się, czy po śmierci powstają siniaki).

House też jest outsiderem i samotnikiem. Też ma swoje słabości (jest uzależniony od leków, Holmes – od kokainy), też unika uczuciowych relacji, też ma tylko jednego przyjaciela (Watson – Wilson), który pozostaje w jego cieniu. I oni, jak para z Baker Street, też mieszkają razem. I House'a, i Holmesa irytuje perspektywa ożenku ich towarzyszy.

Wiktoriański sznyt

I oto mamy ciekawy paradoks: House to Holmes XXI wieku, Holmes Ritchiego to z kolei doktor House przeniesiony w epokę wiktoriańską.

A to jeszcze nie koniec odstępstw/przetworzeń/przekłamań/zdrad*, których dopuścił się w swojej brytyjsko-amerykańskiej produkcji Guy Ritchie. Bo nie da się ukryć – brytyjska jest w niej jedynie sceneria i literacki pierwowzór. Cała reszta to Ameryka z jej realizacyjnym rozmachem, muzyką Hansa Zimmera, szalonym tempem i gwałtownym montażem oraz popkulturowym dziedzictwem. W „Sherlocku Holmesie” niejeden kinomani detektywa doszuka się skojarzeń z „Piratami z Karaibów”, „Mrocznym rycerzem”, „Ligą niezwykłych dzentelmenów”, „V jak Vendetta” czy wspomnianym już „Fight Clubem”.

Ale film Ritchiego to przede wszystkim steam-punk (steam – para, punk – wiadomo), dokonały przykład estetyki, która łączy popkulturowe pomysły, współczesne idee czy technologiczne rozwiązania lokować w XIX wieku, co pozwala przydać nowoczesnym w gruncie rzeczy wizjom romantycznego, wiktoriańskiego sznytu. W centrum „Sherlocka Holmesa” mamy w końcu maszynę, którą zdalnie uruchamia coś w stylu ówczesnego pilota, co pobudza wyobraźnię Sherlocka („Urządzenie sterowane przez fale radiowe! Watsonie, przecież to przyszłość!” – takie dowcipne kwestie kieruje się w końcu do siedzących na kinowej sali posiadaczy mp3, a nie fanów faceta w kraciastym płaszczu). Maszyna owa ma służyć lordowi Blackwoodowi do masowej zbrodni i staje się przedmiotem porządania profesora Moriarty'ego, przyczyniając się do licznych zabójstw.

Cóż, „zbrodnia jest rzeczą powszechną, logika rzadką” – mawiał Sherlock Holmes. Jak widać, twórcy filmu wzięli sobie do serca jego słowa. Stawiając na to pierwsze.

Korzystałam z książek Arthura Conan Doyle'a: „Przypadki Sherlocka Holmesa” (tłum. Beata Misiek), „Studium w szkarłacie”, „Znak czterech”, „Pies Baskerville'ów” (tłum. Anna Krochmal, Robert Kędziński).

„Sherlock Holmes”, reż. Guy Ritchie, Wielka Brytania/USA 2009, Warner Bros, 128', premiera 15 stycznia

FOT. WARNER (2), FORUM (5)



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

O tym, że popkultura znów wymierzona jest w Rosjan

NIGDY NIE BYŁEM NA LOTNISKU Szeremietiewo*.

A tu jeszcze w takiej roli – jako agent CIA, z karabinem maszynowym w rękach. Z oddziałem rosyjskich nacjonalistów jako współnikami i tłumem cywilnych pasażerów, do którego mamy otworzyć ogień. To najbardziej kontrowersyjny fragment scenariusza gry wideo od lat, który – jak twierdzą autorzy – ma nam tylko uświadomić, z jakimi ludźmi w pozostałych misjach będziemy walczyć. Bo ci nacjonaliści kierowani przez niejakiego Władimira Makarowa to główni przeciwnik.

Na to ciekawe doświadczenie psychologiczne gracze reagują na kilka sposobów:

a. strzelają dalej bez refleksji, bo w końcu „to tylko gra”;
b. omijają misję w oburzeniu (da się), bo to gra popularna, a cała sprawa znów przyniesie graczom opinie morderców;
c. przechodzą, oddając parę strzałów do policjantów i nie otwierając ognia do cywili (da się), bo sumienie ich gryzie;
d. przechodzą bez przyjemności, oddając kilka serii w powietrze i dobijając tylko zranionych cywili, bo... sumienie ich gryzie.

Chcąc przejść „Call Of Duty: Modern Warfare 2” w mia-

re po katolicku, trzymałem się punktu d. Zresztą samą grę zamówiłem u Świętego Mikołaja, mając nadzieję, że będzie dzięki temu chociaż trochę świętsza. Co więcej, Świętym Mikołajem była żona, a jak wiadomo, raz podarowane prezenty są dodatkowo poświęcone tradycją, więc wręczając może najwyżej pokręcić głową, gdy zobaczy stopień realizmu, z jakim rzecz jest zrealizowana. Ale wycofać podarunku już nie.

Scenariusz „Call Of Duty: Modern Warfare 2” nie jest już tak skomplikowany jak powyższe tłumaczenie ani też tak długi jak sam tytuł gry (to, jak wydłużyły się tytuły gier od czasów „Ponga”, to skandal zupełnie innej kategorii), ale przynajmniej mogą uspokoić graczy pod jednym względem. Wieści o tym, że oto ktoś do reszty zepsuł ich ulubioną branżę, są mocno przesadzone. Misja na lotnisku nie jest tak szokująca, jak ostrzegano. Zresztą na pudełku stoi „Od lat 18”, średnia wieku graczy wideo w Ameryce to 35 lat (dane Entertainment Software

W tej grze nazwanym **lotniskiem imienia Zachajewa** dla spójności fabuły

Association z 2008 roku), a i u nas poszła mocno w górę. Jeśli ktoś ma się poczuć niedobrze, nie trzeba mu masakra na lotnisku, wystarczy utrzymać w obłędnym tempie wycieczka z karabinem po faweli w Rio de Janeiro albo obrona atakowanego przez Rosjan Waszyngtonu.

Tak, tak. Złe wiadomości mam tylko dla Rosjan. Passé są trójgłowi Marsjanie, galaretki bez nóżek z galaktyki Oriona i brodacze od ben Ladena. Jako czarne charaktery w wielkim stylu wracają Rosjanie. Dzielnicy Amerykanie bronią tu płonącego Kapitolu przed najeźdźcą ze Wschodu, pod nosem mrucząc coś o odwecie i – cytując – „spaleniu Moskwy”. Dzieje się to zaś w samym centrum kultury popularnej. Bo ten przydługi tytuł to najszybciej sprzedająca się gra wszech czasów, która w ciągu pierwszych pięciu dni zarobiła na świecie ponad 550 milionów dolarów. Dla porównania: „Avatar” przez pierwsze trzy dni zarobił 230 milionów. To, że gra dotarła do Rosji, gdzie dziesiątki tysięcy młodych ludzi w wieku poborowym wcielają się w Amerykanów broniących ojczyzny przed Rosjanami – to jest dopiero masakra.

FOT. BOGDAN KRZEL

POTOK



ARLES 1838



++++ MAŁGORZATA SADOWSKA

Sekrety i kłamstwa Irański „Co wiesz o Elly?” wciaga bardziej niż niejeden thriller i chwyta za gardło mocniej niż większość dramatów

Trudno jest przelknąć gorzką pigułkę, jaką jest film Farhadiego, wiedząc, co dziś dzieje się w Teheranie. Twórca „Co wiesz o Elly?” nie ma co do irańskich elit złudzeń. Ich otwartość, nowoczesność i obyczajowy liberalizm okazują się tylko fasadą – i to niezwykle cienką – spod której przebijają solidne mury starych nawyków i patriarchalnej kultury.

Asghar Farhadi nakręcił film ocierający się o arcydzielo, sięgając po prościutki, sprawdzony w kinie motyw tajemniczego zniknięcia (by wspomnieć tylko „Przygodę” Mi-

chelangel Antonioniego, „Frantic” Romana Polańskiego czy „Pod piaskiem” François Ozona). Oto grupa przyjaciół wynajmuje na weekend willę nad morzem. Jest z nimi nieznajoma, nauczycielka Elly. Nic nie psuje luźnego, wesołego nastroju, aż do momentu gdy Elly znikła. Zatonęła, ratując dziecko? Wyjechała bez słowa? Dlaczego zostawiła rzeczy? Kogo zawiadomić o jej zniknięciu? Zamiast odpowiedzi mnożą się jednak kolejne pytania, a zamiast zbliżyć się do prawdy, bohaterowie grzęzną w kolejnych kłamstwach. Nieznośne napięcie prowokuje konflikty: opada

„Co wiesz o Elly?”,
reż. Asghar Farhadi,
Iran 2009,
MaĖana, 119',
premiera
22 stycznia

Bohaterowie „Co wiesz o Elly?”
na chwilę przed katastrofą

maska luzu, a spod niej wygląda prawdziwa twarz „nowoczesnego” Iranu z całym patriarchalnym bagażem: uprzywilejowaniem mężczyzn, przemocą, a przede wszystkim pojęciem „honoru”, który znaczy więcej niż ludzkie życie.

Zresztą już od początku reżyser wysłał sygnały: wesoła krzątająca się w willi może się wydać nie taka wesoła, jeśli dostrzeżemy, że kobiety wciąż zajęte są porządkami czy przygotowaniem kolacji. Gdy następnego ranka mężczyźni grają w siatkówkę, ich żony doglądają dzieci i robią zakupy. Z każdą kolejną warstwą opowieści powoli odsłanianą przez Farhadiego pozbywamy się złudzeń i nabieramy dystansu. Torebki od Louisa Vuittona czy T-shirty z logo Hard Rock Café na pierwszy rzut oka symbolizują status i prozachodnią orientację bohaterów, okazują się jednak rekwizytami w teatrze pozorów.

Farhadi sprawia, że gdy wkraczamy w świat tej opowieści, czujemy się jak wśród dobrych znajomych. U jej końca czeka nas jednak dojmujące wrażenie obcości.

„Co wiesz o Elly?” ogląda się doskonale jako wciągający thriller, psychologiczny dramat, ale też jako wspomniany już komentarz do rzeczywistości współczesnego Iranu. Ogromną siłą filmu jest niesamowita Golshifteh Farahani w roli Sepideh, obarczona odpowiedzialnością za wydarzenia w domu nad morzem. Długo nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy siedzi sama przy stole, na gruzach własnego i cudzego życia.



„Nine - Dziewięć”, reż. Rob Marshall, USA/
Włochy 2009, Kino Świat, 110', premiera 22 stycznia

Falszywka

„Osiem i pół”
od „Nine - Dziewięć”
różni nie tylko pół

NIEWIARYGODNE, JAK ŁATWO przyszło twórcom „Nine - Dziewięć” to filmowe oszustwo. Jako autorów scenariusza filmu podaje się Anthony’ego Minghellę i Michaela Tolkinę, oficjalnie jest to filmowa adaptacja Broadwayowskiego musicalu pod tym samym tytułem z 1982 roku.

ku. W kampanii promocyjnej zgrabnie unikano natomiast informacji, że ten był z kolei luźną adaptacją „Osiem i pół” (1963) Federica Felliniego. I w sumie nic w tym dziwnego. „Nine - Dziewięć” to przecież zwykła kradzież. Żywcem ściągnięta z „Osiem i pół” jest tu zarówno fabularna historia przechodzącego kryzys reżysera Guido (w tej roli zadziwiająco przeciętny, zwłaszcza gdy śpiewa, Daniel Day-Lewis), jak i kolejność scen. Senne wizje,

kostiumy i scenografia. Jedyne nowością są przerywające akcję, zupełnie niezapadające w pamięć popisy wokalistki-nieczne gwiazd (od Penélope Cruz po Judi Dench). Nie mam pojęcia, jaki cel przyświecał temu przedsięwzięciu. Falszywki drogie dzieła sztuki robi się po to, by mieć je w domu. Ale po co robić marną kopię dzieła filmowego, skoro każdy może pozwolić sobie na to, by do domowej kolekcji DVD dołączyć oryginał?

-kp

Eric Rohmer (1920-2010)

Jego specjalnością były kilometrowe dialogi i misterne fabuły. Francuski reżyser kręcił filmy tak, jakby pisał powieści

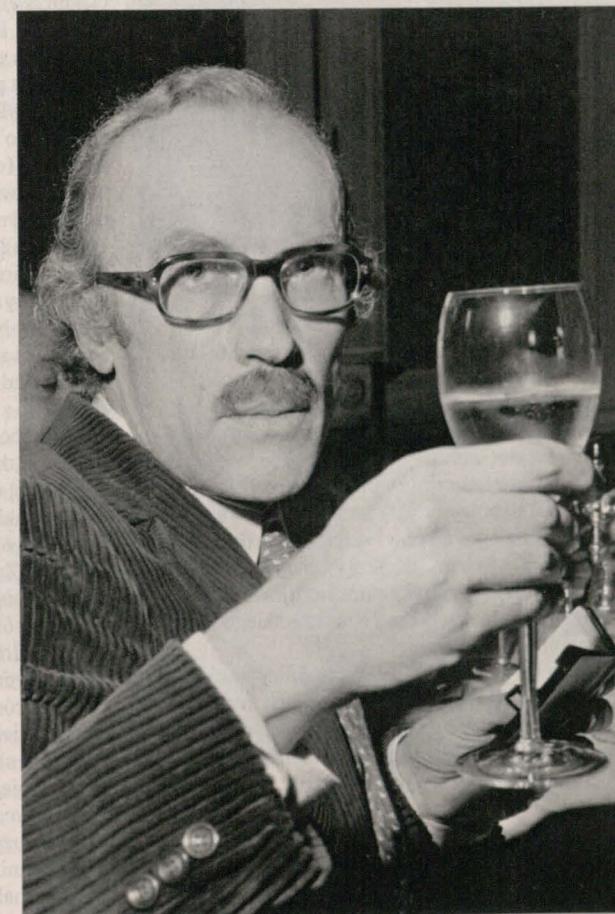
MICHAŁ OLESZCZYK

Najtrudniej żegnać się z tymi, których obecności nigdy się nie kwestionowało. Eric Rohmer? Przecież był i będzie zawsze! Kilka dni temu złudzenie dobiegło końca. Odszedł jeden z czołowych francuskich nowofalowców – paradoksalny, bo niechętny eksperymentom. Wypracowawszy własną poetykę na przełomie lat 50. i 60., trzymał się jej odtąd tak mocno, że gdyby pomieszać daty w jego filmografii, nie byłoby łatwo powiedzieć: co powstało wcześniej, a co później.

Jego kamera nigdy nie jest wścibska: dominują plany średnie, a obrazy pełnią funkcję służebną wobec ludzi na ekranie. Idzie o to, byśmy mogli przyrzeć się nie tylko im samym (jak chodzą? w co się ubierają?), lecz także ich otoczeniu: miejskiej ulicy, prowincjonalnej winnicy czy plaży, na której spędzają wakacje.

Jako redaktor i krytyk legendarnego „Cahiers du Cinéma” wierzył oczywiście w kamerę jako pióro – był jednym z fundatorów kinowej religii wynoszącej celuloid na ołtarze zarezerwowane dotąd tylko dla literatury. W jakimś sensie był zresztą literatem właśnie: jego kino wspiera się tak mocno na kilometrowych dialogach i misternych fabułach (obfitujących w qui pro quo, przebieganki, zbiegi okoliczności), że można je sobie wyobrazić jako zbiór opowiadań pod tytułem „Komedia moralne”.

W istocie, sam Rohmer układał swe filmy w cykle: były „Opowieści moralne” (6 tytułów), „Komedia i przysłowia” (znów 6) i „Opowieści czterech pór roku”. Był mistrzem wyważenia i powściągliwości, ekscyces nie interesował go wcale; był zbyt oczywisty, nagi i naturalistyczny. Jego bohaterowie



„Film może być zarazem intelektualny i zmysłowy” – nie tylko przekonywał, ale i udawał Eric Rohmer

bywają wykształceni („Opowieść wiosenna”) bądź prości („Zimowa...”), ale łączy ich jedno: są zainteresowani własnym życiem jako przedmiotem refleksji. Nigdy nie dryfują – bezmyślność jest im obca. Legendarne Rohmerowskie rozmowy (jakkolwiek byłyby długie) nigdy naprawdę się nie dłuży – nie są gadaniną, do której przyzwyczailo nas amerykańskie kino niezależne spod znaku Kevina Smitha. Bohater Rohmera mówi, by odkryć samego siebie (częściej: samą siebie) na nowo.

W tym sensie dla odpowiednio nastawionego widza

dzieła Rohmera są filmami akcji. Zamiast pościgów i wybuchów mamy w nich zmierzanie się serca: ludzi zdumionych nowymi prawdami, jakie znajdują w sobie samych i w bliźnich. Ironia rohmerowska (pogodna, nie złośliwa) polega na tym, że życie jest w jego filmach zawsze o krok do przodu wobec wyobrażeń, jakie budują na jego temat bohaterowie – i my sami także. Dokładnie tak samo było 11 stycznia, kiedy nagle zabrakło nam kogoś, komu z przyzwyczajenia zdążyliśmy przypisać nieśmiertelność.

JACK WHITE
THE EDGE
JIMMY PAGE

Film
DAVISA
GUGGENHEIMA

Będzie
głośno!
It might get loud

HISTORIA
LED ZEPPELIN,
U2 I WHITE STRIPES
W JEDNYM FILMIE!



TYLKO W KINACH

++++ MARCIN SENDECKI

Świat przez butelkę...czyli śliczna książka Rafała Szamburskiego

Rafał Szamburski
„Wypracowanie nadobowiązkowe z Bohumila Hrabala”,
Kropka, Wrzesień 2009,
s. 64, 19,90 zł

Pewnie nie zgola nie wiedziałbym o tej książce, gdyby ktoś bardzo miły mi jej nie pokazał. A książka Rafała Szamburskiego, z której wydawca uczynił bardzo ładny przedmiot umieszczony w kopercie zamiast obwoluty, naprawdę warta jest polecenia. Książka debiutancka, ale autor ma już na koncie scenariusze (między innymi „Wszystko będzie dobrze” wspólnie z Robertem Brutterem) i sztuki teatralne. Zresztą i na „Wypracowanie...” spojrzeć można jako na monodram – długi monolog bohatera właściwie bez przeróbek nadaje się na scenę. Ujawniony w tytule trop hrabalowski jest oczywisty, trzeba jednak dodać, że Szamburski hołd mistrzowi oddał świeżo, z werwą, wdziękiem, ze świetnym wyczuciem polszczyzny. Narrator – prowincusz i prostaczek boży – opowiada tu o swym życiu (od lat 70. po dziś dzień), które przepełnił na pracy w skupie butelek oraz uporczy-

wym pijaństwie. Przy okazji zaś pisze o życiu naszym codziennym i jak się ono przez te lata zmieniało. Jest nostalgicznie, dowcipnie, lirycznie, lecz od czasu do czasu bywa też w tej opowieści zaskakująco upiornie – za to chyba należą się Szamburskiemu brawa największe. Ujmując finyzyjnie wprowadza on też drobny wątek muzyczny, z czym polska nowa proza ma na ogół niepojęte kłopoty. (Proszę zająrzeć, powiedzmy, do nowej książki Daniela Odi, gdzie bezlitośnie masakruje się Milesa Davisa, i porównać to z Szamburskiego fragmentami o Coltranie).

Jeśli jednak coś mi w „Wypracowaniu...” przeszkadza, to może właśnie nieco nadmierna ładność, niemal baśniowość (bo narrator jest zbyt nadświadomy, co odrealnia tę historię) oraz happy end, który rzecz w strukturalne ramy przykładowo ujmuję, lecz zarazem wiele jej zalet zaciera. Tak czy inaczej, dziękuję i proszę o jeszcze.

++++

Polski horror po amerykańsku

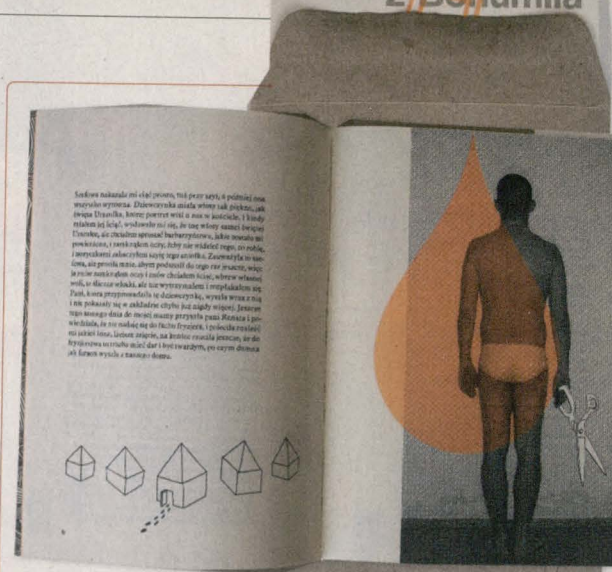
U Palińskiego piekło tkwi w człowieku

KTO PRZEDTEM NIE NATKNAŁ SIĘ na jego publikacje w „Nowej Fantastyce”, w Internecie albo którejs z rodzimych antologii horroru, tego solidność książkowego debiutu 30-letniego Pawła Palińskiego musi zaskoczyć. Dziesięć zwięzłych opowiadań to dziesięć odsłon (nie) ludzkiego nieszczęścia pisanych bardziej po amerykańsku niż po polsku i spiętych zgrabnym mottem: „W ciemności nie widzi się własnych dłoni”. Przy

czym wypada zdanie to traktować raczej jako wyjaśnienie niż usprawiedliwienie. U Palińskiego jeszcze wyraźniej niż u Stephena Kinga, do którego dość słusznie bywa porównywany, zło świata nijak ma się do piekła zakorzenionego w samym człowieku. Diabelstwa rzeczywistości, w tym te najpowszechniejsze: karambol, rozwód, a nawet nagłe zwolnienie z pracy, to jedynie sygnał dla ludzkich demonów, by te rozpoczęły swój festiwal. A dlaczego od tych wszystkich obrzydliwości oderwać się tak trudno? Dla spokoju ducha złóżmy to na karb talentu autora. – *mah*

Paweł Paliński
„4 pory mroku”,
Fabryka Słów,
Lublin 2009, s. 417

nadobowiązkowe z/Bohumila



++++

Powtórka z Iredyńskiego

Trzy prozy na otwarcie dzieł zebranych

ŻE IRENEUSZ IREDYŃSKI ciekawym pisarzem był, mogą się dziś przekonać ci, którzy go nie pamiętają sprzed lat. Edycja dzieł zebranych głośnego niegdyś autora jest pomysłem, któremu tylko przyklasnąć, choć jest to nie tyle wydanie krytyczne (co mówię, oddając honory w wielu punktach instruktywnym wstępowi i posłowiu), ile po trosze hagiograficzne. Czytamy więc w owym posłowiu Piotra Müldnera-Nieckowskiego z niejakim zdziwieniem na przykład coś takiego: „Niełatwo znaleźć klucz do tej osobowości, jest jednak pewne, że tkwiło w nim coś dobrego, lirycznego, nawet sentymentalnego, co przenikało do jego twórczości. Kochał zwierzęta, opiekował się zabłąkanymi psami i kotami”. Zważywszy, że mowa o czołowym skandaliście lat 60., wystawianie pomniczek w ten sposób wygląda zabawnie. Nie był też chyba Iredyński pisarzem tak tegim, jak nas wydawca przekonuje, bo w każdej z trzech próz pomieszczonych w pierwszym tomie „Dzieł zebranych” („Dzień oszusta”, „Ukryty w słońcu”, „Okno”) łatwo dostrzec niejaką mechaniczność języka, niezachwycające dialogi czy papierowość opisu, a poza tym „Okno” (rzecz o „powołaniu pisarza”) jest nieznośnie pretensjonalne. Z drugiej strony „Ukryty w słońcu” wsparty jest na przyjemnie wyrafinowanym pomysle narracji, a „Dzień oszusta” wciąż robi wrażenie kreacji bohatera, który czyni świństwa dla zabawy, na zimno, w imię reżyserii prywatnego międzyludzkiego spektaklu. Słowem: przeczytać warto, na olśnienia raczej nie liczyć.

Ireneusz Iredyński
„Dzieła zebrane. Tom 1.”
Warszawska Firma Wydawnicza,
Warszawa 2009,
s. 324, 34 zł



Tomiszcze jest imponująco okazałe, ale kłopotliwe. Z jednej strony radość czysta: oto pierwszy z 14-tomowej serii „Dzieł zebranych” kogoś z samego olimpu literackiego, co to w towarzystwie Miłoszów, Gombrowiczów, Lemów czy Herbertów sobie siaduje, ze wspólnej amfory wino popijając. Ale z drugiej – książka niemalże nie do przeczytania... Raczej do przekartkowania większości tekstów i tylko przy niektórych się zatrzymywanie, smakowania i z satysfakcją obliźywania.

To najwcześniejsze z pisań Herlinga. Jeszcze nie próbował czystej literatury, która za kilkanaście-kilkadziesiąt lat uczyni zeń jednego z mistrzów polskiej prozy. Nie był nawet eseistą, niebawem stawianym tuż obok prozaika. Jeszcze wtedy był tak zwany młodym zdolnym publicystą i krytykiem literackim. Publicystyka zaś i krytyka mają to do siebie, że najszybciej się starzeją. I nie chodzi tylko o naturalne przemijanie większości nazwisk i spraw, którymi żywi się życie literackie i kulturalne swojego czasu. Przede wszystkim blakną i wyparowują emocje poruszające serca i umysły ówczesnych czytelników. Gorące niegdyś teksty obracają się z latami w zimne placki ziemniaczane; niby zjeść się da, ale smak nie ten, nie ten.

Wiem, jestem niesprawiedliwy. Tak przecież zazwyczaj bywa z twórczością nastawioną na wieczne trwanie. Przyznaję też z satysfakcją, że błądząc po tej księdze, nieraz zatrzymywałem się na dłużej – a to jakieś nazwisko zajaśniało znajomo,

++++ TADEUSZ NYCZEK

Z Herlingiem po kraju Pierwszy tom wielkiej edycji dzieł Gustawa Herlinga-Grudzińskiego



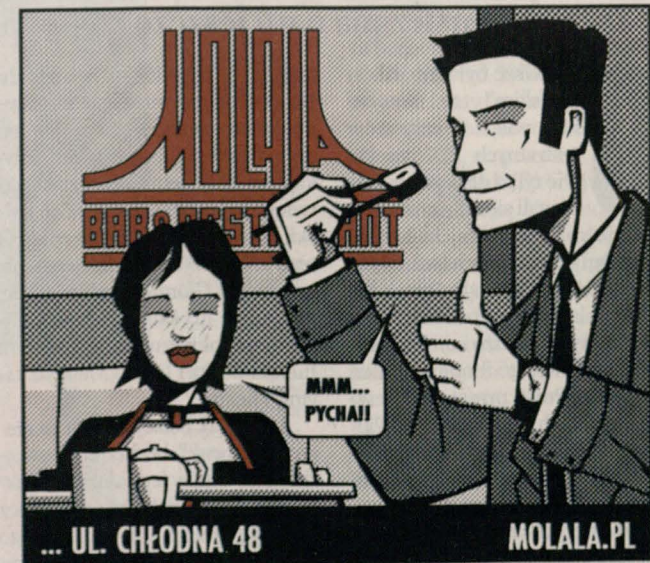
Rzym, listopad 1946

a to temat zaciekawił. Co myślał Herling o „Ferdynandzie”? Dlaczego lubił Broniewskiego i bronił Brzozowskiego przed lustratorami gotowymi unicestwić go za domniemaną kolaborację z carską ochroną? Skąd takie fascynacje literaturą ludową? Dlaczego cenil poetę Józefa Żywnię? Poruszając pisał o jednym z listów Norwida i aktualności „Nie-Boskiej komedii”. I o powojennym Paryżu, „mieście zmęczenia”. Ale wielu tekstów nie zmożem. Były jak suche jesienne liście opadłe z wysokiego drzewa.

Zapewne będą wracać do nich poloniści piszący z Herlinga kolejny doktorat. Także ci, dla których ważne jest każde zdanie autora „Innego świata”. Chwała więc zespołowi redakcyjnemu „Dzieł zebranych” ze Zdzisławem Kudelskim na czele, że pieczołowicie wszystkie prace wielkiego pisarza zebrał i drobiazgowo opracował. A my, którzy zwykliśmy sięgać po książkę dla przyjemności i satysfakcji, poczekajmy jeszcze trochę. Prawdziwie wielki Herling-Grudziński jest jeszcze przed nami, w kolejnych tomach.

Gustaw Herling-Grudziński
„Dzieła zebrane. Tom 1. Recenzje, szkice, rozprawy literackie 1935–1946”
WL, Kraków 2009,
s. 756, 59 zł

REKLAMA



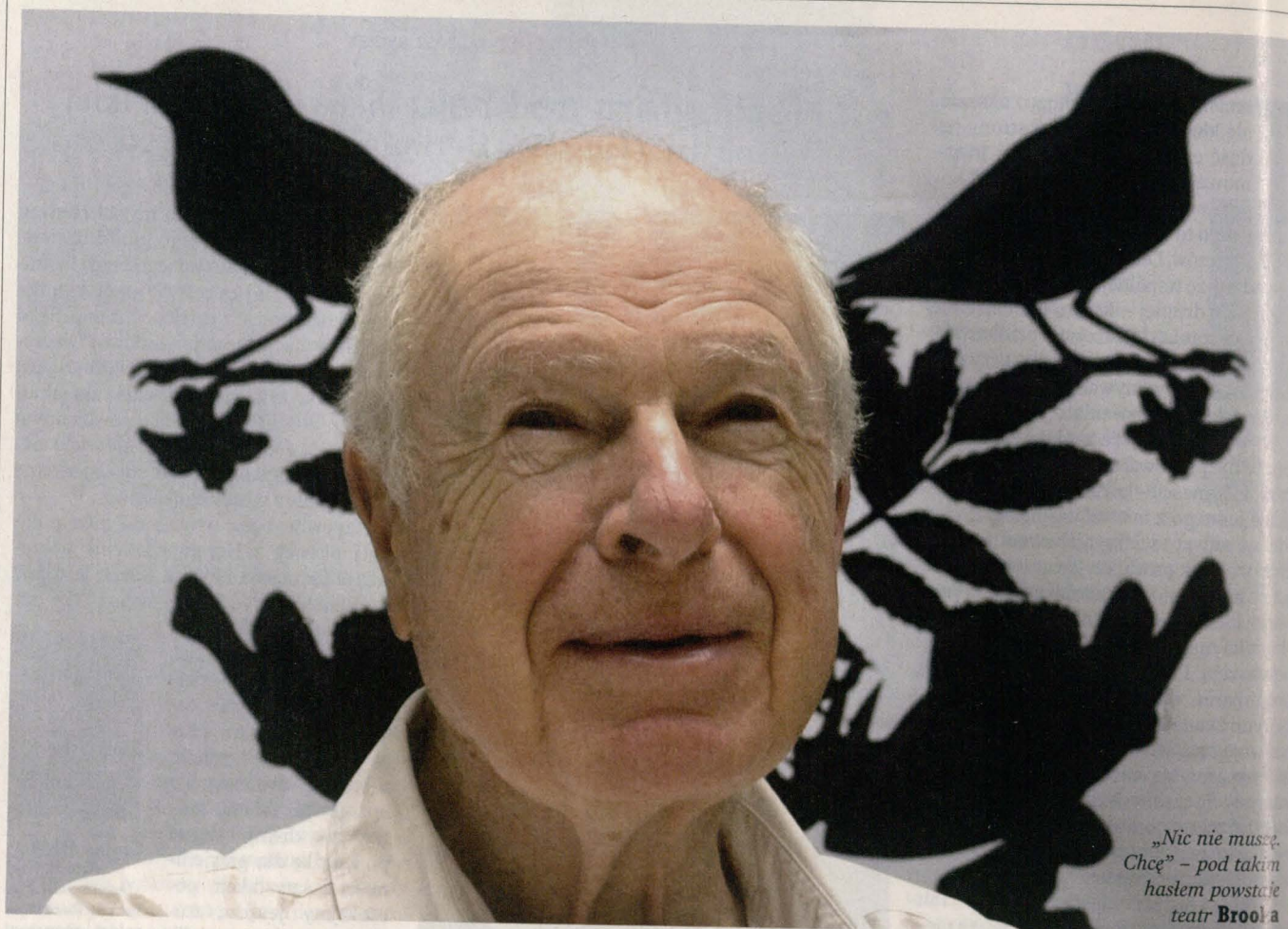
Wyślij SMS my oddzwonimy
zapłacisz przy odbiorze

one step* cena 29,90 zł/
/kod: pory121

one step* cena 59 zł/
/kod: dziela121

Kup teraz! Wyślij SMS z kodem
podanym przy recenzji
na nr 70500
koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

one step



„Nic nie muszę. Chcę” – pod takim hasłem powstaje teatr Brooka

TEATR OGROMNY LUKASZ DREWNIAK

Być jak piterbruk

We Wrocławiu trwają pokazy najnowszego spektaklu jednego z największych reżyserów świata Petera Brooka. Czy stary mistrz ma nam jeszcze coś do powiedzenia?

Od zawsze był najbardziej „polskim” ze wszystkich wielkich reżyserów teatralnych XX wieku. Nie tylko dlatego, że szanowali się z Grotowskim, przyjaźnili z Kottem, że bardzo pomógł w recepcji ich twórczości na zachodzie Europy. Brook był realnie obecny w polskim życiu teatralnym. Bardzo szybko przetłumaczono jego fundamentalną książkę „Pusta przestrzeń”, jeszcze w latach 50. pokazał w Warszawie „Tytusa Andronicusa”, przyjeżdżał na wrocławski Festiwal Teatru Otwartego w latach 70. W wolnej Polsce regularnie co parę lat pojawiał się ze swoimi spek-

taklami z paryskiego Bouffes du Nord. Odebrał wszystkie możliwe doktoraty honoris causa. Bardzo szybko stał się dla nas takim dotykającym klasykiem z sąsiedztwa. Łatwiejszym w obsłudze niż Grotowski, bo w końcu nigdy nie zdradził teatru. Głębszym i mądrzejszym niż bon vivant Giorgio Strehler, mniej utopijnym niż Eugenio Barba, dalekim od politycznego radykalizmu Juliana Becka i Judith Maliny z Living Theatre.

Lubię, jak Polacy mówią na niego „piterbruk”, bo brzmi to swojsko. Trzy sylaby leżą ciurkiem, jakby nie o człowieka chodziło, lecz o nazwę przedmiotu codziennego użytku. Kochamy go, nie wyobra-

żamy sobie bez niego XX-wiecznego teatru. Chyba oswoił się go nawet za bardzo. – Ja jako dyrektor teatru mam prawo nie być „piterbrukiem”! – krzyczał 15 lat temu w publicznej dyskusji Jerzy Fedorowicz, szef Teatru Ludowego w Krakowie. Chodziło mu chyba o to, żeby nikt nie zmuszał go do artystycznych podróży, nieustannych poszukiwań estetycznych oraz odpowiedzi na każdy teatralny i polityczny trend.

On to po prostu ukradł!

Najbardziej wyrazisty sąd na temat „piterbruka” dał oczywiście Tadeusz Kantor. To było już pod sam koniec jego życia, w 1989 roku, może w 1990. 75-letni reżyser w licz-

nych programach telewizyjnych z pasją opowiadał o sztuce i teatrze XX wieku, jakoś tak zawsze zbaczając na swój temat, porównując ze sobą innych wielkich. „A Peter Brook – wypalił pewnego razu – to jest skurwysyn, największy skurwysyn! Bo on, proszę pana, wszystko, co ma, to po prostu ukradł!”. Cytuję z pamięci, ale mogę się mylić co najwyżej w liczbie „skurwysynów”, jakie w tej wypowiedzi udzielił polskiej telewizji. Padły. O dziwo, choć w mniemaniu Kantora Brook chyba i jego z czegoś ograł, nie było w tych słowach prawdziwej nienawiści. Owszem, czuło się złość i zazdrość maskującą jednak podziw dla kogoś, kto tak dobrze wymyślił siebie w sztuce.

Brook wedle swojej czarnej legendy (a któż jej nie ma? Ma i Grotowski, i Kantor też) jest czuły jak sejsmograf, błyskawicznie reaguje na pomysły innych artystów, chwytając je i testuje. Nawet jeśli doszły go słuchy, co autor „Umarłej klasy” o nim myśli, zachował się, jak na angielskiego dżentelmena

przystało. Przyjechał do Krakowa rok po śmierci Kantora, żeby odebrać nagrodę jego imienia.

No tak, Kantor miał o tyle rację, że Brook zawsze był kameleonem. Zmieniał estetyki, metody pracy. Jak się przez prawie 70 lat uprawia teatr, to trudno pozostać wiernym tylko jednej metodzie i fascynacji. Dlatego na drodze Brooka, który zaczynał od Szekspira, było miejsce i na teatr polityczny („US”), i na wędrowną z improwizowanymi scenkami po afrykańskich wioskach. Pojawił się genialny „Wiśniowy sad”, chyba najpiękniejszy Czechow, jakiego widziałem. Była rewolucyjna w minimalizmie muzycznej formy, zagrana na arenie do walki byków „Tragedia Carmen”. Brook pracował w Royal Shakespeare Company, założył CIRT (Międzynarodowy Ośrodek Badań Teatralnych), zbudował wieloletni, międzynarodowy zespół aktorski, w którym znalazła się przestrzeń dla porzuconego przez Grotowskiego Ryszarda Cieślaka.

Tajny członek Zakonu Poszukiwaczy Prawdy

Brook mówi, że teatr naprawdę nie ma żadnych sekretów. Najważniejsze jest spotkanie z widzem, chęć opowiedzenia mu historii, wywołanie jego radości i zadowolenia. Dlatego ważniejsze od całego monumentalnego plenerowego projektu „Orghast” granego na festiwalu w Shirazie był dla niego gest rzucenia cukierków dzieciom z irańskiej wioski. Brooka mędrca słucha się nadal, czeka na jego wspomnienia i komentarze: o Grotowskim, Szekspirze, Afryce, technikach aktorskich, tolerancji i przemocy. Ale trudno się oprzeć wrażeniu, że stary mistrz raczej dzieli się swoim doświadczeniem, niż odkrywa wieczne prawdy. Jakby powiedzieli starożytni Grecy: jest bliżej techniki niż sophii, rzemiosła niż mądrości. To nie próżnia, tylko praktyk. Interesuje go wyłącznie to, co w najbardziej porównawczej idei jest do zrealizowania w ramach najszerzej pojętego teatru. Mówi, że jest jak afrykański storyteller, opowiadacz, który przed odejściem z wioski, gdzie słuchali go ludzie, dotyka dłonią ziemi i mówi: „Kładę tu swoją historię, aby ktoś mógł ją kiedyś podnieść”.

Brook zawsze był stary. Znał Gordona Craiga. Tak, tego Craiga od parawanów i nadmarionety, który na początku XX wieku robił ze Stanisławskim „Hamleta” i wiedział, że jest ktoś taki jak Wyspiański. W dniu, w którym Brook go spotkał, bawił się tylko lalkami w miniaturowych modelach teatru i rysował przezroczyście scenografie. Do tego Craiga jeździł Leon Schiller, który dziś wydaje się bohaterem teatru sprzed kilku stuleci. A Brook trwa. Przeżył Grotowskiego i Becka. Oliviera, Gielguda i Scofielda, aktorów szekspirowskich, dla których był buntowniczym, acz inteligentnym młodym reżyserem. Póki Brook jest, żyje w nim i Craig, i Stanisławski. No więc istnienie starego Brooka wydaje się ważniejsze niż jego najnowsze spektakle. „Piterbruk” po prostu musi być. Choćby dlatego, że pięknie objawia się w nim zmierzchnie. Powolne ciemnienie teatralnych malowideł, majestatyczne zachodzenie słońca artysty. Brook nieraz firmuje spektakle, których nie powinien firmować („Warum, Warum”), decyduje się na radosne blachostki, jak Beckettowskie „Fragmenty” pokazane w czerwcu 2009 roku we Wrocławiu.

Brook zawsze był jak kameleon. Zmieniał estetyki, metody pracy. Jak się przez prawie 70 lat uprawia teatr, trudno pozostać wiernym tylko jednej metodzie

Litewski reżyser Eimuntas Nekrošius twierdzi, że istnieje granica kreatywności – tak jak kobieta może urodzić dziecko tylko do pewnego wieku, tak reżyser musi kiedyś powiedzieć „dość”. Brook by się z nim nie zgodził: – Im wcześniej uświadomimy sobie, że jesteśmy śmiertelni, tym lepiej. Śmierć łatwiej zaakceptować, jeśli uznajemy ją nie za dokładne przeciwieństwo życia, tylko za jego nieobecność. Nie ma czegoś takiego jak ciemność; jest tylko brak światła. W to wierzę. I nie ma czegoś takiego jak zło, jest tylko brak dobra. Tak mi się wydaje. A jak świadomość mojej śmiertelności wpływa na teatr? Zniechęca do moralizowania na temat dobra i zła.

Budowniczy katedry

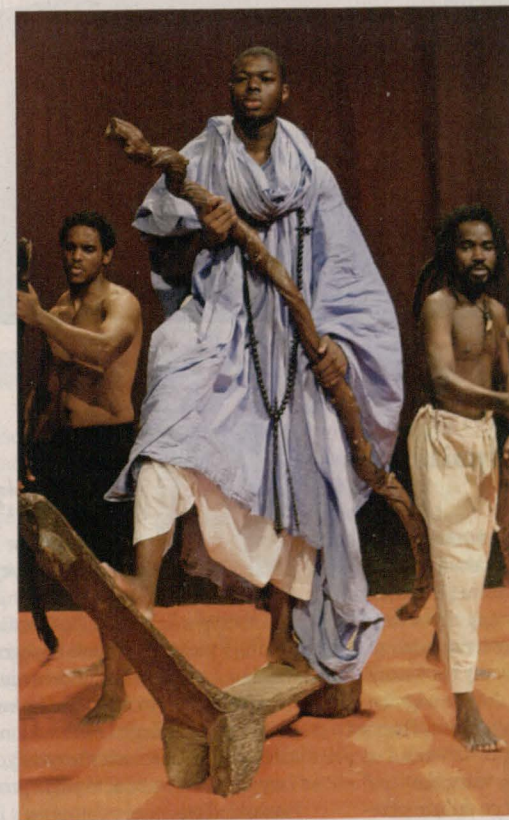
Śmiejąc się z siebie, powiada, że czuje się czasem jak Atlas podtrzymujący The Globe, kulę ziemską, niebo. Teatr, który robi, powstaje pod hasłem: Nic nie muszę. Chcę. – Prorocy wszystkich religii stale przypominają nam, że u sa-

mego kresu dobrze jest nie myśleć o tym, jak przeżyłem swoje życie, ale dlaczego je przeżyłem – tłumaczy Brook. – Co jest aż tak cennego w ludzkim życiu, że pozwala nawet niedobremu człowiekowi istnieć tyle, ile mu pisane?

Tierno Bokar, afrykański mędrzec sufiicki, którym Brook jest od wielu lat zafascynowany (najnowszy spektakl „11 i 12” to już drugi powrót do jego postaci), mówi, że „religia to tylko droga. Są 73 ścieżki. 72 wiedzą donikąd”. Teatr Brooka też jest drogą. Na końcu drogi Bokara jest Bóg albo coś absolutnie niewypowiedzianego. A co jest na końcu teatru? Brook tłumaczy, że „tam na końcu jest prosta odpowiedź, w której i owszem, jest Bóg, ale to tylko słowo; jego prawdziwe znaczenie jest ponad jakąkolwiek definicję”.

Brook podkreśla, że sztuka nie jest religią: – Tylko głupi i ślepi artyści uznają, że może nią być. Sztuka to refleks rozległy, nieznaną strefę istnienia. Aktor, który całe swoje życie nie jest żadnym świętym, dzięki teatrowi tworzy sugestię, czym świętość może być. Może na końcu naszej drogi przez życie i sztukę, bolesnej i trudnej, pełnej złych i wspańiających doświadczeń, wchodzi się do niewidzialnej wielkiej katedry. I wtedy każdy z nas może przez 15 sekund rozumieć to „coś”. Rozumienie istoty rzeczy zaraz znika bezpowrotnie. Ale w tej chwili wiesz wszystko. Tylko ktoś wyjątkowo ambitny i zadufany w sobie może pomyśleć, że stworzył nową formę sztuki, ale przecież on tylko wszedł do katedry, która już była przed nim. On jej nie zbudował, jedynie znalazł do niej drogę. I zostało mu dane na jeden moment doznanie, czym jest katedra.

Budownicze średniowiecznych katedr byli najczęściej beziemienni. Czasem tylko zostawiali ukrytą sygnaturę. A co można robić w życiu po zbudowaniu katedry? Ktoś postawił drewniany kurnik we wsi. Drugi ufundował kapliczkę. A jeszcze inny budował wieżę z klocków dla dziecka. Albo mógł zostać „piterbrukiem”. □



„11 and 12”, na podstawie książki „Vie et enseignement de Tierno Bokar, le sage de Bandiagara” autorstwa Amadou Hempté Bâ, reżyseria Peter Brook, muzyka Toshi Tsuchitori, Theatre des Bouffes du Nord w Paryżu przy współpracy wrocławskiego Instytutu J. Grotowskiego, pokazy we Wrocławiu, 19–23 stycznia 2010 roku

Sukces bez niespodzianek

Alicia Keys, zamiast uciekać konkurencji, trwa przy tym, co robi najlepiej. I dzięki temu znów jest na czele

++++ BARTEK WINCZEWSKI

Do niedawna narzekałem, że tak utalentowana artystka nie chce pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa i zaproponować czegoś ponad kolejną kolekcję grzecznych soulowych songów o miłości. Nic by się przecież nie stało, gdyby choć raz wstała od ukochanego fortepianu. Nikt nie odebrałby jej 12 statuetek

Grammy, gdyby inspiracji poszukała poza archiwami wytwórni Stax i Motown...

Dziś oskarżenia o brak odwagi i asekuranckie kierowanie karierą to już nieaktualna sprawa. Nie, żeby nowojorska wokalistka postawiła na eksperymenty i nawiązała współpracę na przykład z metalowymi Queens of the Stone Age.

Alicia Keys niby wciąż słodka, ale już zaczęła pokazywać pazurki



Alicia Keys
„The Element of Freedom”,
J Records



Przeciwnie – Alicia Keys na „The Element of Freedom” to wciąż miłośniczka soulowych wyciskaczy łez, która nie ma zamiaru zmieniać się na życzenie recenzenta z dalekiego kraju. Owszem, zamiast głębiej brnąć w retro, unowocześniła nieco brzmienie, ciepło soulu z lat 60. i 70. tu i ówdzie zamieniając na syntetyczne dźwięki właściwe latom 80. Poza tym jeszcze namiętniej puściła oko do Prince’a, duchem od zawsze obecnego w jej piosenkach. Ba, pozwoliła sobie nawet na duet z Beyoncé, a delikatność fortepianu połączyła z wyjątkowo potężną perkusją, krojąc materiał nie pod kameralne sale koncertowe, lecz z myślą o wielkich, stadionowych widowiskach.

Nawet jeśli to wszystko jest niewiele znaczącą kosmetyką, powtarzalność i niechęć do eksperymentów nieoczekiwanie stały się największym atutem Keys. Oto bowiem okazuje się, że by kupić słuchacza, nie trzeba jak inni iść w plastik i podpierać się efektem autotune. Wystarczy zaśpiewać własnym, naturalnym głosem. Niby niewiele, a jednak w porównaniu z płytami większości jej koleżanek – bardzo dużo.

Na to idziemy

JAREK SZUBRYCH

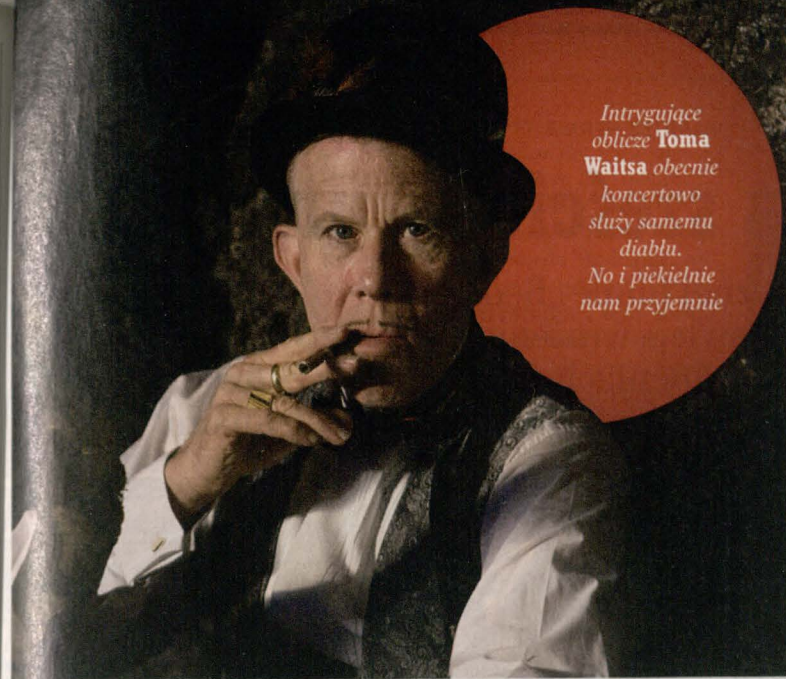
Dwie ciemne strony

Z piątku na sobotę
kowbojom wyrosną rogi

Fields of the Nephilim, pionierzy rocka gotyckiego, rzadko wystawiają głowę ze swego matecznika we wschodniej Anglii. To, że dadzą w Warszawie dwa koncerty wieczór po wieczorze, samo w sobie jest więc już wydarzeniem. Ale to, że piątkową i sobotnią noc w Progresji różni będzie radykalnie odmienny repertuar, zakrawa na małą sensację. Wieczór pierwszy opatrzony został szyldem „Era Mrocznego Westernu”, więc grupa wykona kompozycje ze swoich wczesnych płyt „Dawnrazor”, „The Nephilim” czy „Elizium”, a charyzmatyczny frontman Carl McCoy wystąpi w przykurzonym kapeluszu i wysłużonym płaszczu rewolwerowca à la Clint Eastwood. W sobotę za to pewnie wyrosną mu rogi, bo „Pandaemon Era” to wycieczka w nowsze, jeszcze bardziej mroczne i niemal metalowe czasy. Nie zabraknie nawet utworów z rzadko prezentowanego na żywo albumu „ZooN”. Czarno to widzimy.



Fields of the Nephilim
– 22–23.01.2010,
Progresa, Warszawa



Intrygujące oblicze Toma Waitsa obecnie koncertowo służy samemu diabłu. No i piekielnie nam przyjemnie

Zachrypnięty czart

Usłyszeć ten właśnie głos w wersji live – bezcenne. Za wszystko inne... i tak dalej

++++ LUKASZ DUNAJ

W kinach można już obejrzeć „Parnassusa” Terry’ego Gilliama z Tomem Waitsem dobrze obsadzonym w roli diabła. Lecz mimo jego niewątpliwych zdolności aktorskich i intrygującej fizjonomii łączącej rysy Quasimodo z szympansem (mam nadzieję, że nikt mu tych słów nie przetłumaczy!) preferuję Waitsa w wydaniu audio. Słuchając nowej koncertowej płyty wokalisty o głosie – jak go cennie określił jeden z krytyków – „unurzany w burbonie, wędzonym przez parę miesięcy, po czym przejechałym przez samochód”, przenosimy się w miejsce magiczne. Nie ważne, czy dane nagranie pochodzi z Edynburga, Paryża, czy

Knoxville. Wszędzie jest równie pięknie, a zdezelowany wokal Waitsa z szorstką czułością snuje ponure, straszno-śmieszne opowieści. O miłości, śmierci i upadku człowieka, niekoniecznie na Dworcu Centralnym. W czasie słuchania „Fannin Street” czy „Dirt in the Ground” chce się pić, chce się wyć, chce się żyć.

Na drugim dysku zestawu zebrano z kolei dykteryjki, którymi między utworami raczy Waitś swoich słuchaczy. Dywagacje o seksualności Jezusa, pochodzeniu podświadomości i samotnej karmie koników morskich wiele mówią o ich autorze. Pouczające, nie tylko dla waitsofilów.



Tom Waits
„Glitter & Doom Live”, Anti-



motywy („Adela”). Bardzo smaczne. – bach

Armia „Freak”, Isound
Pal licha, że Budzy znów gra z Brylem. Ważne, co grają! Nie ma śladu po walecznym punk metalu ćwiczonemu jeszcze przed niespełna rokiem na „Der Prozess”. Ten „Freak” jest naprawdę zakrecony, psychodeliczny i poszukujący. – jsz

Dziczka „Tradycyjne pieśni z Ukrainy”, Konadora/Folk.pl
„Weselne i liryczne”, ale nie kliwie pieśni wschodnioukraińskie na sześć dziewczęcych głosów. Słowański blues. – mh

Let the Boy Decide „Like the Earth, Like the Sun, Like the Ocean in the Night”, Locco/Gusstaff
Zdolna grupa znana z szeregów Europeans Records, dobrze czująca klimat amerykańskiego alt-country, doceniająca walory produkcji i mająca niezłą wokalistkę. To wciąż początek drogi, ale warto posłuchać. – bach

Lachowicz „Pigs, Joys and Organs”, Mystic
Kiedyś Jacek Lachowicz wpływał na siłę kreatywną Ścianki i Lenny’ego Valentino, dziś regularnie nagrywa solowe płyty o podobnej wartości. Wielki piosenkowy talent potwierdza i tym razem, choć nieoczekiwanie proponuje mocniejszy, rockowy materiał. Świetna produkcja Andrzeja Izdebskiego. – bach

New Century Classics „Natural Process”, FDM
Instrumentalny post rock bez rewolucyjnych ambicji, ale i bez zadęcia, które zgubił wielu. Kto dostał płytę za darmo w ramach akcji „Muzyka bez ceny”, ten szczęściarz. – mh

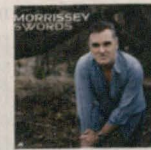
Sensorry „38:06”, Biedro
Postrockowy trans z punkowym przytupem, w którym zgiełk gitary walczy o prymat z jazgotem dekiaków. Godzi to wokalista, który odzywa się rzadko, ale za to z sensem. – jsz

Moz sprząta na strychu

Trochę odkurzonych piosenek z drugiej ręki i całkiem świeży koncert z Polski – u Morrissey’ego wyprzedaż

ŚPIEWAM NA TEJ PŁYSCIE. Dokładnie na bonusowym dysku, czyli „Live in Warsaw” (tylko w wersji limitowanej). Na wasze

szczęście tego nie słyhać, bo Morrissey śpiewa głośnie, a moje wycie i tak ginie w tłumie innych wtórujących mu fanów. Przez tę dodatkową płytę zawierającą obszernie fragmenty koncertu ze Stodoły każdy polski wielbiciel wokalisty musi mieć „Swords”. Ale i danię główne, czyli zbiór stron B singli z ostatnich pięciu lat,



Morrissey
„Swords”, Polydor

to nie lada gratka. Uzbierał się z nich całkiem zgrabny, choć trochę nieśpójny album. I ostateczne podsumowanie współpracy z gitarzystą Alainem Whyte’em, od lat kompozytorem większości materiału byłego frontmana The Smiths. Kto go zastąpi? – js



Tymon z tymiankiem

Serwuje poważne danie

PO TAKIM TYTULE SPODZIEWAŁEM SIĘ płyty swojskiej, prząsnej i ciężkostrawnej. Ale kostium pierwszego błażna polskiej sceny chyba zaczyna Tymona trochę uwierać, bo to zaśkakująco stonowany i poważny materiał. Trochę dobrze odgrzanych staroci (z repertuaru Trupów i Czaru) i parę prawdziwych nowalijek. Prawie wszystko po angielsku. Sporo dobrze prze-



Tymon
& The Transistors
„Bigos Heart”, Biedro

pracowanych Beatlesów, tradycyjny haracz dla Franka Zappy i tylko szczypta kabaretu. Dosłownie: jedną z piosenek śpiewa Grzegorz Halama, w dodatku całkiem nieźle mu idzie. Jeśli to zapowiedź nowego, bardziej dorosłego i mniej skłonnego do sztubackich muzycznych wygłupów Tymona, to ja już proszę o dokładkę! – js

Zapomniane diamenty 2009 (Polska)

Andruchowicz + Karbido „Cynamon (Z dodatkami Indii)”, Hermetyczny Garaż
Druga wspólna płyta awangardowej formacji Karbido z ukraińskim poetą Jurijem Andruchowiczem. To bardziej teatr dźwięku niż album muzyczny. Tak mogliby brzmieć The Residents, gdyby taplali się w galicyjskim błocie. Znakomite, ale nie podniesie was na duchu. – jsz

Biff „Ano”, Galapagos
Odpysk Pogodno wart najwyższej uwagi. W tekstach jednozdaniowe absurdałne opowie-

ści („Zatruc jak Ślaza-jodem”), obyczajowe prowokacje („Moja dziewczyna”) albo przebojowe motywy („Adela”). Bardzo smaczne. – bach

Armia „Freak”, Isound
Pal licha, że Budzy znów gra z Brylem. Ważne, co grają! Nie ma śladu po walecznym punk metalu ćwiczonemu jeszcze przed niespełna rokiem na „Der Prozess”. Ten „Freak” jest naprawdę zakrecony, psychodeliczny i poszukujący. – jsz

Dziczka „Tradycyjne pieśni z Ukrainy”, Konadora/Folk.pl
„Weselne i liryczne”, ale nie kliwie pieśni wschodnioukraińskie na sześć dziewczęcych głosów. Słowański blues. – mh

Let the Boy Decide „Like the Earth, Like the Sun, Like the Ocean in the Night”, Locco/Gusstaff
Zdolna grupa znana z szeregów Europeans Records, dobrze czująca klimat amerykańskiego alt-country, doceniająca walory produkcji i mająca niezłą wokalistkę. To wciąż początek drogi, ale warto posłuchać. – bach

Lachowicz „Pigs, Joys and Organs”, Mystic
Kiedyś Jacek Lachowicz wpływał na siłę kreatywną Ścianki i Lenny’ego Valentino, dziś regularnie nagrywa solowe płyty o podobnej wartości. Wielki piosenkowy talent potwierdza i tym razem, choć nieoczekiwanie proponuje mocniejszy, rockowy materiał. Świetna produkcja Andrzeja Izdebskiego. – bach

New Century Classics „Natural Process”, FDM
Instrumentalny post rock bez rewolucyjnych ambicji, ale i bez zadęcia, które zgubił wielu. Kto dostał płytę za darmo w ramach akcji „Muzyka bez ceny”, ten szczęściarz. – mh

Sensorry „38:06”, Biedro
Postrockowy trans z punkowym przytupem, w którym zgiełk gitary walczy o prymat z jazgotem dekiaków. Godzi to wokalista, który odzywa się rzadko, ale za to z sensem. – jsz

one step* cena 36,99 zł/kod: freak121
one step* cena 36,99 zł/kod: ano121
one step* cena 36,99 zł/kod: element121
one step* cena 64,99 zł/kod: glitter121

Kup teraz! Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji na nr 70500 koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

one step* Wyślij SMS my oddzwonimy zapiasz przy odbiorze

Krótką teoria sześciu strun

W poświęconym gitarze elektrycznej filmie „Będzie głośno”^{*} Jimmy Page, The Edge i Jack White sprawiają wrażenie, jakby opowiadali o trzech zupełnie różnych instrumentach. I dzięki temu znów dobitnie dowodzą atrakcyjności i uniwersalności pudła ze strunami

Najbardziej wyczekiwany moment najnowszego filmu dokumentalnego Davisa Guggenheima okazuje się ostatecznie najbardziej niezręczny. Jimmy Page (ten z Led Zeppelin), Jack White (ten z The White Stripes) oraz The Edge (ten z U2), po tym jak już przybliżyli historii swoich mniej lub bardziej romantycznych związków z gitarą, zasiadają razem z instrumentami w dłoniach. Ale zamiast pokazu wirtuozerii widzimy scenę przypominającą spotkanie niedzielnego klubu gitarzystów amatorów. Nasi mistrzowie dyktują sobie akordy, podglądają układ palców na gryfie, a The Edge niezbyt udolnie skrywa zażenowanie. – Za wszelką cenę staram się unikać takich sytuacji – przyznawał potem w rozmowie z „Daily Telegraph”. – Powiem więcej: nie ma dla mnie większej tortury niż gitarowe jamowanie! Komponuję przy użyciu instrumentu, ale nie siadam i nie gram dla samego siedzenia i grania. Idea bezcelowego kluczenia wokół przypadkowego układu akordów to dla mnie synonim nudy.

W oczach Jacka White’a też widać raczej dystans i ironię niż entuzjazm, a jedynym zadowolonym z towarzystwa zdaje się być Page – może dlatego, że na co dzień gra sam. Ta scena jest znamienna, bo pokazuje trzy drogi, które zaczynają się w tym samym punkcie, ale później na dobre się rozchodzą. Liryczny Page ze swymi kolekcjonerskimi gitarami; epicki The Edge, który uderza w struny, by później przez minutę bawić się pokrętłami; dramatyczny Jack White z plastikowym instrumentem kupionym za kilkadziesiąt dolarów w hipermarkecie (w pierwszych minutach filmu na poczekaniu montuje też z drewnianej deski i butelki po coca-coli jednostrunowego „elektryka”). – Mógłbym znaleźć innych wirtuozów gitary, ale ci trzej są badaczami, poszukiwaczami. Każdy z nich wciąż próbuje się dowiedzieć, co to znaczy tworzyć muzykę – tłumaczył Guggenheim. Dlaczego mimo różnic wrażliwości Page, White i The Edge wciąż trzymają się gitry? Bo gitara to najbardziej uniwersalny instrument na świecie. Powodów jest co najmniej tyle, ile strun w jej standardowym modelu.

^{*} „Będzie głośno”, reż. Davis Guggenheim, USA 2008, Against Gravity, 97', premiera 15 stycznia



White, Page i The Edge: jak widać, muzyka naprawdę łączy pokolenia

1. „Każdy może na niej grać”

Tak przekonywało na swoim debiucie Radiohead. Ich największy przebój „Creep” to zaledwie cztery chwytów, które nawet początkujący opanuje w kilka minut. Po kilku godzinach biegania palcami po gryfie będziecie już znali wystarczającą liczbę chwytów (czyli jakieś siedem), by zagrać większość radiowych szlagierów. Gitara to łatwy instrument, nie wymaga, jak skrzypce czy trąbka, miesięcy ćwiczeń, by bez narażania się znajomym zaproponować: „Hej, zagrać wam coś?”. Zdanie naukowców sprawdza się także w terapii – sprzyja motywacji i ćwiczy umysł, ale dzieje się to mimochodem. Jak pokazują kariery gitarzystów introwertyków, jest też świetnym lekarstwem na nieśmiałość.

Noel Gallagher i Epiphone Supernova
– wyprodukowana w Korei, ale z brytyjską flagą i na specjalne zamówienie lidera Oasis

2. Jest tania

Przyzwolita gitarę na lata kupicie już za kilkaset złotych, a model pogładowy – nawet za 150–200 złotych, czyli tyle, ile kosztuje marka harmonijka ustna. Na ukończony przez rockowych gitarzystów Fender Stratocaster (grali na nim między innymi David Gilmour, Eric Clapton czy Jimi Hendrix) w podstawowej wersji wydacie 2500–3000 złotych. Oczywiście są także modele droższe od samochodu rodzinnego, ale to wciąż będzie ten sam instrument. Żeby praktykować w domu grę na pianinie, perkusji, saksofonie, kontrabasie albo nawet flecie poprzecznym, trzeba odłożyć kwotę kilkakrotnie większą. Rodzice, niepewni, jak serio powinni traktować nową pasję dziecka, decydując się na zakup gitary, ryzykują stosunkowo niewiele.

3. Jest wszechstronna

Idealnie sprawdza się jako instrument akompaniujący, ale równie dobrze wypada solo. Może wydawać z siebie pojedyncze nuty lub wiele dźwięków naraz. Nadaje się do big-bandu, kilkusobowej kapeli, a jak przekonuje przykład duetu Jacka White’a i jego siostry Meg – nawet w najmniejszych składach potencjał gitary okazuje się niemal niewyczerpany. Niegasnąca popularność w niemal wszystkich regionach świata wynika także z szerokiego spektrum brzmień gitary i jej elastyczności. Zmiana strojenia, podciąganie strun, flażolety, różne metody wydobywania dźwięków – to wszystko pozwala muzykom odnaleźć własne, niekonięcznie „właściwe” brzmienie. – Trąbka zawsze brzmi jak trąbka, pianino jak pianino, to dotyczy wielu instrumentów. Zakres możliwości gitary jest niewiarygodny – mówi The Edge, a Jimmy Page dodaje: – Jeśli każesz trzem gitarzystom zagrać ten sam utwór na tej samej gitarze, każdy zrobi to w zupełnie inny sposób. Już u początkuającego, niewykształconego gitarzysty łatwo wychwycić jego własny styl grania.

4. Łatwo się ją nosi

Chcesz poćwiczyć u kolegi? Zabrać gitarę na wakacje? Zarzuć ją na plecy, zapakuj do bagażnika i już. Takiego komfortu nie mają pianiniści, bębniarze ani harfisiści (w przypadku kontrabasistów mobilność zależy od ich postury). Jeśli preferujesz elektryczną wersję instrumentu, możesz zaopatrzyć się w niewielkich rozmiarów wzmacniacz na baterie w rodzaju Micro Cube-R firmy Roland. Dodatkowym atutem gitary jest to, że trzeba włożyć naprawdę wiele wysiłku, by uszkodzić ją w stopniu wykluczającym dalszy użytek. A drobne obicia świadczą tylko o tym, że instrument nie służy właścicielowi jako mebel.

5. Ma mnóstwo odmian i gadżetów

Klasyczna (struny nylonowe), akustyczna (struny metalowe), elektryczna (bez pudła rezonansowego, za to z kablem), basowa (cztery grube struny i długi gryf) – już na wstępie możesz wybrać gitarę odpowiadającą twoim zainteresowaniom. A to dopiero początek: setki efektów, przystawek, kostek, kabli, wzmacniaczy, procesorów brzmień i innych gadżetów pozwalają dowolnie modyfikować brzmienie instrumentu. A jeśli masz pianino, to co – pochwalisz się nowym taborem? Adrian Belew z King Crimson za pomocą wiertarki i gitary udawał słońia, a Jimmy Page zwykł zamieniać kostkę na smyczek. – Pierwszy też zastosowałem efekt fuzz box i miałem pierwszy prawdziwy przester – chwalił się Page. I tak oto ukochany instrument Vivaldiego (który powtarzał, że gitara jest dla niego bardzo inspirująca) w XX wieku stał się narzędziem destrukcji w rękach długowłosych młodzieńców w czarnych koszulkach.

Alle pozostaje jeszcze jeden fakt, który – jak pokazuje historia muzyki popularnej – okazuje się najważniejszy w rekrutacji nowych adeptów sześciu strun.

6. Dziewczyny kochają chłopców z gitarami

Nie uwierzycie, jak wiele muzycznych karier ma u źródeł wiary w tę prostą prawdę. Od Carlosa Santany po Jonas Brothers. Nawet najwięksi mistrzowie na początku chwyтали za gitary, mając w tyle głowy słowa piosenki Czerwono-Czarnych „Chłopiec z gitarą byłby dla mnie parą”. Jest wiele teorii wyjaśniających tę kobiecą słabość, przeważnie dosyć vulgarnych. Trzeba jednak pamiętać o tym, że dziewczyny wolą patrzeć, jak ich chłopcy dzierżą gitary, niż słuchać ich rzepoleń. I o tym, że o gitarę też można być zazdrosnym.

Pat Metheny i Picasso
– najdziwniejsza gitara na świecie? Na pewno ma najwięcej strun – 42

Eddie van Halen i Frankenstrat
– Fender czy Gibson? Lider Van Halen nie mógł się zdecydować, więc z dwóch gitar konkurencyjnych producentów stworzył jedną

Jimmy Page i Gibson EDS 1275

– skonstruowany po to, by Jimmy nie musiał zmieniać gitar podczas wykonywania „Stairway to Heaven”



Kurt Cobain i Fender Mustang

– to nie jest lustrzane odbicie, lider Nirvany był leworęczny





GDZIE JEST BRAT NASZ, ABEL?

JESTEM JAK PIEKARZ, MURARZ CZY FACET, KTÓRY WYLEWA ASFALT – MÓWI W ROZMOWIE Z KATARZYNĄ JANOWSKĄ **ABEL KORZENIOWSKI**, NOMINOWANY DO ZŁOTEGO GLOBU ZA MUZYKĘ DO FILMU TOMA FORDA „A SINGLE MAN”*

Zaledwie cztery lata temu przeniósł się pan z Polski do Los Angeles i od razu trafił do grona nominowanych do Złotych Globów. „A Single Man” z gwiazdorską obsadą zbiera nagrody na festiwalach, ma świetne recenzje i gwiazdorską obsadę. Pański udział w tym przedsięwzięciu to potwierdzenie mitu, że Ameryka to kraj nieograniczonych możliwości?

– I tak, i nie. Tom Ford bardzo długo szukał kompozytora. Przesłuchał całe mnóstwo demo. Moją muzykę podsunęła mu montażystka, z którą współpracowałem przy moim amerykańskim debiucie „PU 239” [polski tytuł to „Połowiczny rozpad Timofieja Bieriezina” – przyp. red.] wyprodukowanym przez HBO. Miałem szczęście. Ford zakochał się w mojej muzyce.

Wie pan, co go zachwyciło?

– Dostał też kompozycje, które napisałem w Polsce, między innymi muzykę do „Metropolis” Fritza Langa, spektaklu teatralnego „Kafka” i do filmu „Anioł w Krakowie” Artura Barona Więcka, która robiła największe wrażenie. Myślę, że to był klucz do drzwi Hollywood.

★ Zamykając numer, nie wiedzieliśmy, czy nagroda trafiła do rąk Polaka. Nawet jeśli nie uda się tym razem, wierzymy, że Abel Korzeniowski **doczeka się jeszcze wielu cennych statuetek**

A może potrzebowali kogoś z doświadczeniem, bo to film debutantów? Tom Ford po raz pierwszy wystąpił w roli scenarzysty i reżysera, Edward Grau (rocznik 1981) debiutuje jako autor zdjęć. Wygląda na to, że poza gwiazdami – Julianne Moore i Colinem Firthem – byłeś w tym gronie człowiekiem z największym doświadczeniem.

– Tom Ford jako dyrektor kreatywny Gucciego od lat brał udział w kręceniu reklamówek. Musiał myśleć kadrem, światłem. Poza tym zaczynał karierę jako aktor, więc poznał film także od tej strony... **Wydaje się, że to za mało, żeby napisać dobry scenariusz i nakręcić interesujący film, a jednak się udało.**

– Fakt, że Ford sam napisał scenariusz, wydaje mi się absolutnie niezwykle. Oparł go co prawda na książce Christophera Isherwooda, ale była ona jedynie punktem wyjścia. Jest to opowieść o mężczyźnie, którego wieloletni kochanek zginął w wypadku samochodowym. Refleksyjna opowieść o życiu, przemijaniu, pustce, której nie można niczym wypełnić. Wiedząc, że strumień świadomości dobrze sprawdza się w literaturze, ale nie w filmie, Ford w scenariuszu udratyzował akcję. →



ILUSTRACJA EWA HRYNIUK

Zawsze marzył o Hollywood. Impulsem do działania był dla niego Oscar, którego dostał inny polski kompozytor Jan A.P. Kaczmarek. Dziś Korzeniowski mieszka w Los Angeles i zaczyna spełniać swój **american dream**

→ Jego bohater postanawia po-
pełnić samobójstwo. Oglądamy
ostatni dzień jego życia wzboga-
cony o wspomnienia z przeszłości.
Film ma bardzo piękne zdjęcia, ich
tonacja podkreśla nastrój bohatera.
Tom doskonale wiedział, co chce
osiągnąć, i był w stanie bardzo pre-
cyzyjnie określić, czego oczeku-
je od mojej muzyki. Ponieważ łą-
czy nas obsesyjne skupianie się
na szczegółach, praca nie była łat-
wa. Spieraliśmy się często. Ale je-
stem dumny z tego, co powstało.
**W Polsce zdobywał pan nagrody,
pisał muzykę do spektakli tele-
wizyjnych – piękny początek ka-
riery. I w takim momencie paku-
je pan walizki i decyduje się za-
czytać w Stanach od zera jako ni-
komu nieznany kompozytor. Akt
desperacji czy młodzieńcza wia-
ra, że podbije pan świat?**

– Raczej racjonalna kalkulacja.
Wiedziałem, że jeśli zostanę w Pol-
sce, zrobię jeden film na dwa lata.
To za mało, żeby się rozwijać.
Uznałem, że choć w Stanach zaczy-
nam od zera, to i tak w ciągu pięciu
lat uda mi się zrobić więcej filmów
niż w Polsce. Poruszać się po ryn-
ku amerykańskim pomógł mi Jan
A.P. Kaczmarek [zdobywca Oscara
za muzykę do filmu „Marzyciel”
– przyp. red.].

Żeby dostać pierwszy projekt
w Stanach, trzeba mieć agenta.
A agenta zdobywa się z chwilą,
gdy ma się już na koncie pierwszy
projekt w Stanach. Nie wyglądało
to najlepiej.

Zacząłem rozglądać się za agen-
cją, która mogłaby być mną zainte-
resowana. Wybrałem sześć bardzo
dobrych. Wysłałem e-maile z infor-
macją o sobie i pytanie, czy mogę
wysłać demo. Dostałem trzy odpo-
wiedzi, jedną po 15 minutach. Na Wiel-
kanoc pojechalismy z żoną do Kra-
kowa. Nagle brat przynosi mi ko-
mórkę i mówi, że wyświetla się jakiś
dziwny numer z trzynastką na po-
czątku. Wziąłem telefon, ręce mi za-
częły drżeć, bo to nie była trzynast-
ka, tylko +1, czyli Stany. Dzwonili lu-
dzie z agencji, do której uderzałem.
Usłyszałem, że chcą ze mną podpisać
kontrakt i że wybrali mnie spo-
śród 200 chętnych do współpracy
kompozytorów. To była jedna z naj-
szczęśliwszych chwil w moim życiu.
**Otworzyły się wrota do filmowe-
go raj.**

– Tak mi się wydawało. Ale wtedy
właśnie zaczęły się schody. Okazało

się, że aby oficjalnie podjąć pracę,
muszę mieć specjalną wizę. A z ko-
lei żeby ją dostać, muszę zgroma-
dzić kilogramy dokumentów. Trwa-
ło to kilka miesięcy. Raj, który wy-
dawał się w zasięgu ręki, zaczął się
szybko oddalać.

**W końcu jednak wylądował pan
wraz z żoną na lotnisku w Los
Angeles. I co dalej?**

– Nie mieliśmy nic: ani mieszka-
nia, ani zapewnionej pracy. Na dwa
tygodnie przygarnęli nas przyja-
ciele. W tym czasie musieliśmy kupi-
ć samochód i znaleźć mieszkanie.
I znowu zaczęły się schody, bo żeby
wynająć auto i lokum, trzeba mieć
tak zwaną historię kredytową, któ-
ra umożliwia właścicielowi spraw-
dzenie, czy najemca będzie wywią-
zywał się ze swoich płatności. Z gó-
ry byliśmy więc skreśleni. Szczęrze
mówiąc, wyglądało to przerażająco.
W końcu cudem trafiliśmy na wła-
ścicielkę, z którą udało się bezpo-
średnio porozmawiać i wytłuma-
czyć jej, że nie mamy historii kredy-
towej, bo dopiero przyjechalismy.
Mieliśmy oszczędności pozwalają-
ce przetrwać pierwsze pół ro-
ku. Całe nasze wcześniejsze ży-
cie upchnęliśmy w czterech waliz-
kach. Resztę musieliśmy dokupić.
Naszymi ulubionymi sklepami sta-
ły się 99 Cent Store, czyli „wszystko
za 99 centów”.

**Kraków, z którego pan wyjechał,
to w porównaniu z Los Angeles
bezpieczne, przewidywalne pod
każdym względem miasto. Jak
się panu żyje w Mieście Aniołów?**

– Po pierwsze, bardzo spokojnie.
LA to nie Nowy Jork. W Los An-
geles przeważa niska zabudowa,
jest tu czymś oddychać. W Down-
town zabudowanym drapaczami
chmur bywamy z żoną raz do ro-
ku, kiedy musimy załatwić coś
w urzędach. Zresztą LA to nie tyl-
ko przyjazna architektura. Przede
wszystkim to rozbuchana przyro-
da, która wychodzi z każdego za-
kątka miasta. Jest tu całe mnóstwo
dzikich parków, w których czasa-
mi grasują lwy górskie. Teraz, kie-
dy rozmawiamy, u mnie jest dzie-
siąta rano [w Polsce godzina 19 i
minus 10 stopni – przyp. red.],
świeci słońce, jest 20 stopni cie-
pła – piękna wiosna. Za oknem
mam krzew z czerwonymi kwiatami,
latem przylatują kolibry, zaczyna
kwitnąć magnolia. W ogrodzie
mamy drzewka pomarańczowe
i cytrynowe. I przede wszystkim
jest mnóstwo światła, dzięki któ-

remu łatwiej przeżyć trudne chwile. Kiedy porównam
pierwsze pół roku po przenosinach z Krakowa do War-
szawy z pierwszymi miesiącami w Stanach, to mimo
wszystko tutaj łatwiej było to przeżyć. Nie ma, nieste-
ty, takich kamienic jak w Krakowie, ale nie można mieć
wszystkiego.

Czy pańskie pochodzenie to w Hollywood atut?

– Czasami. Miałem parę propozycji pracy przy filmach,
które tematycznie związane były z Europą Wschodnią.
Ich twórcy szukali kogoś, kto przez muzykę oddałby kli-
mat naszej części świata. Z tego klucza, jak podejrze-
wam, dostałem swój pierwszy film, którego akcja toczy
się w Rosji.

**W Stanach większość ludzi skądś przyjechała. Myśli
pan, że pańska muzyka nieuchronnie niesie w sobie
coś polskiego czy wschodnioeuropejskiego?**

– Na pewno od przeciętnego kompozytora amerykań-
skiego różni się tym, że mam zdecydowanie bardziej
klasyczne zamiłowania, na pewno słyszalne w moich
kompozycjach. Co do polskich korzeni w muzyce, to je-
stem przekonany, że one są, ale w jakiś dla mnie nie-
uchwytny, trudny do zdefiniowania sposób.

**W Krakowie studiował pan pod okiem Krzyszto-
fa Pendereckiego. Pań utwór koncertowy był grany
w Niemczech pod jego batutą. Nie żał panu kariery
kompozytora muzyki poważnej? Wojciech Kilar po-
wtarzał, że dobra muzyka filmowa to zbiór temaci-
ków, które można dowolnie kompilować, wymieniać,
przekładać. Im luźniejszą mają kompozycję, tym
szczelniej później przylegają do obrazów.**

– W tej chwili muzyka filmowa jest wszystkim, co chcę
robić. Obraz mnie inspirował, uwielbiam przekładać go
na muzykę. Podnieca mnie świadomość, że to, co napi-
szę jednego dnia, następnego jest już nagrywane. Mówi-
liśmy o swobodzie twórczej. Wbrew pozorom mam
jej więcej jako twórca muzyki filmowej niż koncerto-
wej. Choćby dlatego, że piszę na konkretny skład in-
strumentów i mam pewność, iż tak to zostanie wyko-
nane. W przypadku kompozycji koncertowych pisałem
do szuflady. Utwór leżał w niej krócej lub dłużej, na ogół
do czasu, aż sam zająłem się kwestią, gdzie i za co go wy-
konać. Jak więc mówić o swobodzie, kiedy twórca w Pol-
sce przez większość czasu musi zajmować się rzeczami

Abel Korzeniowski, 37 lat.
Urodził się i studiował w Krakowie.
Jako wyróżniający się uczeń
Krzysztofa Pendereckiego dostał
(i przyjął) propozycję pozostania
na uczelni. Początkowo, by sobie
dorozić, pracę asystenta
w akademii muzycznej łączył
z posadą nocnego stróża w Teatrze
Ludowym. Po nowym wyzwaniu
szybko wyjechał z Krakowa,
najpierw do Warszawy,
później do Los Angeles, gdzie
mieszka i pracuje do dziś.
Śladami innych wielkich
krakusów Zygmunta Koniecznego
i Zbigniewa Preisnera już
na początku kariery poszedł
w stronę muzyki filmowej. Sławę

i deszcz nagród przyniosły mu
ścieżki dźwiękowe do „Dużego
zwierzęcia” i „Pogody na jutro”
Jerzego Stuha, a największym
wyzwaniem było
skomponowanie
na zamówienie festiwalu
Era Nowe Horyzonty
muzyki do niemego
„Metropolis” Fritza Langa
z 1927 roku. Na liście jego
amerykańskich osiągnięć
(kompozycje m.in. do pokazywanej
u nas animacji „Terra 3D” czy
dramatu „Tickling Leo”) pierwsze
miejsce zajmuje jak na razie
ścieżka dźwiękowa do znakomitego
„A Single Man” Toma Forda,
za którą otrzymał nominację
do prestiżowego Złotego Globu.



**Mieliśmy oszczędności pozwalające
przetrwać pierwsze pół roku.
Całe nasze wcześniejsze życie
upchnęliśmy w czterech walizkach. Resztę
musieliśmy dokupić. Naszymi ulubionymi
sklepami stały się 99 Cent Store,
czyli „wszystko za 99 centów”**

ABEL KORZENIOWSKI

pozaartystycznymi? Tym właśnie,
czym powinien zająć się producent
albo menedżer.

Do tego wszystkiego dochodzi
to, że moja praca jest poddana nie-
mał natychmiastowej ocenie wi-
dów. To sprawia, że czuję się tak-
im samym członkiem społeczeń-
stwa jak piekarz, murarz czy fa-
cet, który wylewa asfalt. W Pol-
sce zawsze miałem wrażenie, że to,
co robimy, jest fanaberią, kaprys-
sem, za który na dodatek każe się
płacić innym ludziom. W Stanach
to po prostu biznes jak każdy inny.
Tyle że to słowo znaczy tutaj tro-
chę coś innego niż w naszym kraju,
gdzie ciągle pokutuje przekonanie,
że to coś podejrzanego, że nie stoi
za tym praca, tylko kombinacje.
W Stanach natomiast dobrze pro-
sperujący biznes to wartość, rzecz
godna szacunku.

**W Stanach o wszystkim decydu-
je producent. Nie przeszkadza
to panu?**

– Uważam, że model producenci
obowiązujący w Hollywood jest
lepszy niż europejski. Jeśli reżyser
jednocześnie decyduje o sprawach
artystycznych i producenckich,
to pachnie kłapą.

Trudno zarzucić takim braciom

Coenom brak sukcesu kasowego.
– Mechanizmów rządzących kinem
autorskim nie można przekładać
na cały rynek. Jest jednak coś, co łą-
czy wszystkich amerykańskich fil-
mowców – i tych najwyższej, i tych
średniej, a często i bardzo średniej
klasy. To umiejętność opowiada-
nia historii. Język kina, którym się
posługują, trafia do ludzi na całym
świecie.

**To fakt. Ale w tym mainstreamo-
wym amerykańskim kinie nie
ma szaleństwa, miejsca na odlot,
artystyczne zakręcenie.**

– Nie należy wymagać, aby main-
stream był czymś wybitnym. Nato-
miast jestem przekonany, że main-
stream amerykański jest zdecy-
dowanie lepiej opowiedziany niż
europejski. To baza, od której moż-

na się odbić. Wszystko, co ponad to,
zależy od talentu reżysera. Jeśli są
to bracia Coenowie, to oprócz tego,
że fascynująco opowiedzą historię,
znajdą też miejsce na głębszą re-
fleksję. Przykład? „To nie jest kraj
dla starych ludzi”. Widzowie do-
stali wielopoziomową układankę
i od nich zależało, na którym pię-
trze się zatrzymają. Nawet jeśli był
to poziom pierwszy, czyli historia,
i tak mieli z tego frajdę.

**Ale jak pan się czuje w tym świe-
cie? Jest pan artystą czy rze-
mieśnikiem do wynajęcia, któ-
ry będzie się starał dogodzić zle-
ceniodawcy, nawet jeśli oznacza
to robienie czegoś wbrew sobie?**

– Miałem szczęście, bo wszystkie
filmy, przy których pracowałem,
były wyzwaniem artystycznym.
Wbrew pozorom mniejszym kłopotem
są dla mnie krytyczne uwagi
producenta. Dużo ostrzejszym
cenzorem jestem ja sam. Gdybym
miał w jednym zdaniu opisać swój
warsztat, powiedziałbym, że po-
lega on głównie na wyrzucaniu
większości pomysłów do kosza.
Moja żona, która też jest muzykiem
i z którą od początku swojej karie-
ry współpracuję, bardzo surowo
ocenia to, co napiszę. Nie przepu-
ści niczego, co choćby w minimal-
nym stopniu odbiega od założonego
celu. Oczywiście później moją
muzykę oceniają reżyser i produ-
cent. I nie będę udawał, że z przy-
jemnością słucham krytyki. Ale nie
uważam, żeby swoboda twórcza
była gwarantem jakości. Lubię po-
wiedzenie Strawińskiego, że kiedy
artysta ma skrupowane ręce i mu-
si boksować się z narzuconymi
mu ograniczeniami, wyzwała się
w nim większa kreatywność. Mnie
osobiście bardzo trudno odnaleźć
się w sytuacji całkowitej artystycz-
nej swobody, kiedy nikt mnie nie
rozlicza z tego, co napiszę. Miałem
z tym problem, kiedy pisałem mu-
zykę koncertową. Mogłem obro-
nić wszystko, bo utwór był auto-
nomiczną całością. Słowami: „Tak

chciałem”, mogłem uciąć każdą dyskusję. W pisaniu
muzyki filmowej fascynujące jest to, że sprawdzian jest
niemał natychmiastowy, a kryteria oceny przejrzyste.
Albo muzyka współgra z obrazem, albo nie. Ostatecz-
nym i najważniejszym dla mnie kryterium są odczucia
widzów.

**Czyli nie zamierza pan zamknąć się w niszy kina ar-
tystycznego? Gdyby zadzwonili producenci „Avata-
ra”, nie wahałby się pan, co im odpowiedzieć?**

– Ani przez chwilę. Ale to oczywiście ciągle poza mo-
im zasięgiem. Miałem okazję być na kilku sesjach na-
graniowych do „Avatara”. Poznałem kompozytora
Jamesa Hornera, który jest absolutną gwiazdą. Uda-
ło mi się z nim dłuższą chwilę porozmawiać. Z wiel-
ką radością stwierdziłem, że produkcja przy moich na-
graniach niewiele się różni od tego, jak pracuje Hor-
ner. Nagrywamy w studiach o podobnym poziomie. On
w Foksie, ja w Warner Bros. Korzystamy z tych samych
muzyków. W Stanach zresztą tak zwany przeciętny mu-
zyk jest często na poziomie najlepszych polskich wyko-
nawców. Podejrzewam, że średnia hollywoodzka orkie-
stra bije na głowę cenione europejskie składy. Decyduje
o tym wiele rzeczy: etos pracy, warsztat, najwyższej ja-
kości instrumenty, które pozwalają na uzyskanie szla-
chetniejszego brzmienia. Do superprodukcji pisze się
na duże składy, a dla mnie orkiestra jest czymś najwa-
żniejszym.

**W filmie, który zresztą mnie zaczerpował na ta-
ki dziecięcy, baśniowy sposób, muzyka brzmi zbyt
gładko. Jest to wysokiej klasy, ale jednak konfekcja.**

– Nie widziałem jeszcze „Avatara”, ale podczas nagrań
byłem zachwycony tą muzyką. Jednak potem, kiedy
zmiksowano ją w album, została za bardzo wyczyszczona.
Dusza uleciała.

**Czyli wychodzi na moje. Producent musi mieć to-
war na wysoki połysk, bo to gwarantuje masową
sprzedaż.**

– Przy produkcjach rzędu 400 milionów dolarów (ty-
le kosztował „Avatar”) ciśnienie ze strony producenta
jest ogromne. Ale ta kategoria filmów rządzi się swoimi
prawami.

**Jaka muzyka filmowa jest dziś modna? Co się dobrze
sprzedaje?**

– To idzie falami. Dziś ogromny wpływ na muzykę
ma rozwój technologii. Twórcy fascynują się nowymi
narzędziami, którymi jeszcze nie bardzo umieją się po-
sługiwać. Stąd często wrażenie, że pod rozdmuchaną
formą nie kryje się żadna wartość. Od kilku lat w muzy-
ce filmowej zanika melodia, co jest zjawiskiem dla mnie
bolesnym. Nie ma już takich wyrazistych muzycznych
tematów, jakie stworzył na przykład Nino Rota w „Ojcu
chrzestnym”. Aż trudno sobie wyobrazić ten film bez je-
go muzyki. Ja chcę iść pod prąd i komponować zapada-
jące w pamięć tematy. Chciałbym, żeby ten sposób po-
dejścia do muzyki filmowej stał się moim znakiem roz-
poznawczym.

**Co jest dla pana przykładem idealnej muzyki
filmowej?**

– Jest tego trochę, ale gdybym miał wybrać jedną rzecz,
wskazałbym muzykę do filmu „Piękny umysł”. Marzę,
żeby kiedyś udało mi się napisać coś lepszego. □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

OTWÓRZ
oczy

Bez tytułu (między) po raz pierwszy zainscenizowano w 1977 roku w Galerii Foksal

STANISŁAW DRÓŻDŻA CZARNO-BIAŁE ZNAKI

POJĘCIOKSZAŁTY MARCIN SENDECKI

W dziele Stanisława Dróżdża prostota jest wyrafinowaniem

Pozegnajcie się z innymi kolorami, którzy wchodzą w ten świat – chyba że wnieście je ze sobą. Dróżdż jest biały i czarny, niekiedy pojawiają się drobne szarości. Jedyń innokolorowy akcent – zielone sukno bilardowego stołu – widzimy w filmie ukazującym polski pawilon z weneckiego biennale anno 2003. Stół stoi w pomieszczeniu, którego ściany wyłożono kośćmi do gry tak, by uzyskać wszystkie możliwe (czyli 46 656) układy po rzucie sześcioma z nich.

Nie będzie też zdań (poza tymi, które przyjdą wam do głowy, i bardzo wczesnym wierszem na planszy), choć Stanisław Dróżdż w latach 60. zaczął karierę jako poeta i za poetę (poetę konkretnego, a więc odwołującego się do materialności słów, ich układu i zapisu) do końca się uważał. Nie będzie zdań, bo „słowa nie kłamią, a zdania kłamią. Słowo nie może kłamać” – mówił w jednym z wywiadów. Operował zatem głównie pojedynczymi wyrazami i niewielkimi zespołami słów, cyframi, znakami interpunkcyjnymi, figurami geometrycznymi, niekiedy przedmiotami – jak żyłki, z których splótł (wypełniając całe pomieszczenie, do którego można tylko zajrzeć) niesamowitą gęstwinę nazwaną właśnie „Poezją konkretną” – zegarami, wreszcie wspomnianymi kostkami do gry. Tylko tyle i aż tyle, bo dzięki masywnej retrospektywie artysty można przekonać się dobitnie, że formalne samoograniczenie się, konsekwencja w stosowaniu dość wąskiego i w zasadzie ubogiego zestawu środków nie przełożyły się na powtarzalność i wyjałowienie tej sztuki. Dróżdż trzymający



Stanisław Dróżdż zmarł w marcu 2009 roku, na kilka miesięcy przed otwarciem wystawy mającej uczcić jego 70-lecie

się swych założeń przez kilkadziesiąt lat w niemal każdej pracy zadziwiał inwencją. Wykorzystywał ją dla wciąż ponawianego badania paru podstawowych motywów: granic egzystencji i poznania, świata jako tekstu, początku i końca (oraz tego, co przed początkiem i po końcu), powtórzeń i różnicy, ciągłości i nieciągłości, wagi przyimków i spójników, tych niewielkich: „po”, „za”, „przed”, „do”, „od”, „i”, „lub”, które wbrew pozorom tak istotnie opisują nasze relacje ze światem. Przy wszystkich innowacyjnych różnicach wspólne jest zaś to, że prace Dróżdża nie kończą się ani nie zaczynają, lecz na chwilę wynurzają się z czerni lub z biele, by nie zdefiniowawszy ostatecznie swojego znaczenia i konturu, rozproszyć się ponownie w mroku lub jasności” – pisał Tadeusz Ślawek, jeden z jego najwytrwalszych i najprzenikliwszych komentatorów.

Ważne jest wszakże i to, że Dróżdż – przez doniosłość swych tematów i ascetyczne rozbuchanie ich realizacji – jakby stworzony dla interpretatorów objaśniających go na różne sposoby głębinowymi esejami jest niezwykle komunikatywny i potrafi fascynować samą „fakturą” dzieła. Można je sobie na różne sposoby „tłumaczyć”, ale przede wszystkim chce się z nim być i smakować szlachetny, minimalistyczny patos.

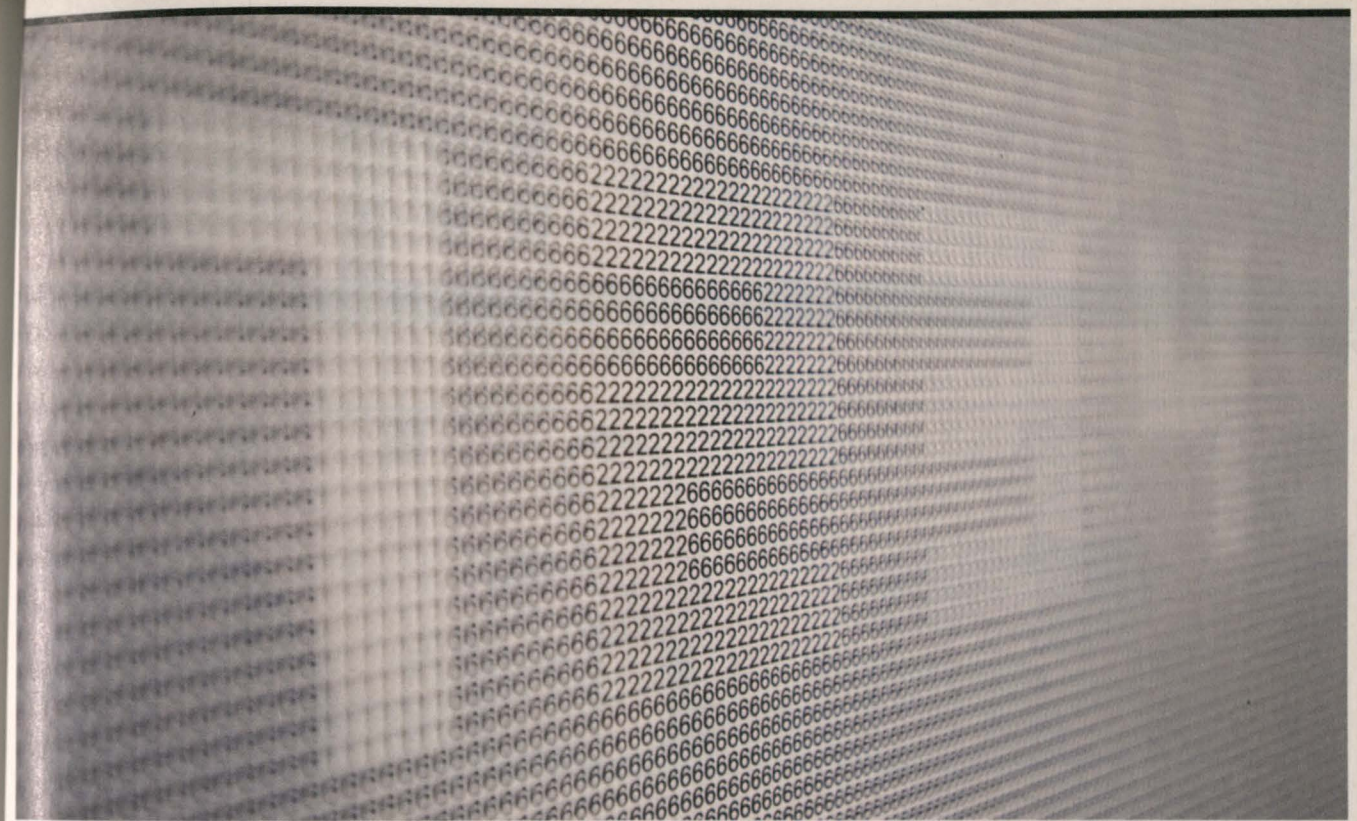
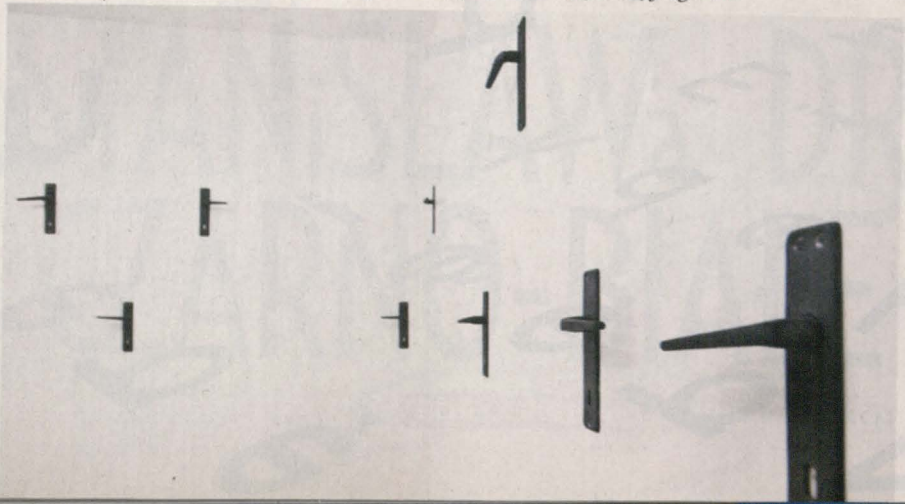
Trzeba jednak dodać najważniejsze: wielkości Dróżdża nie da się opowiedzieć. Fotografii jego prac dają tylko ich błady posmak, bo rzecz trzeba przyjąć w skali, którą proponował artysta. Trzeba więc wejść samemu do pomieszczenia wyklejonego słowem „między” i trochę się w nie zapaść, by dostrzec na przykład to, jak litery przepoczwarzają się w inne litery, znaki i obrazy. Trzeba fizycznie doświadczyć całej 54-planszowej serii „klepsydr” ułożonych z „było”, „jest” i „będzie”. Trzeba na całosciennych ciągach splatających się z sobą „do” i „od” popatrzeć, zbliżając się i oddalając, pod różnym kątem – by za każdym razem zaznać czegoś nowego. Można na reprodukcji oglądać, jak w sławnej pracy z roku 1967 białe słowo „zapominanie”, tracąc po jednej literze, zstępuje w dół strony, aż zostanie zeń samo „z” (albo „n”), a potem pojawi się ostateczna kropka – i widzieć, jak z „zapominania” wydobywają się „za”, „po”, „mi”, „na”, „ani”, „nie”, „mina” i co tam jeszcze – ale naprawdę trzeba zobaczyć dzieło z bliska, by doświadczyć jego szczególnej hipnotyczności i iluzji zasysania przez czarną dziurę planszy.

To jest/będzie/było niezapomniane. □

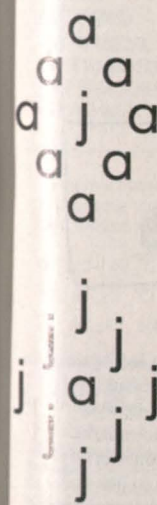
Stanisław Dróżdż: „początek i koniec Pojęciokształty. Poezja konkretna. Prace z lat 1967–2007”, kurator Elżbieta Łubowicz, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie, do 21 lutego. Potem wystawa trafi jeszcze do BWA w Katowicach i GCK tamże



Na ścianie z lewej **Klepsydra (było, jest, będzie)**, 54 plansze, 1967–1990. Poniżej: **Bez tytułu (klamki)**, pomieszczenie, 1999, fragment

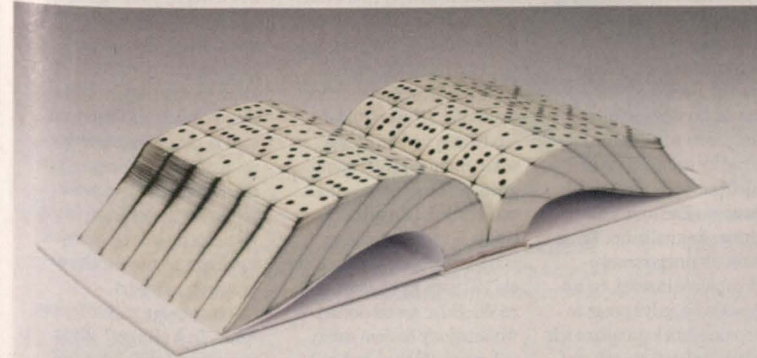
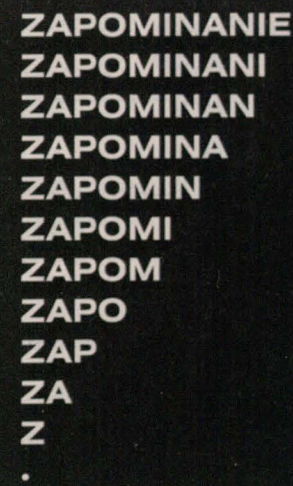


Fragment 12-planszowej pracy **Bez tytułu (teksty cyfrowe)** z 1974 roku

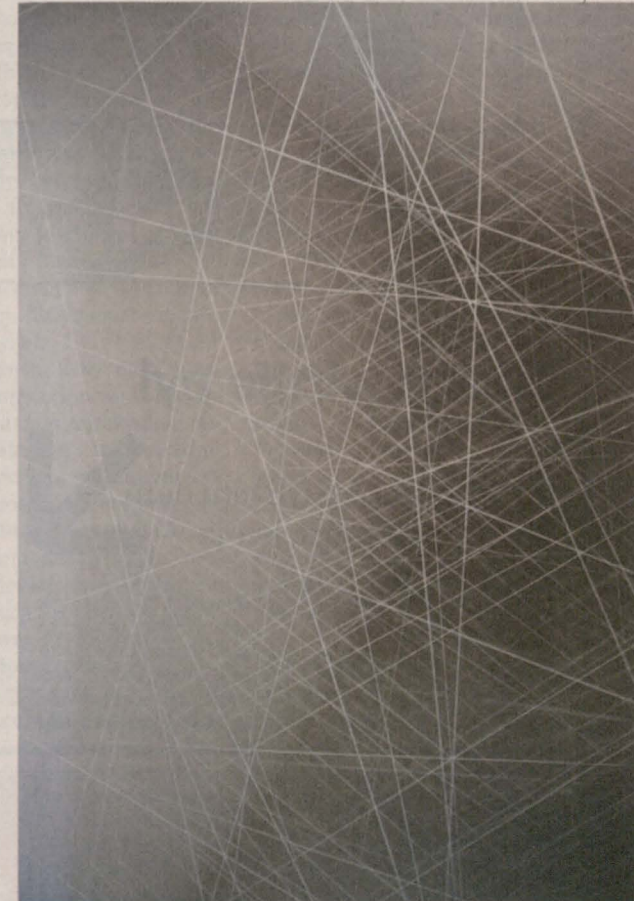


Sztandarowe Zapominanie z roku 1967

Dwuplanszowe Bez tytułu (ja) pochodzi z 1998 roku



Jedna z sześciu książek składających się na alternatywną realizację **Alea iact est** z weneckiego biennale 2003



Poezję konkretną (żyłki), pomieszczenie, po raz pierwszy zrealizowano w Galerii Foksal w Warszawie w 2002 roku

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

PAN SZARY O TYM, KTO Z NIEJEDNEGO PIECA DANIA WYCIAGAŁ (REEMIGRANT), KRZYŻÓWKA O TYM, KTO Z NIEJEDNEGO PIECA CHLEB JADE (ZDUN), A ŁADNE RZECZY O TYM, CO WCALE NIE POTRZEBUJE NIEJEDNEGO PIECA, BY BYŁO SMACZNE (PRZETWORY)

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Idź na jakość, czyli tam dom twój, gdzie praca twoja

ZACHĘTY NATARŁY Z TRZECH stron. Najpierw premier obiecał drugą Irlandię, co mogłoby zachęcić do powrotu chyba tylko ludzi, którzy nie mieli na studiach logiki. No bo po co przyjeżdżać do drugiej, a więc gorszej, skoro można zostać w pierwszej, a więc lepszej? Potem do nawrócenia na ścieżkę ojczyzny wzywali z ambon księża, lecz nie wiadomo, jaka troska marszczyła ich czoła – bojaźń o porzucenie przez rodziców na dziadkowo-bab-

cinej przyzbie dzieci czy może o nagle prześwity na zapelnionych dotychczas kościelnych ławach? Kropkę nad „i” postawiły działy promocji polskich miast i regionów przekonujące, że tylko u nich warto studiować, pracować i żyć; nie wiadomo tylko, gdzie miałyby się umrzeć, bo przyszłych nieboszczyków żadna kraina przyjąć nie chciała. Stąd billboardy bijące po oczach kolorami optymizmu i hasłami typu „Radosny Radom”, jakby nikt nie wiedział,

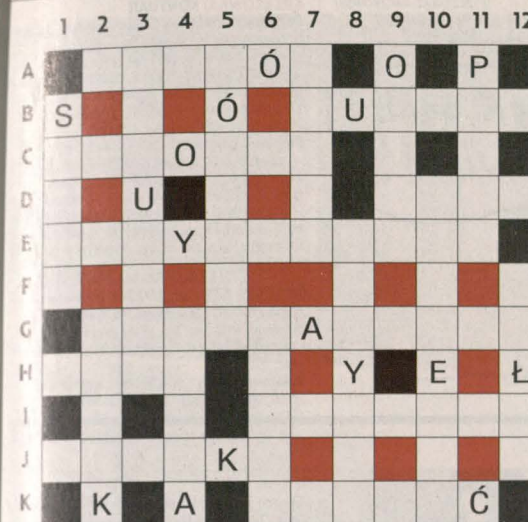
że Radom nawet o poranku nie jest symfonią. Ci, którzy uwierzyli, gdzie wypatrywali drogi? Tak jak kiedyś wilki morskie prowadziła latarnia, a szczury lądowe – z daleka widoczna szpica katedry, tak teraz w oddali emigrantom majaczyła żółta litera M – wetknięta na pal niczym Azja Tuhajbejowicz – niepokonana, bo wciąż dumna. I tam zaszli pewnego dnia Szarzy, by sobie przypomnieć pierwszy w życiu kęs zepsutego Zachodu i dorodnego kapitalizmu. Teraz kęs tego samego smakował zupełnie inaczej, co ich nie zdziwiło, gdyż przez te wszystkie lata kapitalizm ich zepsuł – aż stali się tak syści i dorodni, jak cały Zachód. Lecz przecież nie ten kęs stał

się prawdziwym obiektem ich obserwacji, lecz ci, którzy cudem powrócili na ojczyznę łono. Anna-dwa-fakultety-i-trzy-języki, porzuciwszy Holandię, stoi teraz w fartuszkach, prawie jak prawdziwa Holenderka, a jej twarz jest ułożona w formułkę: W czym mogę pomóc? Gdy Szarzy pyta, czym różni się McRoyał od WieśMaca, Anna – choć ma w ofercie tylko 10 dań – odwraca szybko głowę w kierunku podświetlanego menu i rozpoczyna grę pod tytułem „Znajdź dowolną liczbę szczegółów, jakimi różnią się te dwa zdjęcia”. Z rzutu jej oka wynika, że WieśMac został dodatkowo umajony liściem sałaty. – A czy w obydwu jest wołowina? – dąży Szary, przecież nie po, by pogryźć niedaw-

ną Holenderkę, lecz by się po prostu dowiedzieć, czy w środku bułki nie wylądowała jakaś holenderka. Potem Szara zamawia lody bez polewy, na co Irek-inżynier-informatyk (zawrócony z Norwegii) pyta: Ale bez jakiej polewy? Karmelowej czy malinowej? Jest jeszcze Kinga-pielegniarka (Niemcy), która niczym sępica czeka przy koszarach, aż Szarzy odstawią tace. Kinga porównuje i natychmiast biegnie z nimi na zaplecze, być może wyobrażając sobie, że właśnie wkracza na salę operacyjną z pełnym zestawem chirurgicznych narzędzi. Co teraz mogą zrobić Szarzy, Anna, Irek i Kinga? Mogą pociągnąć (pull) lub pchać (push). I wyjść. Albo wyjechać. To mogą zawsze.

JOLKA NR 3

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

11-LITEROWE:

• PODWODNA FILIA
• PELIKANA • CECHA
• MUCHY

WYRAZY

8-LITEROWE:

• ZBIERACZ
• ŚLIW • HORROR
• W POLEROWNI

WYRAZY

7-LITEROWE:

• MA PODZIELNĄ
• LICZBĘ WARKOCZY
• POD PODKUCHENNĄ
• SWINKI JAK

PRZECINKI • LUP

STORY

WYRAZY

6-LITEROWE:

• NARĘCZE LASERA
• ZGADAŁO MU
• SIĘ Z WRZEŚNIĄ
• O DZIECIACH • NA ZAB
• NA FRONT • STAW NA
• GRANICY ROBOTY

WYRAZY

5-LITEROWE:

• NIE KOJARZ
• GO Z JAPONKĄ
• ŻARARAKA
• Z MATPLANETY

• CIASNY, ALE

KULINARNY • NIE

PO DRODZE MU

Z MISS FITNESS

• WCZEŚNIEJ NIŻ

OGARY POSZŁY W LAS

• W POŁODOWCOWEJ

GŁOWIE • CHWYT

PONIŻEJ BAJKI

• CZARNE

W MOKASYNACH

WYRAZY

4-LITEROWE:

• KÓŁKO NA FOTELACH

• TA ALBO TAMTA

– BYĆ ALBO NIE BYĆ

CHLEBA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

F7_D10_K9_I2_E3_F5_D7_C9_G9_B11_H1_J1_D12_G12_I6_B9_J8_E5_K7_F10_J2_C6_C11_C2_G11_B10_I10_J3_F12_H2_D9_A7_F3_H4_C1_E6_G6_I4_G5_C3_K6_A4_E8_J10_

LAUREACI Z NR. 50

KRZYŻÓWKA:

Uliana Bauman, Mława; Dariusz Fulejko, Nowogard; Ewa Pecold, Łódź; Grzegorz Stokowski, Bożepole Wielkie; Janusz Wasilewski, Łódź

JOLKA:

Bernard Chmiel, Kargowa; Zofia Dudziak, Lubsko; Maria Kuczyńska, Gryfice; Elżbieta Wawrzynkiewicz, Nowe Sarnowo; Adam Wnęk, Olsztyn

CIACHO, CZYLI PRZYCZYNY PORĄŻKI

WYSTĘPUJĄ:

REŻYSER ORAZ AKTORZY

MIEJSCE: plan filmu.

CZAS: mniej więcej rok temu.

REŻYSER (z przejęciem):

...No więc ja bardzo proszę, żeby mi się nie śmiać na planie. Jak się ekipa za dobrze bawi podczas kręcenia, to potem nikt nie bawi się w kinie. Więc dla dobra filmu nie śmiejemy się. Zrozumiano?

AKTORZY (chórem):

Bua cha, cha!!!

KURTYNA zapada w kamiennej ciszy.

Kino-
teatryk
PRZEMKA
JURKA

Konstytucję piszę Wymyślanie nowej konstytucji jest przyjemnością, a nie można sobie wszystkiego w życiu odmawiać

ROMAN KURKIEWICZ



ZORIENTOWAŁEM SIĘ, ŻE JEST CZAS pisanie konstytucji, że nowa konstytucja jest niezbędna, że pisać wszyscy, że nowe ukonstytuowanie się jest po prostu koniecznością.

Moja konstytucja będzie krótka. Krótka konstytucja ma takie zalety, że chociażby nie jest za długa. Za długa konstytucja jest trudna do przeczytania, ponieważ długo się czyta długą konstytucję, a jak wiadomo z badań, rodacy nie czytają nawet krótkich tekstów. Konstytucja nieprzeczytana pozostaje zatem konstytucją nieprzyswojoną, niezaprzężoną, powiedzmy mocniej: staje się konstytucją obcą. Na co nam konstytucja obca?

Moja konstytucja będzie więc miała konsystencję lekką, powabną, chciałbym, żeby była naznaczona krotkością wręcz, żeby nie wspierała się na tysiącach filarów prawnych, chciałbym, żeby były w niej różne „wyrazy” (pisał już o tych wyrazach onegdaj Sławomir Mrożek, o tych brakujących mu wyrazach, które są wszędzie oprócz konstytucji. To się musi zmienić. Ja to zmienię).

Chciałbym, żeby moja ustawa zasadnicza (inaczej konstytucja) wykluczała zajmowanie pozycji zasadniczej i żeby zasadniczo nie była taka zasadnicza. Jednym ze sposobów, żeby osiągnąć ten cel, jest jej płynność. Chciałbym, żeby można było ją redagować i zmieniać, żeby pozbyć się z konstytucji tego balastu stabilności, powagi wymieszanej z patosem i odpowiedzialnością.

Chciałbym, żeby moja konstytucja była rozumiana przez 10-let-

nie dzieci (albo nawet młodsze!), żeby była żywa, pulsująca i nieopublikowana w „Monitorze Polskim”, żeby zabijały się o publikację najlepsze polskie gazety, w tym tygodniki (tu „Przekrój” niewątpliwie będzie miał chwilową przewagę). Nie będę ukrywał, że jako autor programu radiowego o książkach żywię nadzieję, że właściwie moja konstytucja będzie miała formę pięknie edytorsko wydanej książeczki. Jestem zresztą gotów ją ciepło omówić w swoim programie. Nie ma co się silić na iluzoryczną obiektywność. Będziemy mówić dobrze o mojej konstytucji i źle o innych.

Moja konstytucja będzie miała kolory (uciekamy od totalizmu dwóch barw) i wszystkie kolory będą wówczas pod konstytucyjną ochroną. I zlikwidujemy armię, a powołamy armię ratowniczą, dywizję szybkiego ratowania. I jednak postawimy na czytanie, słuchanie, nicnierobienie, uśmiechanie.

Powie ktoś, że to utopijne, nie-realne, lekkoduchowe, oderwane, niekonkretne i górnotłone. Być może. Ale kiedy w dzisiejszej konstytucji, konkretnie w rozdziale II, artykule 32, czytamy: „Wszyscy są wobec prawa równi. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne. Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyn”, to co ja czytuję? Właściwie widzę, że obecna konstytucja jest już bardzo żartobliwa. Eeee... to może nie będę jednak pisał tej swojej. Wracam do lektury.

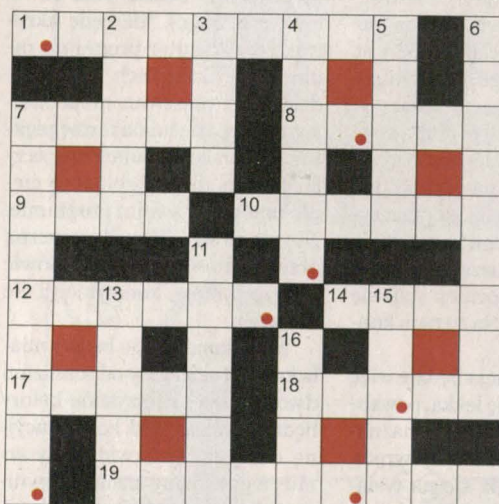
MYŚLNİK

Drogi krzyżowe są jednokierunkowe.

Krzysztof Bilica



KRZYŻÓWKA NR 3



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest stereo.pl – www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. CELOWNIK KARABINOWI
7. LORD WIADER
8. BOCIANIE GNIAZDO ORŁA
9. SKOK W TYŁ
10. KŁADZIONA NA TALERZ
12. 0,5 ZŁ
14. Z NIEJEDNEGO PIECA CHLEB JADŁ
17. BABSKIE JADŁO
18. GUZIK Z TEGO MASZ
19. MOTYLKI NA TORACH

PIONOWO:

2. W PIŁCE
3. WIELKI FUTBOL
4. MEDALOWE MIEJSCE
5. SMACZNY NIEWYPAL
6. ODBIJANY
7. NA MUNIU GRZYBA
11. POROZUMIENIA
13. KRZYWY NA RYJ
15. PERS BEZ OGONA
16. KARLOWE WARY



stereo.pl

ROZWIĄZANIA Z NR. 1

KRZYŻÓWKA: KONTUAR

Poziomo: 4. ZAKŁADANY NA JEDNO KOPYTO – UNIFORMA
5. TAM SPRZEDAJE DILER – SALON 7. OGLĄDA CIE ZA LASKAMI – DZIADEK 8. GÓWNIANE LINIE LOTNICZE – MUCHA 9. ŚLUB BEZ WESELA – CELBAT 12. OSTATNIA ŁADA RATUNKU – LOMBARD 16. BUDA ASA – PEKAW 17. O PORZE – WĄŻYWO 18. WIELOKROPEK – PIEGI 19. PRAŻY SIĘ W SPÓDNIACH – SZTRUKS
Pionowo: 1. UKOCHANE DZIECKO DOBROCHYNNICZ – FUNDACJA 2. DO ROBIENIA ZAPASÓW – KISIEL 3. PARA RAK – KRZEPA 5. KRÓLICEK PLAYBOYA – SYMIOŁ 6. PRZED UNIWERSYTETEM IM. MIKOŁAJA KOPERNIKA – LICEUM 10. NA BANK SIĘ UPUEŚC – BANKIET 11. PSI PSI – TRAWNIK 13. ZAKONNIK POŁOWY – ORACIE 14. PLAC NA SPRZEDAŻ – BAZAR 15. SŁODKI WALCZYK – DROPS

JOLKA: CZY UBRANKO MA I BUTKI NOWY RÓCZEK? CZY GOLUTKI? (z „Nowego toasty 65/66” Jeremiego Przybory)

Rzędami: WYŁĄCZNIK, LEKI, NIBY-PRAÇA, STOS, GRZĘZAWISKO, DEKO, KORT, UNIWERSYJADA, PASY, FENOMEN, UPAL, TELEWIZOR

Kolumnami: DUBELT, RENTGEN, ORKI, WINSZOWANIE, ŁOBUZ, SKECZ, ZERWIKAPTUR, SODA, KRAŚNAL, KŁAWOT

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 40

Wygraj jedną z 10 płyt Gaby Kulki „Hut, Rabbit” (Digipack). Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa z dopiskiem: „jolka 3” lub „krzyżówka 3”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 25 stycznia 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stałego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



Ekologiczne torby na zakupy mają sens, gdy pamiętamy o zabranianiu ich do sklepu. „Taśka” eliminuje pamięć, bo siatki są doszyte do bluzu

Nowe (u)życie

Czyli reinkarnacja wzornicza

CHOĆ ODDZIELANIE PLASTIKU OD PAPIERU to czynność należąca do dobrego (ekologicznego) tonu, pod względem estetycznym jest nieciekawa. Wygląd osiedlowych kontenerów na posortowane śmieci w ogóle lepiej przemilczeć. Co innego działalność zebrana pod hasłem „Przetwory”. Tutaj pomysłowi projektanci zamieniają zużyte, niepotrzebne przedmioty w designerskie cacka. Stary obrus z plastiku powraca jako płaszcz przeciwdeszczowy – chyba bardzo dobrze nakrywał stół, bo w nowym wcieleniu tandeta jego formy i konsystencji znika. Jeśli chcecie na własne oczy zobaczyć, jak wyglądają przedmioty po twórczym zmartwychwstaniu, śpieszcie się. Wystawa „Przetwory_4” przy ulicy Mokotowskiej 65 w Warszawie trwa tylko do końca stycznia.



Poligon doświadczalny i od razu sukces. Oto najlepszy „Przetwór” 2009: stojak na wina autorstwa grupy projektowej Polygon. W butelce – przetworzona zatyczka

ŁADNE RZECZY!

Grupa Polisz Dizajn przetwarza nie tylko fonetycznie. Poprawiają i recyklingują stare meble. Poniższy fotel to przykład tzw. nurtu wygodnickiego w ich twórczości



Życie uliczne jest fascynujące. Żaden reżyser filmowy nie wymyśliłby takich scen

ROBERT DOISNEAU

negatywów pokazywane jest w formie książek, plakatów i wystaw. Fotograf staje się międzynarodową gwiazdą. Największym hitem okazuje się kadr przedstawiający całującą się przed ratuszem parę.

W 1988 roku do Doisneau zgłaszają się państwo Denise i Jean-Louis Leverne z podparyskiego Ivry. Mówią, że do najsłynniejszego zdjęcia pozwali fotografowi jako aktorzy. „Przed ratuszem całowaliśmy się trzy razy, później raz na Rue de Rivoli i jeszcze raz na placu Concorde” – wspominają. Twierdzą też, że nie otrzymali za występ honorarium, żądają więc 90 tysięcy dolarów zadośćuczynienia. W ramach obrony fotograf przyznaje się do ustawienia kadru, ale mówi, że pozowała mu inna para. Françoise Bornet (na zdjęciu obok) i Jacques Carteaud potwierdzają, że otrzymali za swoją pracę symboliczne pieniądze, a po publikacji w „Life” – autorskie odbitki. Choć zdjęcie być może nie jest więc nieskazitelne od strony intencji, jakimś cudem nie traci uroku. Ani wartości. W 2005 roku pani Bornet sprzedaje swoją odbitkę za 155 tysięcy euro.



KUBA DĄBROWSKI

Kochankowie jak prawdziwi

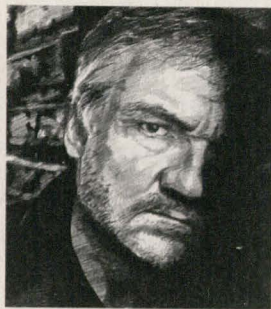
Pokazał Ameryce, jak się całuje po francusku, a paryżanom – jak wyglądało ich miasto

ROBERTA DOISNEAU WYRZUCAJĄ Z PRACY W PARYSKIEJ fabryce Renault w roku 1939. Zwolnienie nie ma jednak związku z wojną. Doisneau po prostu notorycznie się spóźnia. Posada fotografa przemysłowego i tak nie jest spełnieniem jego artystycznych ambicji. Dopiero jako bezrobotny, wolny człowiek postanawia realizować swoje marzenia. Pracuje nad modym i portretowym portfolio, robi pocztówki, które później własnym sumptem wydaje. Lepiej lub gorzej, ale sobie radzi. W stolicy mody współpracuje z „Vogue”, czasem robi reportaże dla innych gazet. W 1950 roku dla amerykańskiego „Life’a” fotografuje Paryż jako miasto kochanków: młode pary całują się na ulicach (w purytańskiej Ameryce to było

nie do pomyślenia). Zdjęcia wpisują się w promowany przez hollywoodzkie filmy mit stolicy miłości. Doisneau w ogóle lubuje się w zmitologizowanym obrazie swojego miasta. W czasie wolnym z roliflexem na szyi przemierza malownicze uliczki i robotnicze przedmieścia, fotografuje ludzką menażerię. Bawiące się dzieci, straganiarze, Cyganki, szykownych kelnerów i muzykantów...

Zdjęcia pozwalają mu się utrzymać, ale sława przychodzi z opóźnieniem, w latach 70. Paryż nie ma już wtedy wiele wspólnego z romantycznym obrazkiem, jest po prostu nowoczesną metropolią. Fotografie Doisneau stają się więc potrzebna wszystkim pamiątką ze starych, dobrych czasów. Archiwum 40 tysięcy (!)





Całymi latami marzyłem o byciu literackim urzędnikiem, a przyrosła mi cyganeryjna gęba lekkoducha, bankietowicza i Bóg wie kogo. Stary refren: każdemu to, na czym mu najmniej zależy

JERZY PILCH

5 STYCZNIA

MOJE PORANKI SĄ PRZERAŻLIWSZE niż wasze noce, a miało być inaczej. Kalendarz znów wisi w innym miejscu, widmowy kołowrotek obraca się od ładnych paru dni. Podobno Ludwig Wittgenstein pytany przez gośpodynię, u której wynajął kwatere, jakiego rodzaju posiłków sobie życzy, odparł: Wszystko jedno co, byle zawsze to samo. Otóż dla mnie jest to matka wszystkich porzekadeł, aforyzm aforyzmów, bezcenna wskazówka i nigdy niespełnione marzenie. Obecnie też jedyne mi znane i jedyne dla mnie zrozumiałe zdanie Wittgensteina.

Nie zawsze tak było. Dwa, a może trzy lata temu nie bez konsternacji odkryłem w domowej bibliotece egzemplarz „Traktatu logiczno-filozoficznego”, pierwsze polskie wydanie z roku 1970. Już sam fakt, że książkę tę wtedy kupiłem, jest dziwny, dalej jeszcze większa makabra – otóż kartkując, uświadomiłem sobie, że musiałem wówczas rzecz od dechy do dechy przeczytać, i to – o zgrozo zupełna – nie tylko z pełnym zrozumieniem, ale i z ostrym polemicznym nastawieniem – książka roi się od buńczucznych podkreśleń, wykrzykników, znaków zapytania, licznych to pochwalnych, to kąśliwych, zawsze pełnych najwyższego merytoryzmu uwag na marginesie – dajcie spokój. Kołakowski z niepokojem wyznawał, że w sumie nie bardzo wie, o co temu filozofowi chodzi – ja w wieku 19 lat nie tylko wiedziałem, ale do napisania jakiegoś, bo ja wiem, „Anty-Wittgensteina” byłem wręcz gotów. Ach młodość! Co to jest młodość? To jest stan, w którym człowiek jest pewien, że rozumie Wittgensteina. Jeśli da się z tamtych przygód tego rodzaju definicję wysnuć – i tak pół biedy.

Natomiast żeby zawsze było tak samo, może niekoniecznie wszystko jedno jak tak samo, ale żeby zawsze w określony, a nawet w określone identyczny sposób było tak sa-

mo – to jest mój egzystencjalny ideał, to jest w moim najgłębszym przekonaniu jedyny sposób na życie, na grzęznięcie życia, na przetrwanie.

7 STYCZNIA

ŻEBY ZAWSZE BYŁO TAK SAMO, ALE, broń Boże, nie w sensie, żeby zawsze trwało jakieś uniesienie, wzlot, ekscytacja, upojenie czy inny orgazm wieki. Żeby zawsze było tak samo – szczerze mówiąc – umiarkowanie. Żeby zawsze rano pić kawę z tej samej filiżanki, po południu w tej samej kawiarni, żeby, tak jak czyni to zdecydowana większość ludzkości, w nocy spać, w dzień pracować; żeby określoną ilość godzin pisać, określoną czytać, żeby regularnie chodzić do kina i na mecze; żeby początek „Faktów” o 19 to była święta godzina – początek zawsze takiego samego wieczoru, żeby – poza tym, że latem zawsze w to samo miejsce i na tak samo długo – nigdzie nie wyjeżdżać, w ogóle – błagam – żadnych podróży; też żadnych arcyważnych spotkań na mieście. Niedziele i w ogóle wszystkie święta zmieniające rytm czasu są, rzecz jasna, zbyteczne, ileż człowiek sił traci, by przetrwać takie – dajmy na to – Boże Narodzenie? Zwłaszcza w tych czasach?

Oczywiście wielkie marzenie o niezmienności, o nieruszaniu się z miejsca nie jest marzeniem całego mojego życia – być może podskórnie czy podświadomie zawsze byłem takim głodem naznaczony – ale wyraziście wyszło to na wierzch, a potem stało się obsesją od chwili, gdy na serio zająłem się układaniem zdań.

Czyli rada Flauberta: „Prowadź życie stateczne i ułożone, byś mógł być twórczym i oryginalnym w pracy”, odegrała pewną rolę, dołączyła do nauki Wittgensteina? Niewątpliwie pasują do siebie te frazy. Jest w nich – warto zauważyć – pewna pycha – wszystko jedno jak, bez niestatecznych przygód, z codzienną żyjącą monotonią, bez szukania wrażeń ja i tak – powiada twórca – nie

zglebię głębi mego mózgu. W moim wypadku jest tak samo – z tą przykrą różnicą, że ja zgłębić mego mózgu nie dam rady nie z racji jego głębokości, ale z racji braku sił do zgłębiania. Brak narzędzi. Nawet kłębiącej się we mnie płycizny nie dam rady wyekspluować. Słabo z pisaniem, nie lepiej z czytaniem. Nawet podstawowych rzeczy. Nawet Biblii nie zdążę porządnie pojąć! I bynajmniej nie celem jakiegoś jej infantylnego obalania! Zachwianie w wierze nie znaczy przecież, że ta książka przestała mi się podobać! Przeciwnie: czytana teraz w aurze zwątpienia, czyli wolności, podoba mi się jeszcze bardziej! Któż w końcu jak nie Eklezjasta dać może potężniejszą (biblijną) siłę zwątpieniu! Z prochu w proch i fertig! W zaskakującym odkryciu śmiertelności księgi potrzebne jak nie! Zwłaszcza książka, w której – jak głosi słownik komunałów – jest wszystko. Wielka przegrana również.

Ale nie dam rady! Nawet niosących pociechę czterech Ewangelii nie zmożę. Co tam czterech! Nawet jednego apostoła Marka nie rozgryzę do końca, choćbym wiódł nie wiadomo jak stateczne i nie wiadomo jak długie życie.

8 STYCZNIA

TAK JEST. CAŁYMI LATAMI MARZYŁEM O BYCIU LITERACKIM urzędnikiem, a przyrosła mi cyganeryjna gęba lekkoducha, bankietowicza i Bóg wie kogo. Stary refren: każdemu to, na czym mu najmniej zależy. Teraz tak samo. Niby w końcu mam to, o co walczyłem: zawsze ta sama kawa, do 16 spokoj, żadnych podróży i arcyważnych spotkań na mieście, żadnych przygód, brawurowy powrót do czasów sprzed telefonii komórkowej, a nawet do epoki sprzed wynalazku telefonu, idealne warunki do eksploatacji własnych mielizn.

Żyć i pisać, a to znaczy ledwo żyć i ostro pisać – w sumie żyć w jedynie możliwy sposób. Wygrana wojna? Bałkańska spadochroniarka spadła z nieba w sensie ścisłym? Dopelnio się? Zawsze będzie tak samo? Zależy, co rozumieć przez słowo „zawsze”. Jeśli słowo „zawsze” oznacza dobę, która dawniej miała 24 godziny, teraz ma chyba połowę; jeśli oznacza poranki, które dawniej były porywającymi tryumfami, teraz stały się niepojętymi koszmarami – jeszcze parę lat temu nie mogłem się doczekać, żeby się obudzić, teraz na ogół odwlekam tę chwilę – jeśli słowo „zawsze” obejmuje kłopoty z pamięcią, ze wzrokiem, słuchem, z koncentracją i czym tam jeszcze – kto wie.

9 STYCZNIA

JAKAKOLWIEK JEDNAK WIECZNOŚĆ PRZED NAMI – ciągnąć w nieskończoność się ona nie będzie. W każdej chwili może się rozleć kołatanie do drzwi. A niech się, k...a, rozlega! Był przed 16.

KRAKOWSKIE KAMIENCE HERBOWE

Wątkowa lokalizacja: Kraków, ul. Poznańska



STAN AKTUALNY



Inwestycja zrealizowana



STAN AKTUALNY



Prestiżowe apartamenty w najwyższym standardzie zlokalizowane w bardzo atrakcyjnej dzielnicy Krakowa.

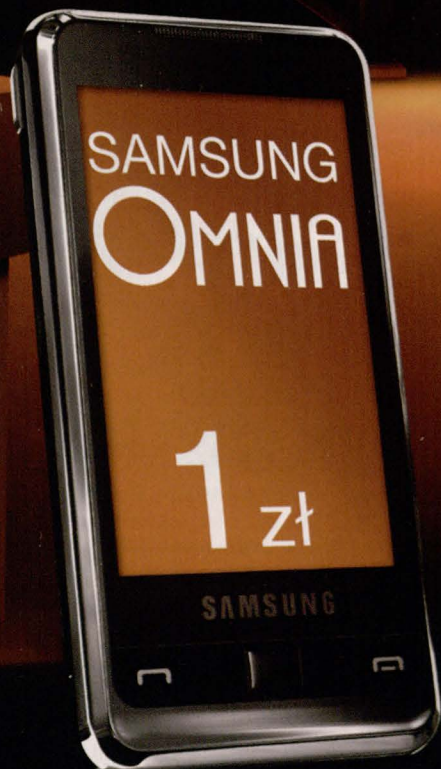


Dla tych, którzy potrafią wybierać...

■ więcej informacji na stronie internetowej:

www.mieszkaniowy.as

WIELKA OSZCZĘDNOŚĆ



Wielka obniżka cen w Plusie i MixPlusie, np.:

- Samsung Omnia ~~549~~ zł teraz 1 zł – **oszczędność 548 zł**,
- Nokia E66 ~~549~~ zł teraz 1 zł – **oszczędność 548 zł**,
- Nokia 5530 ~~229~~ zł teraz 1 zł – **oszczędność 228 zł**.

A przy tym wielka wyprzedaż minut!
Oszczędność nawet 300 złotych!

Plus 
RAZEM LEPIEJ